

HARLEQUIN®

Romans
Historyczny

AMANDA McCABE *Pasażerka na gapę*

NR 26 09/10 INDEKS 139083 CENA 11,99 ZŁ W TYM 0% VAT

AMANDA
McCABE
Pasażerka na gapę

85



Amanda McCabe



Pasażerka na gapę

Prolog

Wenecja, 1525 r.

Tak, to naprawdę był on.

Bianca Simonetti stała przy niewielkim oknie sypialni i przez wążiutką szparę w zasłonie podpatrywała stojącego pod nim młodego mężczyznę. Choć widziała tylko aksamitną, ozdobioną perłami czapkę i kaskadę ciemnych, opadających na ramiona włosów, nie miała najmniejszych wątpliwości, że był to Baldassare Grattiano.

W swoim piętnastoletnim życiu nie spotkała nikogo, kto tak skutecznie jak on potrafiłby przyprawić ją o szybsze bicie serca. Nawet teraz czuła jego szaleńczy rytm i dudnienie krwi w uszach. Od samego patrzenia ciepło rozlało się po jej ciele aż po opuszki palców.

Doskonale wiedziała, że niejedna kobieta w Wenecji straciła głowę dla Baldassarego. Głębia jego przenikliwie zielonych oczu i imponująca muskulatura były tematem prowadzonych szeptem i z wypiekami na twarzy rozmów, zarówno na salonach, jak też w miejscach, od których prawdziwe damy trzymały się z daleka. Bianca wiedziała o tym, ponieważ wszystkie one, hrabiny na równi z kurtyzanami, zwierzały się z sekretów jej matce, Marii Simonetti, wdowie cieszącej się opinią najbardziej utalentowanej wróżki i tarocistki w całej Wenecji. Nie mogła rzecz jasna otwarcie uprawiać swojego fachu. Wenecjanie nie dorównywali co prawda w fanatyzmie religijnym mieszkańcom Madrytu, ale ryzyko posądzenia o uprawianie magii i tak było spore. Dolne piętro domu wynajęły więc krawcowi i perukarzowi, Maria zaś przepowiadała przyszłość w dyskretnie ukrytym za zasłoną pokoju na tyłach posesji.

Wszyscy w mieście i tak wiedzieli o niezwykłym darze Marii. Większość jej klienteli stanowiły kobiety, które pragnęły uchylić rąbka tajemnicy swojej przyszłości, szukały potwierdzenia wierności mężów lub kochanków czy też chciały się upewnić w podjętych decyzjach. Zdarzało im się przychodzić we łzach, ale też w uniesieniu. Powodem bardzo wielu wizyt był właśnie Baldassare Grattiano. Klientki nigdy nie

zauważały Bianki, która wprawdzie siedziała cicho jak mysz pod miotłą, lecz słyszała każde słowo.

Niewielu mężczyzn w Wenecji dorównywało Baldassaremu urodą. Wystarczył rzut oka, by to stwierdzić. Pochodził z zamożnej i bardzo wpływowej rodziny - jego ojcem był sam Ermano Grattiano. Miał dziewiętnaście lat, osiągnął więc wiek doskonały do małżeństwa i przejęcia obowiązków należnych młodemu arystokracie, jednak wszystko wskazywało na to, że nie był tym w najmniejszym stopniu zainteresowany. Większość czasu spędzał na hulankach, grze w karty, a także, o dziwo, obserwowaniu budowy statków w stoczni zwanej Arsenalem.

Do uszu Bianki dotarły plotki i o tym, że jest nadzwyczaj biegłym, choć niestałym w uczuciach kochankiem. Niejedna z odwiedzających jej matkę kobiet z wypiekami na twarzy dopytywała, czy uda jej się w przyszłości usidlić Baldassarego, jeśli już nie na ślubnym kobiercu, to przynajmniej w sypialni.

Bianca widziała w nim jednak coś więcej niż tylko urodę, bogactwo i męski magnetyzm. W jego błyszczących, ciemnozielonych oczach dostrzegła tęsknotę i głęboki, przejmujący smutek.

Nie udało jej się niestety odziedziczyć daru po matce. Dla niej karty były tylko kolorowymi obrazkami, z których nie potrafiła wyczytać przyszłości, przez lata wysłuchiwała jednak tak wielu kobiecych pragnień i lęków, że posiadała inną zdolność: potrafiła czytać w ludziach jak w otwartej księdze. Gdy pierwszy raz ujrzała Baldassarego, nie dostrzegła w jego oczach poczucia wyższości, o co można by posądzać młodego arystokratę, lecz właśnie smutek i... gniew.

Nawet w najśmielszych snach nie marzyła, że spotka tak wysoko urodzonego i bogatego młodzieńca, dzieliła ich bowiem przepaść. Z kolei Maria Simonetti nie miała nic przeciwko temu, by jej córka przysłuchiwała się rozmowom z klientkami. Doskonale znała nie tylko blaski, ale i cienie życia, dlatego z całych sił starała się uchronić ją przed tymi drugimi. Biance nie wolno więc było umawiać się na randki ani nawet wychodzić z domu po zmroku, szczególnie w czasie karnawału. Historie o suto zakrapianych balach maskowych znała wyłącznie z opowieści.

Wzbudzający respekt i podziw Ermano Grattiano od jakiegoś czasu stał się częstym, choć nieoczekiwanym gościem w ich domu. Za każdym razem, gdy Maria stawiała mu karty, wypraszała Biancę z pokoju. Służąca zdradziła jej jednak, że trzykrotnie owdowiały Ermano planował kolejny ożenek. Wierzył, że Maria wskaże mu odpowiednią kandydatkę nie tyle na żonę, co matkę jego kolejnych dzieci, o posiadaniu których marzył.

Baldassare czasami towarzyszył ojcu, lecz zawsze czekał na niego przed domem. Kiedyś, wracając z targu, Bianca natknęła się na niego. Zatopiony w lekturze stał oparty o łuszczącą się, gipsową ścianę, okryty kosztowną, obszytą futrem pelearyną.

Bianca również uwielbiała czytać, choć nie było to typowo dziewczęce zainteresowanie. Na dodatek uczyła się języków obcych, to znaczy angielskiego i hiszpańskiego, a także prowadzenia ksiąg, żeby w przyszłości wykorzystać to we własnym interesie. Księgarz z Rialto pożyczał jej od czasu do czasu ciekawe lektury, lecz nigdy nie miała ich dość. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak przystojny, świetnie ubrany młody mężczyzna postanowił poczytać akurat pod jej domem. Ciekawość okazała się silniejsza od wrodzonej nieśmiałości i zapytała, co to za książka.

I właśnie w chwili, gdy na nią spojrział, dostrzegła w jego oczach ten niewypowiedziany smutek oraz ledwie powstrzymaną wściekłość, skierowaną Bóg raczy wiedzieć na kogo czy na co. Najwyraźniej jednak nie ona była jej przyczyną, bo chłopak uśmiechnął się przyjaźnie i pokazał jej okładkę książki poświęconej nawigacji. Zaskoczył go fakt, że rozumiała hiszpański tytuł. Od tamtej pory za każdym razem, gdy Ermano odwiedzał jej matkę, wypytując o swoją przyszłą żonę, Bianca wyslizgiwała się z domu, żeby pogawędzić z Baldassarem na temat książek albo posłuchać nowinek ze świata. Z wypiekami na twarzy chłonęła opowieści o Anglii, Hiszpanii, Francji, Turcji, ba! nawet o odległych, egzotycznych wysepkach.

Była nimi zafascynowana w równym stopniu co Baldassarem i jego głęboko skrywanymi pod maską obojętności fantazjami o ucieczce w siną dal, na spotkanie z nieznanym.

Z drugiej strony przekroczenie granic dobrze znanego i bezpiecznego świata napawało ją lękiem. Podobnie jak ten dziwny, niesamowity mężczyzna.

- Dlaczego chcesz opuścić Wenecję, skoro masz tu wszystko? - zapytała kiedyś.

Nie mieściło jej się w głowie, by ktokolwiek pragnął czegoś więcej niż majątku, sławy, znamienitego rodowego nazwiska. Baldassare miał przecież to wszystko w nadmiarze. Nie potrafiła zrozumieć, że Wenecja, przypominająca unoszący się na wodzie klejnot, może komuś nie wystarczać. Była pewna, jak potoczy się jej życie, ot, utarty schemat: wyjdzie za męża, urodzi dzieci i będzie pomagać mężowi w prowadzeniu interesów, przywiązana do rodziny oraz domowych obowiązków. Jedynym pocieszeniem była myśl, że wszystko to wydarzy się tu, w Wenecji.

W przeciwieństwie do tych, którzy wyruszyli na podbój Nowego Świata, Baldassare nie musiał szukać szczęścia z dala od domu, ponieważ świat od dawna leżał u jego stóp. Miał pieniądze, sławę, miłość - jak mógłby z tego wszystkiego zrezygnować?

Posłał jej ten swój słodki, a zarazem przepełniony goryczą uśmiech. Jego spojrzenie wydawało się o wiele dojrzsze, niż mogła na to wskazywać metryka.

- Wszystko? Chodź ze mną, Bianco - powiedział, chwytając ją za dłoń.

Po raz pierwszy poczuła jego dotyk. Nawet tak drobny, niezobowiązujący gest sprawił, że jej ciało przeszył przyjemny dreszcz. Nie przejmowała się tym, dokąd ją prowadzi. Była gotowa skoczyć za nim choćby w ogień.

Zaplanował jednak coś zupełnie innego. Powiodł ją na brzeg najbliższego kanału, przy którym stała gondola jego ojca. Po drodze minęli tłum ludzi: służące dźwigające kosze z zakupami, zatopionych we własnych myślach dostojnych arystokratów, kurtyzany w atłasowych fatałaszkach, posyłające Baldassaremu powłóczyście spojrzenia. Bianca była jednak ślepa i głucha na nich wszystkich. Czuła się tak, jakby ktoś rzucił na nią urok. Była upojona obecnością Baldassarego, emanującym od niego ciepłem, słonym zapachem morskiej wody. Miejski zgiełk przestał dla niej istnieć.

- Czy widzisz tę wodę? - Wskazał kanał pod ich stopami.

Pokiwała głową, lecz co to było za pytanie! Widziała ją przecież codziennie, a

wszystkie kanały w Wenecji były do siebie podobne. Nie pachniały może najlepiej, ale pozwalały sprawnie poruszać się po mieście.

- Przyjrzyj się jej uważnie. - Baldassare mocniej ścisnął ją za rękę.

Spojrzenie Bianki powędrowało ku niewzruszonej, surowej tafli wody, mieniającej się tęczą kolorów od błękitu, poprzez fiolet i zielen, aż po głęboką czerń. Na powierzchni unosiły się szczątki roztrzaskanego statku, butelki, kawałki warzyw, a nawet truchło szczura. Zbliżała się zima, dzięki czemu charakterystyczny, mdlący zapach wody nie był zbyt drażniący.

- Na co w szczególności mam patrzeć? - szepnęła Bianca.

To pytanie wyraźnie go rozbawiło.

- Dostrzegamy wyłącznie piękno Wenecji, wspaniałe kościoły i pałace, klejnoty, atłasy, bogactwo, którego zazdrości nam reszta świata. Co jednak znajduje się pod tą piękną otoczką?

Bianca raz jeszcze przyjrzała się leniwemu nurtowi rzeki, której ciemna barwa skrywała odpady i zgniliznę.

- Szczątki zwierząt? Stare nocniki? - ni to spytała, ni to stwierdziła.

Przeszywał ją spojrzeniem. Promienie słońca igrały na zdobiącym jego ucho, urzekająco pięknym szmaragdzie. Ten klejnot również był maską. Baldassare podobny był do Wenecji: zewnętrzne piękno skrywało mroczną tajemnicę.

- Sama widzisz, Bianco - powiedział cicho. - Otaczają nas śmierć, rozkład i nieuczciwość.

- Czyż jednak można od nich uciec? - zapytała, mając w pamięci jego książki o dalekich podróżach i nieznanym lądach. - Te zjawiska są obecne wszędzie. Jesteśmy tylko ludźmi, niezależnie od tego, dokąd rzuci nas los.

- To prawda... - Zadumał się na moment. - Możemy jednak próbować to zmienić, szukać prawdy, mieć czyste sumienie. Tylko wtedy będziemy wolni od tego, co tkwi w nas głęboko ukryte i czego nigdy nie ośmielilibyśmy się pokazać światu. Pozostaje nam szukać prawdy, i to za wszelką cenę.

Te słowa sprawiły, że jej fascynacja - lecz również strach - stały się jeszcze sil-

niejsze. Przez chwilę miała wrażenie, że dotarła do najbardziej odległych zakamarków jego duszy, tak mrocznej jak woda płynąca pod ich stopami.

Uczucie to znikło równie szybko, jak się pojawiło, i znów widziała tylko uśmiech Baldassarego. Odprowadził Biancę do domu i szarmancko ucałował koniuszki jej palców, nim uciekła do bezpiecznej kryjówki swojej sypialni.

Minęło wiele dni od ich ostatniego spotkania. Była pełnia karnawału, Baldassare miał mnóstwo obowiązków towarzyskich do wypełnienia. Zazwyczaj wiązały się one z uczestnictwem w różnego rodzaju ceremoniach, bankietach i balach u boku blondwłosych piękności. Jedną z nich była ciesząca się złą sławą Rosina Micelli. Bianca widziała ich, gdy płynęli gondolą. Baldassare siedział rozparty wygodnie na poduszkach, z głową odrzuconą do tyłu i przymkniętymi z zadowolenia oczami, wsłuchany w to, co Rosina szeptała mu do ucha, przeczesując upierścienionymi palcami jego włosy.

W tym czasie ani jego ojciec, ani Baldassare nie odwiedzili matki Bianki. Plotka głosiła, że Ermano zajęty był spotkaniami z Juliettą Bassano, jego syn zaś wizytami w domach uciech i kasynach. Kiedy więc Bianca ponownie zobaczyła go pod swoim oknem, nie była pewna, jak powinna się zachować.

Chociaż od dawna nie zamienili z sobą zdania, nie było chwili, by o nim nie myślała, powtarzając w myślach słowa o rozkładzie i prawdzie tak długo, aż kręciło jej się od nich w głowie. Nie mogła się doczekać rozmowy, podczas której choć na chwilę wślizgnie się do jego mrocznej duszy i pokaże mu, co kryje się w jej sercu.

Były jednak chwile, w których chciała uciec od niego i niebezpiecznych pomysłów, które przed nią rozsiewał, jakby to były drogocenne klejnoty,

Opuściła zasłonę i odwróciła się do wiszącego na ścianie lustra. Była zbyt chuda, a kręcone, brązowe włosy nie pozwalały się rozjaśnić niezależnie od ilości wtartego soku cytrynowego. Miała zapadnięte policzki, oczy, które zdawały się zbyt wielkie w stosunku do drobnej twarzyczki, kościste ramiona i ledwie sugerujące kobiecą sylwetkę, maleńkie piersi. Myśl o Baldassarze Grattianie sprawiła jednak, że na jej policzki wystąpiły rumieńce, a brązowe oczy rozblęły.

To prawda, że był dziwny i wzbudzał jej niepokój. Nie знаła nikogo, kto działałby na nią w podobny sposób. Gdyby miała dość oleju w głowie, trzymałaby się z daleka od całego rodu Grattianów. Jednak to właśnie Baldassare sprawił, że wreszcie chciało jej się żyć. Był niczym promień słońca rozświetlający szary, pochmurny dzień. Nie miała dość sił, by dobrowolnie zrezygnować z tego światła, tym bardziej że wkrótce i tak miało zniknąć z jej życia. Niezależnie od tego, co mówił na temat wolności i prawdy, jego przeznaczeniem był ślub z panną z wyższych sfer oraz odziedzczenie uprzywilejowanej pozycji swojego wzbudzającego powszechny lęk i szacunek ojca. Nikt, nawet Baldassare, nie mógł uciec przed wyznaczonym mu losem.

Musiała wykorzystać kilka ostatnich chwil, które były jej dane, by z nim porozmawiać, a może nawet dotknąć jego dłoni. Będą jej musiały wystarczyć na długie lata małżeństwa z szanowanym, lecz przewidywalnym i nudnym do szpiku kości kupcem, który z pewnością nie będzie miał zielonych, przesywających na wskroś oczu.

Wygładziła brązowe loki, ujarzmiając je najlepiej, jak potrafiła kilkoma grzebnykami i wsuwkami. Zrzuciła fartuch, żałując, że nie ma dość czasu, by przebrać się w coś bardziej szykownego niż sukienka w błękitne pasy, którą wkładała do pracy w domu. Nie miała jednak ani chwili do stracenia, jeśli chciała porozmawiać z Baldassarem, zanim jego ojciec skończy słuchać zapisanej w kartach wróżby.

Niczym wichur zbiegła schodami na tyłach domu. Wynajmujący pokoje rzemieślnicy wybrali się na plac Świętego Marka obejrzeć przedstawienie, służba poszła na zakupy, w domu panowała więc głucha cisza. Jedyńm dźwiękiem była przyciszona rozmowa dobiegająca z niewielkiego pokoju matki na końcu korytarza. Podczas gdy ton jej głosu był ciepły i łagodny, Ermano Grattiano mówił w sposób nerwowy i nieznoszący sprzeciwu, jakby nie rozumiał, że z kartami nie sposób dyskutować.

Bianca zerwała błękitną, wełnianą pelerynę z wieszaka i wymknęła się z domu, nie zadając sobie nawet trudu, by zmienić domowe kapcie na bardziej odpowiednie obuwie. Baldassare w dalszym ciągu tam stał oparty o ścianę, tym razem bez książki. Wpatrywał się w dal z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Był całkowicie zatopiony w myślach.

Być może to nadmiar suto zakrapianych balów karnawałowych był przyczyną jego melancholii, pomyślała ze złością Bianca. Krawiec, który wynajmował od nich pokój, opowiedział jej o zorganizowanym na placu Świętego Marka balu maskowym, który przeciągnął się aż do świtu. Baldassare niewątpliwie tam był, i to w towarzystwie Rosiny Micelli.

Bianca miała ogromną ochotę zapytać go o zabawę, której dźwięki dotarły aż do jej okien, a także o to, czy kochał Rosinę lub którąś z wianuszków otaczających go kobiet, lecz słowa uwięzły jej w gardle. W milczeniu stanęła obok Baldassarego, opierając się o ścianę. Kiedy wyciągnął w jej stronę dłoń, bez chwili wahania splótła swoje palce z jego, czując ciężar pierścieni na nagiej skórze.

- Czyżby w przeciwieństwie do twojego ojca nie interesował cię los zapisany w kartach? - zapytała.

Baldassare zaśmiał się oschle, a potem oznajmił takim samym tonem:

- Mój ojciec jest głupcem, który wierzy, że potrafi odmienić los zgodnie ze swoją wolą.

- Sądzisz, że nie możemy kształtować własnej przyszłości?

- O czym mówisz, Bianco? Wszyscy zmierzamy w tym samym kierunku, dzień po dniu, jak w kieracie. Nie potrzebuję kart, by wiedzieć, co mnie spotka.

W milczeniu spojrzała na jego nieskazitelnie gładką i piękną twarz, skrywającą tak wiele cierpienia. Może i lepiej żyć w nieświadomości, nie znać prawdy o tym, co przyjdzie. Matka nigdy nie zgodziła się dla niej powróżyc, choć Bianca gorąco ją o to prosiła. Czasem nadzieja, że los się odmieni, jest jedynym, co trzyma biednych ludzi przy życiu.

- A co ze światem opisanym w twoich książkach? - zapytała.

- Co masz na myśli?

- Jego przyszłość jest nieodgadniona, szczególnie los tych odległych, hiszpańskich lądów. To zupełnie inna rzeczywistość, w której każdy może robić, co zechce, i być, kim zechce. Życie w tamtych krainach musi być nieustanną przygodą, a każdy krok prowadzić ku nieznanemu. My... to znaczy ty mógłbyś sam wybrać swój los, bez

pomocy kart.

- Nie musiałbym być Baldassarem Grattianem? - zapytał ze śmiechem.

- Nie musiałbyś oglądać znienawidzonej przez siebie Wenecji.

- To faktycznie brzmi jak bajka.

- Lecz w przeciwieństwie do niej jest możliwe. Inni widzieli nowe lądy, a nawet opisali je. Czemu my nie moglibyśmy tego zrobić?

Bianca czuła narastające podniecenie, które pęczniało niczym żagiel na silnym wietrze. Wizja uwolnienia się od weneckiego społeczeństwa z całą tą jego hierarchią i nieznośnymi przesądami sprawiła, że jej strach prysnął niczym bańka mydlana.

Baldassare z czułością pogłaskał ją po policzku, po czym stwierdził z uśmiechem:

- Nie wiedziałem, że jesteś aż taką marzycielką, moja twardo stąpająca po ziemi Bianco.

- Czyżbyś sam nie był marzycielem? - zapytała, rozkoszując się dotykiem i brzmieniem słów: „moja Bianco”. - Skoro nie masz dość śmiałości, by zrealizować swoje fantazje, po co w takim razie czytasz takie książki? W jakim celu uczysz się budowy statków i zasad nawigacji? Skoro naprawdę myślisz, że nie ma innego życia poza tym, które znamy, po co marnujesz czas na lekturę? Równie dobrze możesz go wykorzystać, podążając śladami swojego ojca.

Uśmiech zamarł mu na ustach, a ręka ześlizgnęła się z policzka Bianki.

- Nie jestem taki jak on.

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Baldassaremu obce było poczucie wyższości wobec innych ludzi, tak charakterystyczne dla jego ojca. Widziała, jak z całych sił starał się nie kultywować okropnych przywar, które łączyły się z nazwiskiem Grattiano, chociaż nigdy o tym nie mówił. Zanim jednak zdążyła go o tym zapewnić, drzwi domu otworzyły się z głośnym hukiem.

Bianca i Baldassare odskoczyli od siebie jak oparzeni, gdy Ermano minął ich jak burza. Bianca wołała mu zejść z drogi, nim przeszyje ją lodowatym spojrzeniem wyblakłych, zielonych oczu. Dotyk Baldassarego można było przyrównać do ciepłego,

słonecznego poranka, podczas gdy jego ojciec emanował lodowatym, morderczym chłodem.

Skryła twarz pod kapturem peleryny, przyglądając się nieufnie Ermanowi. Brodata twarz była kredowobiała od gniewu, jak zawsze po wysłuchaniu karcianej wróżby. Najwidoczniej fortuna po raz kolejny nie chciała się do niego uśmiechnąć. Przywołał syna gestem dłoni, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

- Chodź, Baldassarze - powiedział beznamiętnie. - Czas opuścić tę zatęchłą norę, dość już go zmarnowałem, słuchając bredni.

Kiedy odwracał się w stronę kanału, przy którym czekała na nich gondola, jego podszyty gronostajem płaszcz rozchylił się, odsłaniając śnieżnobiały, brokatowy dublet. Bianca przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc okrzyk przerażenia.

Na jednym z rękawów wyraźnie odznaczała się purpurowa plama krwi.

Baldassare również zbladł jak płótno. Mimo to stał nieruchomo niczym marmurowy posąg.

- Baldassarze! - krzyknął jego ojciec władczym tonem. - Chodź już, nie trać czasu na flirty ze służbą. Mamy sprawę do załatwienia w sklepie signory Bassano.

Słowa ojca podziały na niego niczym zimny prysznic. Zerwał z palca jeden z pierścieni - zdobiony ogromnym rubinem w wianuszku pereł - i wcisnął go Biance w dłoń.

- To na wypadek, gdybyś potrzebowała pieniędzy - wyszeptał jej do ucha. - I nie zapominaj, że gdzieś istnieje inny świat, Bianco.

Po chwili znikli, a ona została zupełnie sama. Nie mogła oderwać wzroku od pierścienia i ciemnoczerwonej barwy klejnotu, tak bardzo podobnej to tej, którą widziała na śnieżnobiałym rękawie Ermana. W powietrzu wisiała ogłuszająca, napięta cisza. Wydawało jej się, że jest jedynym oddychającym stworzeniem na tej ulicy, a może nawet w całym, chylącym się ku upadkowi, mieście.

Krew, którą widziała, nie mogła oznaczać tego, co podpowiadała jej przerażona wyobraźnia. Musiała to być część jakiegoś upiornego rytuału z użyciem kurzych lub kozich wnętrzności. Czytała przecież o podobnych praktykach w zakazanych księgach

matki.

W głowie huczało jej jednak od plotek na temat okrucieństwa Ermana i niebezpieczeństw, które groziły każdemu, kto ośmielił się stanąć mu na drodze.

Bianca czuła się tak, jakby straciła kontakt z rzeczywistością i zanurzyła się w gęstej, odurzającej mgle. Wsunąwszy pierścień na palec, wślizgnęła się do domu, choć instynkt podpowiadał jej ucieczkę. Wcześniej czy później musiała jednak stawić czoło temu, co tam na nią czekało.

Zanim pokonała korytarz, poczuła mdlący, metaliczny zapach krwi. Wiedziała, że w domu czai się śmierć.

Odsunęła kotarę, zaglądając do niewielkiego pomieszczenia. Szara smuga dymu z kadzidła wciąż jeszcze unosiła się w powietrzu. Ta woń mieszała się z zapachem krwi i ledwie wyczuwalną nutą bergamotki z wody kolońskiej Ermana. Na stoliku, poza plamą rozlanego wina, ujrzała porzucane karty. Na podłodze leżały wywrócone taborety.

Bianca zobaczyła coś jeszcze: stopę matki wysuniętą spod obrusa koloru purpury i poszarpany rąbek białej sukni.

Nie wierząc własnym oczom, ominęła stół i porzucane krzesła, odrętwiała z przerażenia. Ciało matki leżało bezładnie na podłodze. Jej szeroko otwarte oczy wyglądały niczym odlane ze szkła i wpatrywały się w nicość. Długie, ciemnobrązowe włosy skąpane były we krwi wypływającej z rany na piersi.

Sztylet, którym zadano śmiertelny cios, w dalszym ciągu tkwił w ciele, a jego nabijana szmaragdami rękojeść lśniła złowieszczo. Bianca doskonale знаła ten nóż, wszak widziała go wiele razy u paska Ermana.

Uklękła obok matki, muskając delikatnie lodowato zimną dłoń. Potrafiła wyobrazić sobie przebieg morderstwa ze wszystkimi przerażającymi szczegółami, zupełnie jakby była przy nim obecna, choć tak naprawdę wpatrywała się wtedy maślanymi oczami w Baldassarego i słuchała jego bajek o życiu w dalekich krajach. Widziała twarz Ermana, wykrzywioną grymasem gniewu, gdy karty po raz kolejny ułożyły się nie po jego myśli. Ujrzała, jak morduje posłańca złych wiadomości - jej matkę - po

czym spokojnie odchodzi.

Bianca nie mogła zapomnieć o plotkach, według których Ermano Grattiano niszczył wszystko i wszystkich na swej drodze. Mówiono nawet, że przed laty zamordował własną kochankę, piękną Veronicę Rinaldi, i zbrodnia ta uszła mu na sucho. Wszyscy, którzy usiłował pociągnąć go do odpowiedzialności, w tym naoczni świadkowie, przepadli jak kamień w wodę.

Nie mogła oderwać wzroku od rękojeści sztyletu. Przedmiot był zbyt charakterystyczny, a przede wszystkim zbyt cenny, by Ermano go porzucił. Na pewno wróci po niego lub przyśle syna.

Czyżby Baldassare usiłował ją wykorzystać? Czy posłuży się ich przyjaźnią, by zatuszować potworną zbrodnię ojca? Czy potrafiłby tak bardzo zawieść jej zaufanie?

Nagle jej ciało przeszył bolesny dreszcz, wrywając ją z otępienia i odbierając resztki złudzeń. Zaciśnęła palce na zimnej dłoni, a z jej gardła wydobył się urywany szloch. Jej matka zginęła z rąk potwornego mordercy, który na domiar złego dysponował nadludzką władzą. Bianca zrozumiała, że znalazła się w pułapce. Jeśli tu zostanie, przeciwstawi się rodowi Grattianów i dokona zemsty, której domagało się zbolełe serce, lecz skaże się na pewną śmierć. Zostanie zamordowana, a jej ciało zabójcy wrzucą do kanału.

Kto wtedy pomści jej matkę? Kto zadba, by sprawiedliwość dosięgła rodu Grattianów, jeśli pozwoli się zabić?

Kiedy tak klęczała obok zmarłej, poczuła, jakby z jej oczu spadły klapki, które sprawiały, że była ślepa na zło otaczającego świata. W ich miejsce pojawił się lód, skuwając kipiące żądzą zemsty serce. Wykorzystując urok swojego syna i chwilę nieuwagi Bianki, Ermano zdołał zamordować jej matkę. Bianca poprzysięgła sobie jednak, że jej nie uda im się zabić. Pewnego dnia to ona wymierzy sprawiedliwość i stanie się przyczyną upadku rodu Grattianów. Za tę zbrodnię będą musieli słono zapłacić, gdy tylko ze słabej dziewczyny przemieni się w silną kobietę.

Ściągnęła purpurowy obrus ze stołu, zrzucając z niego karty, i przykryła nim ciało matki. Następnie podbiegła do niewielkiej skrzyni stojącej w kącie pokoju i wy-

dobyła z niej sakiewkę z monetami, ukrytą pomiędzy ubraniami i pudełkami na kadzidło. Razem z tym, co dostała od zdradzieckiego Baldassarego, miała dość pieniędzy, by uciec z Wenecji i zaszyć się w bezpiecznym miejscu, gdzie mogłaby obmyślić plan zemsty. Pierścień był rodzajem łapówki, która miała uciszyć albo ją, albo jego wyrzuty sumienia.

Bianca zamierzała jednak z ich pomocą zrealizować plan zniszczenia rodu Gratianów. Pewnego dnia zamierzała wrócić do Wenecji i rozkoszować się słodką zemstą.

R S

Rozdział pierwszy

*Santo Domingo**, wyspa *Hispaniola***, rok 1532

Był to jeden z wielu spokojnych wieczorów w Santo Domingo. Bianca wiedziała jednak, że cisza nie potrwa długo.

Stała za wysokim kontuarem na tyłach swojej tawerny, myjąc kubki i nie spuszczać czujnego oka z klienteli. Jak zwykle byli to głównie marynarze i kupcy zabijający czas pomiędzy jednym a drugim rozładunkiem lub czekający na statek, który zabierze ich z powrotem do Hiszpanii. Niewielu z nich zmierzało w przeciwnym kierunku, czyli płynęło z Maracaibo lub Kartageny do kopalni w Peru. Opętani myślą o bogactwach, które tam na nich czekały, nie potrafili skupić się na niczym z wyjątkiem złota, pereł i szmaragdów, nawet gdy popijali rum. Dzisiaj jednak wydawało się, że coś innego zaprzętało im głowę.

Z zasłyszanych strzępków rozmów Bianca domyśliła się, że miało to związek ze statkiem, który właśnie zawinął do portu.

* Santo Domingo - współcześnie stolica Dominikany. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Hispaniola - dzisiejsze Haiti.

Poobijany kadłub i złamany grotmaszt natychmiast potraktowano jak zapowiedź nieszczęścia, jako że mieszkańcy miasta byli aż nazbyt przesądni.

Im więcej strachu w sercach mężczyzn, tym więcej alkoholu w gardłach, co oznaczało czysty zysk dla tawerny, jako właścicielka nie mogła więc narzekać. Oczywiście zdarzało się, że na własnej skórze boleśnie odczuwała skutki nadmiernego pijaństwa. Ot, choćby doprowadzanie do porządku tawerny po ostatniej bójce trwało cały tydzień, a nie mogła sobie pozwolić na straty. Musiała płacić pracownikom i dostawcom, a nie miała zamiaru po raz drugi stracić dachu nad głową.

W zamyśleniu przyglądała się lokalowi. Rozmiarami i wystrojem nie dorówny-

wał bogatym weneckim pałacem, których obraz wciąż nosiła w pamięci. Była to po prostu długa izba z niskim stropem i pobielonymi ścianami. Drewniane belki na suficie były czarne od dymu i zawieszane pękami suszonych ziół, którym nie udało się rozwiązać problemu unoszącego się w powietrzu odoru rumu i spoconych ciał. Podłoga była nierówna i lepka, gęsto zastawiona stolikami i ławami.

Rzeczywiście, tawerna Bianki była skromna, ale za to należała do niej. Na tle bogactwa, do którego doszli niektórzy mieszkańcy Santo Domingo, nie było to może wielkie osiągnięcie, ale na pewno lepsze niż nic.

Odstawiła ostatni z wycieranych kubków pod ladę, upewniając się, że schowany tam pistolet znajduje się na swoim miejscu. Mimo panującej wokół ciszy nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest w niej coś złowieszczonego. Taka cisza przed burzą. Santo Domingo wydawało się co prawda uśpione w oczekiwaniu na kolejną, płynącą do Sewilli flotę, lecz nie było to gwarancją spokoju.

Zmarszczyła brwi na wspomnienie ostatniej potyczki z francuskimi piratami pod wodzą Jeana Florina. Zdarzyło się to wtedy, gdy przybyła tu w towarzystwie swojego świętej pamięci męża. Francuzi szybko pojęli bezsens własnych działań, bo kto przy zdrowych zmysłach ośmiela się napadać na hiszpańskie statki i doskonale zabezpieczone przed atakiem porty? Piraci nie mogli więc stanowić problemu. W takim razie co lub kto?

Spojrzała na Delores, która mieszała gulasz w zawieszonym nad ogniem kotle, coś przy tym nucąc pod nosem. Nie było sensu o nic jej pytać. Była pracowita, ale interesowały ją głównie flirty z żeglarzami. Bianca wiedziała jednak, kto zna najświeższe plotki i dysponuje wiedzą o tym, co wydarzyło się od Puerto Rico aż po Peru. Na dodatek miała tę osobę na wyciągnięcie ręki, siedziała bowiem pod ścianą jej tawerny.

Nalała dużą porcję najdroższego alkoholu, czyli ponczu na bazie rumu z dodatkiem cukru i gałki muszkatołowej, po czym zaniósła go do stolika señora de Alamedy, wpływowego urzędnika na wyspie.

Był spokojnym, zrównoważonym mężczyzną koło trzydziestki, należał przy tym do stałych bywalców tawerny. Przypuszczała, że było to podyktowane względami za-

wodowymi, bo tutaj mógł usłyszeć znacznie więcej niż w biurze. Poza tym podobała mu się Delores. Bianca nie miała nic przeciwko tym wizytom, bo jego eskudo było z tego samego kruszcu co monety zostawiane przez pozostałych klientów. Nie sprawiał przy tym najmniejszych kłopotów, zdarzało się też, że jego wiedza okazywała się nadzwyczaj cenna.

Postawiła kielich i przysiadła się do stolika, wycierając ręce o fartuch.

- Mam nadzieję, że na wyspie wszystko w porządku, señor de Alameda - zagadnęła.

Przez chwilę patrzył na nią badawczo, po czym uśmiechnął się uprzejmie.

- Tak rzadko mam okazję cieszyć się pani towarzystwem, señora Montero. Co zaś się tyczy wyspy, nie mogę narzekać, chociaż jestem ostatnio trochę zajęty nadzorem budowy katedry.

- Hm, w takim razie przyczyna kłopotów musi być inna.

Alameda nieśpiesznie upił łyk napoju. Był Hiszpanem do szpiku kości: uprzejmy, ostrożny, a przez to niezwykle niebezpieczny. W każdej najdrobniejszej sprawie trzeba go było ciągnąć za język.

- Kłopotów?

- Mieszkam w tym mieście dostatecznie długo, by wiedzieć, kiedy się zbliżają. Zależy mi na tym, by było ich jak najmniej, bo interes kręci się najlepiej, gdy w mieście panuje spokój.

- To oczywiste, señora. - Roześmiał się ponuro. - Najlepsza jest sytuacja, w której na wyspie panuje spokój, a każdy może skupić się na własnych zajęciach. Życzyłbym sobie, żeby nasze świątynie i magazyny stały nienaruszone, a statki pływały niezagrożone przez piratów...

Po plecach Bianki przebiegł zimny dreszcz mimo wlatującej przez okno ciepłej bryzy o zapachu porastającej zbocza gór soczystej trawy. Przypomniała sobie widok rozkładających się ciał, okopcone pozostałości domów i zbezczeszczone święte obrazy, widome świadectwa cierpienia, przemocy, gwałtu, bestialskiej śmierci.

- Piraci? Czyżby o nich chodziło?

Alameda rozejrzał się czujnie na boki.

- Señora Montero, piraci od lat są utrapieniem w tej części świata. Zdesperowane rzezimieszki łase na skarby króla i kościoła. Jako wdowa po żeglarzu musi pani sobie zdawać z tego sprawę. Piraci nie stanowią jednak bezpośredniego zagrożenia dla Santo Domingo. Wręcz przeciwnie.

Drzwi tawerny otworzyły się z hukiem i do środka wtargnęła hałaśliwie rozba-
wiona grupa podchmielonych mężczyzn. Delores poradziła sobie z nimi, lecz Bianca wiedziała, że lada moment będzie musiała wrócić do swoich obowiązków. Zostało jej niewiele czasu na rozmowę i rozwianie wątpliwości. W Santo Domingo wiedza na-
prawdę była potęgą.

- Co pan ma na myśli, señor Alameda?

Pokiwał z namysłem głową. Jak każdy wytrawny gracz wiedział, kiedy wycią-
gnąć asa z rękawa.

- Wieść niesie, że do naszego portu zbliża się Calypso.

To, co usłyszała, przekroczyło jej najśmielsze oczekiwania.

Roześmiała się niepewnie.

- Calypso? Czyżby pańscy szpiedzy widzieli również białe myszki?

Legendarna Calypso, dowodzona przez kapitana o nadludzkich umiejętnościach
nawigacyjnych, stawała się tematem rozmów dopiero wtedy, gdy goście wypili za du-
żo rumu. Mówiono, że nikt i nic nie jest w stanie zatopić tego statku. Podobno dopły-
nął na najdalszy kraniec Ziemi i przywiózł nieprzebrane bogactwa. Nawet Juan, jej
świętej pamięci mąż, który sam przepłynął ładny kawałek świata, był pod dużym wra-
żeniem tych opowieści, przypominających mity o starożytnych herosach.

- Calypso istnieje naprawdę - odparł Alameda.

- A jego kapitan? Powiadają, że potrafiłby wyprowadzić statek z najgłębszych
piekielnych czeluści, przy okazji łupiąc diabłu jego skarby.

Alameda roześmiał się serdecznie.

- On także istnieje, choć wątpię, by było mu dane oglądać tamten świat.

- Wystarczy piekła, które jest na Ziemi, szczególnie dla tych, którzy opłynęli ją

wzdłuż i wszerz.

- Zgadza się, señora Montero. Proszę jednak uważać, by ojciec Yanez nie usłyszał pani słów. Życie daleko od domu to dla każdego ciężki kawałek chleba, nawet dla opływającego w bogactwo kapitana Calypso.

Bianca spojrzała w stronę baru, za którym krzątała się Delores, serwując gościom rum i parujący gulasz.

- Skoro Calypso jest taka potężna, czemu nigdy jej nie widziałam? Mieszkam w Santo Domingo od ładnych paru lat i znam każdą łajbę pływającą między Peru a Sewillą.

Alameda wzruszył ramionami.

- Być może nie musi zatrzymywać się w naszym porcie. Jeśli wierzyć plotkom, kapitan ma swoją tajemną wyspę, położoną gdzieś między Santo Domingo a Jamajką. Ten człowiek nie służy nikomu, a już na pewno nie mnie. Być może nie jest zależny nawet od króla.

Człowiek niezależny od nikogo - tak, teraz Bianca miała pewność, że był tylko wytworem wyobraźni. Niesamowicie intrygującym, musiała jednak przyznać.

- Komu więc służy?

- Sam chciałbym to wiedzieć, señora Montero. Nie szczędziłbym pieniędzy temu, kto dostarczyłby mi więcej informacji na jego temat.

- I tak wie pan sporo.

- Ja? Jestem zwykłym urzędnikiem. Staram się zajmować własnymi sprawami i zbierać dość pieniędzy na emeryturę w Andaluzji, z dala od tego przeklętego miejsca.

Doskonale go rozumiała. Sama czasami marzyła o ucieczce i powrocie do utraconego przed laty domu w Wenecji, ale wiedziała, że teraz jej miejsce jest w Santo Domingo, choć czyhało tu na nią wiele niebezpieczeństw.

- Jest pan zbyt skromny, señor. Czyż nie jest pan prawą ręką gubernatora wyspy?

- Jest pani dla mnie zbyt łaskawa.

- Co więcej, jestem przekonana, że wie pan o wszystkim, co dzieje się na Hispanioli, nawet w jej najbardziej odległych zakamarkach. - Nowa fala gości sprawiła, że w tawernie zrobiło się jeszcze bardziej gwaro. - Sądzę, że zna pan również przyczynę tak niespodziewanej wizyty Calypso w Santo Domingo.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. Słyszałem, że u wybrzeży Puerto Rico niedawno rozegrała się bitwa morska.

- Bitwa?

- Tak, pomiędzy Calypso i statkiem pirackim. Piraci zostali co prawda przegnani na cztery wiatry, ale grotmaszt Calypso uległ poważnemu uszkodzeniu. Co gorsza, kilka dni temu statek mocno ucierpiał w cieśninie Mona Passage podczas pamiętnego sztormu. - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Tego samego, przez który w Santo Domingo zrobiło się tak tłoczno. W naszym mieście aż roi się od przybyszów, wielu z nich szuka schronienia w posiadłości gubernatora.

- Więc Calypso zawinie do naszego portu, żeby dokonać niezbędnych napraw? - Roześmiała się. - Tak właśnie umierają legendy. Po kimś, kto potrafi złupić samego diabła, należałoby się spodziewać, że sam naprawi maszt nawet pośród sztormu.

- Droga pani, nie skreślałbym go tak szybko. - Alameda położył kilka monet na stoliku i zaczął zbierać się do wyjścia.

- A teraz muszę uciekać. Czeka na mnie pewien problem do rozwiązania, choć jest on raczej z gatunku tych, z którymi lubimy się mierzyć. Dziękuję za gościnę i miłą rozmowę. Jak zawsze była to dla mnie przyjemność.

Skrzętnie schowała pieniądze, nie spuszczać oka z wychodzącego Alamedy. Może i dla niego to była przyjemność, ale ją ta rozmowa przyprawiła o ból głowy. Cóż to za statek, w oczekiwaniu którego całe Santo Domingo zdawało się wstrzymać oddech?

Wróciła za bar, bacznie rozglądając się po gościach i daremnie szukając pośród nich tajemniczego kapitana. W większości byli to znajomi marynarze, którzy odwiedzali tawernę za każdym razem, gdy zawijali do portu. Przychodzili po to, by święto-

wać, upłynnić część zarobionych pieniędzy lub opłakać poniesione na morzu straty i utopić smutki w rumie. Bianca cieszyła się z wysokiego utargu, lecz zarazem lękiem napawał ją niepokój malujący się na spalonych słońcem twarzach marynarzy.

Raz jeszcze upewniła się, że pistolet leży bezpiecznie schowany pod kontuarem. Wprawdzie nie ufała broni palnej, była bowiem zbyt nieprzewidywalna i często wystrzeliwała w nieodpowiednim momencie, jakby miała popędliwy charakter typowy dla mieszkańców miasteczka, jednak w przypadku prawdziwego niebezpieczeństwa to właśnie huk i chmura dymu okazywały się najlepszym straszakiem.

Zajęła się nalewaniem alkoholu, odsyłając Delores do obsługi stolików. W tawernie zrobiło się naprawdę ciasno. Wszystkie krzesła były zajęte, mężczyźni tłoczyli się również pod ścianami. Po prostu nie dałoby się wetknąć szpilki. Choć okna rozwarło na oścież, w pomieszczeniu było gorąco, a w powietrzu mieszały się wonie rumu, gulaszu Delores i wełnianych okryć żeglarzy.

Bianca poprawiła niesforny kosmyk, a jej myśli - być może na skutek rozmowy z Alamedą - powędrowały do Wenecji, pełnej przestronnych, jasnych pomieszczeń, wychodzących na kanały tarasów, twarzy w maskach i powietrza wibrującego od muzyki. Nikt nie musiał przekonywać jej o istnieniu mrocznej strony miasta, lecz mimo to nie potrafiła zapomnieć jego niepowtarzalnego piękna.

Przymknęła oczy. Wyobraźnia natychmiast zaprowadziła ją do rodzinnego domu, do czasów, gdy była naiwną, ufną dziewczynką, zapatrzoną w...

Nie! Z głośnym hukiem odstawiła trzymany w ręku kubek na bar, w ułamku sekundy powracając do dusznej i gwarnej rzeczywistości. Nigdy więcej nie będzie myśleć o Wenecji i Baldassarze Grattianie. To już przeszłość. Liczyło się wyłącznie to, co działo się tu i teraz, chociaż zdrada, której doświadczyła, pozostawiła w jej sercu jęczącą się ranę.

Najlepiej będzie, jeśli zajmie się pracą.

Kiedy odesłała Delores z kolejną porcją drinków, przy barze pojawił się jakiś mężczyzna. Bianca przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Nie był to żaden z jej stałych klientów, widziała go tutaj po raz pierwszy. Był wysoki, umięśniony i bardzo szcu-

pły. Wyglądał na osobę przyzwyczajoną do ciężkiej pracy na statku.

Pomimo gorąca był ubrany w pelerynę z kapturem skrywającym połowę twarzy. Bianca uznała, że jest przystojny, choć ciemna, kędzierzawa broda nie dodawała mu urody. Twarz była spalona słońcem, a policzki zapadnięte, lecz brązowe oczy miały w sobie pewien rodzaj dostojeństwa i jednocześnie smutku.

Przyglądał się jej nieufnie.

Bianca nie wiedziała, czy ma przed sobą żywą osobę, czy przywołane niewesołymi wspomnieniami widmo. A może ducha żeglarza z na wpół mitycznej Calypso? Ślad uśmiechu, który przemknął przez jego usta, rozwiał jej wątpliwości. Był człowiekiem, chociaż dziwnym nawet jak na warunki panujące w Santo Domingo.

- Rum, por favour, señora - poprosił zachrypniętym głosem.

Wlała porcję gęstego, brązowego napoju do glinianego kubka i podsunęła go przybyszowi.

- Jest pan w Santo Domingo przejazdem, prawda?

- Minęło trochę czasu od mojej ostatniej wizyty - odpowiedział, gdy tylko osuszył kubek do dna. Nalała mu następną kolejkę. - Wtedy jeszcze właścicielem tawerny był señor Valdez.

- Rzeczywiście, ale kupiłam ją od Valdeza ponad rok temu, przed jego powrotem do Hiszpanii.

- No tak, rok temu - wyszeptał, jakby była to zamierzchła przeszłość.

Może zresztą miał rację, czasem krótka chwila potrafiła odmienić całe ludzkie życie.

Nieznajomy wzbudził ogromną ciekawość Bianki. Ludzie, którzy pojawiali się na wyspie, zwykle przed czymś uciekali, podobnie zresztą jak ona.

- Czy pański statek doznał uszkodzeń podczas sztormu? - próbowała pociągnąć go za język. Gdyby żeglował na Calypso, tłumaczyłoby to, dlaczego nigdy wcześniej go tutaj nie widziała. Tajemniczy nieznajomy z równie tajemniczego statku.

Skinął głową, nadstawiając kubek po kolejną porcję rumu.

- Nie zabawię tu długo, señora.

Nie była pewna, co miał na myśli: Santo Domingo, tawernę czy może świat żywych. Najwyraźniej jednak nie był zbyt rozmowny, naląła więc alkohol w milczeniu.

- Señora! - wykrzyknęła Delores, wbiegając za bar, żeby napełnić tacę świeżymi kubkami rumu. Hałas w tawernie był niemal ogłuszający. - Podobno Calypso zawinęła do portu! Plotki głoszą, że kapitan pokonał piracką flotę i podczas burzy naprawił maszt gołymi rękami!

Kiedy Bianca odwróciła się z powrotem do baru, mężczyzny w kapturze już tam nie było. Zobaczyła tylko jego plecy, kiedy szedł w stronę małego, wciśniętego w najbardziej odległy kąt tawerny stolika.

Zabawa trwała w najlepsze. Niektórzy mężczyźni, pijani w sztok, lądowali na podłodze, po czym byli wywlekani z lokalu, a ich miejsce natychmiast zajmowali trzeźwiejsi marynarze. Najczęściej były to ofiary sztormu, których statki wymagały naprawy. Bianca nie miała czasu, by rzucić okiem w stronę tajemniczego nieznajomego, tak była zajęta nalewaniem piwa i rumu.

Śmiechom i pijackim wrzaskom nie było końca. Po raz kolejny tego wieczoru drzwi tawerny otworzyły się, zapowiadając przybycie kolejnych gości. Wszyscy jak na komendę odwrócili w ich stronę głowy.

Bianca ścierała właśnie rozlane piwo z kontuaru. Wyprostowała się, odgarniając kosmyk włosów z czoła. Czowała, jak atmosfera wokół niej gęstnieje, a wrzawa stopniowo milknie, ustępując miejsca szeptom. Zupełnie jak na morzu, kiedy tuż przed burzą fale uspokajają się.

Zrozumiała, że oto nadciągnęły spodziewane kłopoty.

W drzwiach, na tle nocy, stał mężczyzna w towarzystwie sześciu czy siedmiu kompanów, na których Bianca nie zwróciła najmniejszej uwagi.

Był wysoki, wyższy od pozostałych gości. Wchodząc do tawerny, musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową o framugę drzwi. Podobnie jak tajemniczy nieznajomy, wyglądał na kogoś, kto całe życie spędził na statku. Czarna skórzana kamizelka i spodnie miękko układały się na ciele, na nogach miał parę wysokich, znoszonych butów tego samego koloru. Z wywiniętych rękawów białej koszuli wystawały umięśnio-

ne, opalone przedramiona. Prawdziwy człowiek czynu, któremu niestraszne były żadne morskie niebezpieczeństwa.

Brązowe, poprzecinane złocistymi pasemkami włosy nosił ściągnięte czarną jedwabną chustą.

A jego twarz...

Bianca знаła ją aż za dobrze. Kurczowo uchwyciła się krawędzi kontuaru, pewna, że śni, twarz bowiem, na którą patrzyła - choć nieco starsza, zahartowana tropikalnym słońcem i morską bryzą - niewątpliwie należała do Baldassarego Grattiana, człowieka, któremu wiele lat temu poprzysięgła krwawą zemstę.

Rozdział drugi

Bianca obserwowała w niemym przerażeniu, jak Baldassare i jego ludzie torują sobie drogę przez tawernę. Tłum rozstępował się przed nimi niczym fale Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Krzyki i śmiechy ucichły na dobre, ustępując miejsca podekscytowanym szeptom. Poczuli dreszcz, kiedy zobaczyła, jak przybysze zajmują miejsce pod oknem, przy wyludnionym nagle stoliku.

Przez krótką chwilę wydawało jej się, że znowu jest tą młodziutką dziewczyną, która z zachwytem słucha Baldassarego rozprawiającego o wolności, statkach, nawigacji i cudownym świecie z dala od Wenecji.

To prawda, był wolny. Żeglował po morzach, oddalony tysiące mil od rodzinnego miasta, gdzie zostawił jakże krępujące przywileje wynikłe z błękitnej krwi. Odebrał jednak wolność Biance, która przez całe życie czuła się niczym w klatce.

- Czy to naprawdę on, señora? - zapytała zdumiona Delores.

Jej pełen napięcia szept przywrócił Biancę do rzeczywistości.

- On, czyli kto? - Czyżby Delores miała na myśli diabła?

- Kapitan Calypso! Słyszałam plotki o jego przybyciu do Santo Domingo, ale nie mogłam w nie uwierzyć. Trzeba przyznać, że jest diabelnie przystojny. - Westchnęła tęsknie.

- Niezależnie od tego, jak wygląda, jest naszym klientem - upomniała ją Bianca, starając się ukryć zdenerwowanie. Wcisnęła tacę w drżące ręce Delores i zajęła się napełnianiem kubków ponczem. - Miejmy nadzieję, że spragnionym. Zanieś im to.

Oparła się o kontuar, nie spuszczać oka z torującej sobie drogę do stolika kelnerki. Kiedy stawiała przed nimi pełne kubki, Baldassare obrzucił Delores zmysłowym spojrzeniem, które rozwiało wszelkie wątpliwości Bianki. Znała ten czarujący, hipnotyzujący uśmiech, od którego w policzkach tworzyły się dołeczki tak rozkoszne, że każda kobieta miała ochotę dotknąć ich opuszką palca, a nawet pocałować, smakując językiem szorstki jedwab wysmaganej słońcem skóry.

Uśmiech drażniący wszystkie zmysły, a jednocześnie podszyty smutkiem.

To prawda, że czas odcisnął na nim swoje piętno, dodając mu jednak męskości. Wciąż miała przed sobą Baldassarego Grattiana, mężczyznę, na widok którego we wszystkich kobietach budziły się grzeszne pragnienia.

Tak, to jedno się w nim nie zmieniło, pomyślała gorzko Bianca, spoglądając na chichoczącą Delores. Jako że sprytna kelnereczka miała na oku Alamedę, pozostałych zalotników odprawiała z kwitkiem, jednak obsłużenie stolika Baldassarego zajęło jej zaskakująco dużo czasu.

Bianca z kolei miała go zbyt mało, by przemyśleć sobie to wszystko. Do tawerny napłynęli nowi, spragnieni goście, którymi musiała się zająć. Atmosfera w lokalu na powrót zrobiła się ożywiona i głośniejsza, szczególnie gdy rozpoczęto grę w kości.

W pewnej chwili Baldassare zniknął jej z pola widzenia, zasłonięty przez swoich kompanów.

Nie zdołała go jednak wyrzucić ze swoich myśli, zwłaszcza że dzieliło ich nie więcej niż dziesięć stóp. A przecież powinna zachować chłodną głowę, bo od czasu, gdy była w nim beznadziejnie zakochana, minęło tak wiele lat. Od czasu, gdy ojciec Baldassarego zamordował jej matkę.

Jak powinna postąpić w tej sytuacji?

Myjąc naczynia, myślała o Calypso, statku, który według legend potrafił przepłynąć Atlantyk w trzy tygodnie i któremu niestraszne były ni burze, ni piraci. Czy to

możliwe, by właśnie Baldassare był jego kapitanem? Jak udało mu się pokonać drogę od weneckiego, przyzwyczajonego do życia w luksusie bawidamka, do słynnego żeglarza, kapitana własnego statku, który siał postrach na morzach i oceanach?

Wybuchła śmiechem na samą myśl o tym. Być może to ojciec zafundował mu żaglowiec i opłacił magika, by rzucił na syna chroniące od złego zaklęcie. Wszak Ermanno Grattiano zawsze miał słabość do okultyzmu.

Ustawiając czyste naczynia na kontuarze, kątem oka zarejestrowała jakiś niewyraźny ruch i błysk w miejscu, w którym siedział tajemniczy nieznajomy, w dalszym ciągu skrywający twarz pod kapturem. Bianca nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy z rękawa mężczyzny wysunął się spiczasty, piekielnie ostry sztylet.

Poczuła niemiłe ukłucie w żołądku. Przemoc była częstym zjawiskiem w Santo Domingo, nieodmiennie kończące się rozlewem krwi sprzeczki wybuchały tu z najbłahszych powodów. Miasteczko było bardzo oddalone od cywilizacji, a przy tym obfitowało w bogactwa, na które wielu miało chrapkę. W połączeniu z alkoholem stanowiło to wybuchową mieszankę. Wysokie temperatury podgrzewały i tak już ogniste temperamenty. Bianca widziała w swoim życiu zbyt wiele przemocy, by akceptować ją w swojej tawernie.

Zakapturzony mężczyzna zniknął w tłumie. Niewiele myśląc, sięgnęła po pistolet i wybiegła z za baru. W tle rozległ się przeraźliwy pisk Delores.

W ułamkach sekund rozpętało się piekło.

Wrzaski mężczyzn, dźwięk tłuczonego szkła i łamanego drewna mieszały się z krzykiem Delores. Bianca torowała sobie drogę przez tłum, czując, jak wzbiera w nim chęć do bitki, niezależnie od tego, kto ją rozpętał. Jeden z gości wyciągnął ukryty w bucie nóż, który Bianca wytrąciła mu z ręki kopniakiem.

- Z drogi, bando wieprzy! - wykrzyknęła. - Nie będzie bójek w mojej tawernie!

Niektórzy mężczyźni uspokoili się, jednak w głębi lokalu nadal kotłowało się kilku zabijaków. Oczom Bianki ukazał się przewrócony stół, przy którym chwilę wcześniej siedział Baldassare ze swoimi kompanami. Teraz walały się po nim skorupy rozbitych naczyń, a podłoga lepiła się od rozlanego rumu. Pisk Delores w dalszym

ciągu świdrował Biancę w uszach. Ludzie Baldassarego miotali się jak szaleni, wymachując mieczami, jakby zamierzali zabić każdego, kto stanie im na drodze. Jeden z mężczyzn trzymał pelerynę z kapturem, zdartą z grzbietu tajemniczego nieznajomego, choć on sam jakby rozplątał się w powietrzu.

Baldassare leżał na podłodze otoczony swoimi towarzyszami. Z lewego ramienia sączyła się krew z zadanej sztyletem rany.

Bianca uznałaby tę sytuację za komiczną, gdyby nie fakt, że w dalszym ciągu groziło jej niebezpieczeństwo, bo dobiegające z za jej pleców przekleństwa oraz szcęk metalu miast cichnąć, stawały się coraz głośniejsze.

Zrozumiała, że słowa nie odniosą pożądanego skutku. W tym rechwachu nikt ich nawet nie usłyszy. Wycelowała więc broń w sufit, zebrała się na odwagę i zwołała kurek.

Siła wystrzału niemal zwała ją z nóg, a na głowy gości posypał się tynk. Gryzący zapach dymu wypełnił pomieszczenie, w którym zapanowała martwa cisza.

- Uprzedzałam, że nie będę tolerować burd w mojej tawernie - powiedziała spokojnie. - A teraz wynoście się stąd, i to wszyscy! Chyba że chcecie mi pomóc w sprzątnięciu tego bałaganu.

Na widok pistoletu większość śmiazków straciła animusz i posłusznie udała się w stronę wyjścia. Po kilku chwilach w pomieszczeniu pozostali wyłącznie Delores oraz załoga Calypso.

Bianca wycelowała broń w pierś jednego z marynarzy i przykucnęła obok Baldassarego, po czym zerwała z siebie fartuch i przycisnęła go mocno do rany. Na pierwszy rzut oka nie wydawała się zbyt głęboka, lecz z całą pewnością trzeba ją było oczyścić i zszyć. Gdyby napastnik wycelował odrobinę niżej, trafiłby w serce.

Najwyraźniej nie tylko ona pałała do niego nienawiścią.

Jeden z mężczyzn nerwowo pochylił się w jej stronę i zapytał z lękiem:

- Czy on nie żyje, señoira?

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, Baldassare otworzył oczy i rzucił ze złością:

- Oczywiście, że żyję, Mendoza. Mam zbyt twardą skórę, by tak liche ostrze i napastnik mogli mi zrobić krzywdę.

- Wcale nie takie liche - odezwała się Bianca, unosząc wilgotny od krwi fartuch i baczenie przyglądając się ranie. - Krwawienie jest dość mocne. Ma pan szczęście, że napastnik chybił, kapitanie Grattiano. Inaczej miałabym w swojej tawernie trupa.

Przyjrzał się jej uważnie swoimi szmaragdowozielonymi oczami, jakby usiłował przewiercić duszę Bianki na wylot.

- Skąd pani mnie zna?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Odwróciła od niego wzrok, przesuwając Baldassarego w taki sposób, że jego głowa spoczęła miękko na jej kolanach. Zawodzenie Delores było tak głośne, że nie pozwalało Biance zebrać myśli.

- Uspokój się, Delores! - wybuchnęła. - Przynies mi wody i kilka czystych szmat, żebym mogła opatrzyć ranę. Żwawo! A pan... Mendoza, dobrze zapamiętałam?

- Tak. - Skinął głową. - Jestem kwatermistrzem na Calypso.

- Czy może mi pan wyjaśnić, co tu się stało? W mojej tawernie zwykle panuje spokój. Gubernator wyspy nie przepada za ludźmi, którzy przyjeżdżają tu, by zakłócać go mieszkańcom.

Jednak to Baldassare udzielił odpowiedzi przepełnionym bólem głosem:

- Sprawcą kłopotów jest Diego Escobar. Poprzysiągł sobie, że mnie znajdzie, i wreszcie mu się udało. Zachowałem się jak głupiec, tracąc czujność.

- Mówiłem, że powinniśmy zostać na pokładzie, kapitanie - wtrącił szorstko Mendoza.

- Nie postawiliśmy stopy na suchym lądzie od wielu tygodni - odparł Baldassare.

- Poza tym, jak powiedziała señora, w jej tawernie można się czuć bezpiecznie.

- Można było, dopóki wy się nie zjawiliście.

- Zapłacimy za straty.

- Z całą pewnością, jak również za cały alkohol, który wypiliście - powiedziała twardo.

Tymczasem Delores przyniosła miednicę z wodą i czyste szmaty. Bianca odsu-

nęła przesiąknięty krwią fartuch. Wyglądało na to, że krwawienie powoli ustawało.

Baldassare posłał złe spojrzenie swoim towarzyszom.

- Dlaczego, jeśli mi wolno zapytać, nie ruszyliście w pogoń za tym łotrem?

- Myśleliśmy, że pan nie żyje, kapitanie - odparł jeden z marynarzy.

- Rzeczywiście, uganianie się za moim mordercą nie miałoby najmniejszego sensu, skoro i tak nie zobaczyłbym, jak dosięga go sprawiedliwość. - Jak widać, Baldassare, nawet powalony na ziemię zdradliwym ciosem, nie stracił ironicznego poczucia humoru.

- Ależ on najzwyczajniej w świecie zniknął, kapitanie! Jakby rozpułnął się w powietrzu, tak samo jak ostatnim razem. - Jeden z jego ludzi cisnął na podłogę pelerynę niedoszłego mordercy.

- Może więc mamy do czynienia z magikiem? - kpił dalej Baldassare, jednak kiedy Bianca przyłożyła kawałek materiału do rany, syknął z bólu. - A niech cię diabli, kobieto! Czy i ty chcesz mnie zabić? - Próbował się podnieść.

- Staram się panu pomóc - odparła zimno Bianca, przytrzymując go. Kiedy głowa spoczęła z powrotem na jej kolanach, pasmo jedwabnych włosów spłynęło na jej dłoń. - Mimo kłopotu, jaki mi sprawiliście. W tym klimacie nietrudno o infekcję, więc rana musi być szczelnie zakryta.

Spojrzała wymownie na podłogę lepka od rumu pomieszanego z piaskiem. Ta kombinacja mogła się dla ранego okazać równie zabójcza, co uzbrojony w nóż szaleńiec. Poza tym Bianca, z sobie tylko znanych względów, nie miała ochoty wypuścić Baldassarego z rąk, dopóki nie udzieli jej odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

- Pomóżcie mi go wnieść na górę - zwróciła się do marynarzy. - Muszę porządnie opatrzyć ranę.

Zawahali się, szukając potwierdzenia rozkazu u kapitana. Baldassare posłał Biance pytające spojrzenie, jakby i on spodziewał się usłyszeć od niej jakieś wyjaśnienia, jednak po chwili skinął głową i rozkazał:

- Róbcie, co wam każe, a potem wracajcie na statek upewnić się, czy ten łotr nie narobił tam żadnych szkód.

- Kapitanie, czy nie lepiej będzie, jeśli zostaniemy przy panu? - zaprotestował Mendoza.

Kącki ust Baldassarego podniosły się nieco w chytrym uśmiechu.

- Jestem przekonany, że nic mi nie grozi w towarzystwie uzbrojonej po zęby señory. Pistolet na pewno nie jest jedynym orężem, którym doskonale włada.

- Nie mylisz się - oznajmiła Bianca.

Po chwili wspięła się wąskimi schodami na górę, do swojej sypialni. Delores szła tuż za nią, niosąc miednicę z wodą i bandażę. Z gardła Baldassarego wyrwał się przeciągły jęk, kiedy jego ludzie dźwignęli go z podłogi. Resztę drogi, aż do łóżka Bianki, pokonał w milczeniu.

Po tym, jak marynarze niechętnie wrócili na statek, a Delores została odesłana do siebie, Bianca i Baldassare zostali sami. Wisząca między nimi cisza stała się tak napięta i gęsta od emocji, że można by ją kroić nożem. Sypialnia była tak mała, że miejsca w niej starczyło tylko na wąskie łóżko, niewielki stolik, krzesło oraz kufer - pamiątkę po zmarłym mężu.

Choć ciężko ranny, wciąż potężny i męski, Baldassare Grattiano zdawał się wypełniać sobą całe pomieszczenie.

Serce Bianki trzepotało o wiele szybciej niż wtedy, gdy znalazła się w centrum bójki, otoczona bandą rozwścieczonych marynarzy.

Kiedy zaczerpnęła głęboko powietrza, jej nozdrza wypełnił zapach parnej, tropikalnej nocy, roztopionego wosku i... Baldassarego. Była to przedziwna mieszanka. Woń czystego płótna, skóry, słonej morskiej wody, potu, krwi mieszała się z jedynym w swoim rodzaju zapachem jego skóry. Pomimo upływu lat pamiętała go aż nazbyt dobrze.

Coś się jednak zmieniło. Nie była już zakochaną nastolatką, która traciła głowę na samą myśl o nim. On także nie był tym samym młodym mężczyzną, emanującym pięknem i gniewem.

Ostrożnie ściągnęła mu buty, kamizelkę i koszulę, czując na sobie przenikliwe spojrzenie szmaragdowych oczu. Mimo upływu lat piękno pozostało. Zakładając opa-

trunek, Bianca nie mogła nie zauważyć idealnie wyrzeźbionych mięśni torsu, gładkiej, błyszczącej skóry o złocistej barwie, która niewątpliwie była wynikiem pracy na świeżym, morskim powietrzu bez koszuli. W oczy rzuciły się jej również liczne blizny, w większości dawno zagojone, poza długim, poszarpanym cięciem biegnącym wzdłuż żeber.

Był więc i gniew, przełamujący urodę anioła. Mieszanka, która kiedyś doprowadziła Biancę wprost do bram piekieł.

Teraz jednak, gdy Baldassare leżał w jej łóżku, to ona była panią sytuacji.

Gdy przetarła zwilżonym ręcznikiem obojczyk i klatkę piersiową, Baldassare wciągnął gwałtownie powietrze, zaciskając bezwiednie mięśnie brzucha, ale nie uciekł przed jej dotykiem. Nie poskarżył się też ani słowem. Jego skóra pyszniła się w blasku świecy.

Tak, nadal był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, najprzystojniejszym, jakiego spotkała na swej drodze, mimo że zwiedziła ładny kawałek świata. Było w nim jednak coś tak niepokojącego, wręcz niebezpiecznego, że myśl o tym, by mogła się w nim ponownie zakochać, wydała się Biance po prostu szalona.

Jej wzrok powędrował wzdłuż smukłych nóg aż po trudną do zignorowania wypukłość w spodniach, wreszcie spoczął na szczupłych biodrach. Plotki o łózkowych talentach Baldassarego mimo upływu lat wciąż pozostały żywe w jej pamięci. Mogła się tylko domyślać, jak udało mu się je przez ten czas rozwinać. Od śmierci męża minęło już wiele miesięcy, podczas których żaden mężczyzna nie gościł w jej łóżku, nic więc dziwnego, że odczuwała pożądanie.

Musiałyby jednak postradać rozum, gdyby dała się uwieść temu łajdakowi.

Oderwała dłonie od ciepłej skóry klatki piersiowej, pod którą miarowo biło serce, i ponownie zajęła się raną. Baldassare obserwował Biancę w milczeniu, jakby czytając w jej myślach. Jeśli którykolwiek z nich posiadał magiczną moc, to na pewno był to Baldassare, a nie tajemniczy nożownik!

Namoczyła świeży ręcznik w rumie i przycisnęła go do ramienia. Syknięcie było jedyną reakcją na piekący ból.

- Będę musiała to zszyć - zawyrokowała - ale bez obaw, mam wprawę. Postaram się, by była to najmniej widoczna blizna w pańskiej kolekcji.

Kiedy odwróciła się, by sięgnąć po zestaw krawiecki, Baldassare niespodziewanie schwycił Biancę za nadgarstek, zamykając go w żelaznym uścisku, i przyciągnął do siebie. Niemal dotykała jego nagiej skóry, była od niej zaledwie o włos.

Jej serce zaczęło bić tak gwałtownie, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Znam cię. - Jego głos, w odróżnieniu od uścisku, był miękki i łagodny. - Tylko skąd?

- Nie sędzę. - Pokręciła przecząco głową.

- Ależ tak, widziałem cię już kiedyś. Poza tym znałaś moje imię.

- Oczywiście. Santo Domingo od wielu tygodni aż huczy od plotek na temat legendarnej Calypso i jej nieustraszonego kapitana.

- Nie, to nie to - powiedział z uporem. Puścił nadgarstek, po czym wyczerpany opadł na poduszki. Jego brwi nadal pozostały ściągnięte. - Gdzie myśmy się spotkali? Kim ty jesteś?

- Jestem señora Montero - odparła, otwierając pudełka Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że z trudem nawlokła igłę. - Na pewno bym pana zapamiętała, kapitanie, gdybyśmy się kiedyś spotkali. Właścicielka tawerny musi mieć dobrą pamięć do twarzy, szczególnie tych, które zwiastują kłopoty.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Założę się, że sporo ich pani widziała w swoim życiu, señora.

- A ja jestem przekonana, że ma pan przyjaciółki w każdym porcie. - Zawiązała supełek na końcu nitki. - I pomylił mnie pan z jedną z nich. A może po prostu majączy pan w gorączce?

- Być może, jednak gorączka wreszcie minie, a wtedy sobie przypomnę, skąd się znamy. Kapitan statku również musi mieć dobrą pamięć do twarzy.

Podstawiła mu do ust kubek z rumem zaprawionym ziołowym naparem na sen.

- Teraz najważniejsze, by pan to wypił, i to do końca. Znacznie złagodzi ból.

Wypił napój co do kropli i rozluźnił się tak bardzo, że nie poruszył się nawet

wtedy, gdy Bianca wbiła mu igłę w ramię. Zazdrościła mu, bo jej trudno było zachować spokój. Emanujące z Baldassarego ciepło i miarowy oddech skutecznie wytrąciły ją z równowagi. Odważyła się na niego spojrzeć, dopiero gdy skończyła szyc.

Sen złagodził jego rysy, nadając mu młodzieńczy wygląd. Uwolnił ją również od przeszywającego spojrzenia szmaragdowych oczu.

Opadła ciężko na krzesło, chowając twarz w dłoniach. Miała ochotę zapłakać i głośno wykrzyczeć swój gniew na okrutny los, który ponownie postawił Baldassarego Grattiana na jej drodze. Wiedziała jednak, że musi zachowywać się cicho.

Podeszła do okna i otworzyła je szerzej, by wpuścić więcej nocnego powietrza. Niebo miało ciemnosiną barwę, kłębiły się na nim gęste chmury, zasłaniające gwiazdy i księżyc. Wiedziała, że przygnała je ta sama burza, która uszkodziła statek Baldassarego. Santo Domingo było niemal uśpione, światła paliły się tylko w kilku domach położonych nad samym brzegiem Rio Ozamy, rzeki wiodącej w głąb wyspy. Forteca gubernatora, wybudowana na szczycie wzgórza, górowała nad całą okolicą.

Bianca wiedziała, że za kilka godzin miasto znowu zacznie tętnić życiem, a ona będzie musiała zabrać się do gotowania i sprzątnięcia pozostawionego w tawernie bałaganu. Co gorsza, będzie również zmuszona stawić czoło śpiącemu w jej łóżku mężczyźnie, który zjawił się tu jakby z innej epoki, z dawno minionego świata... i już nic nie było takie jak dotąd. Postanowiła przez krótką chwilę udawać, że jest jedyną osobą na całym świecie. Jedyną, z wyjątkiem Baldassarego Grattiana.

Masując zeszywniały kark, odwróciła się w stronę niewielkiego lustra wiszącego na ścianie i z trudem powstrzymała się od śmiechu. Jak Baldassare mógł ją rozpoznać, skoro ze srebrzystej tafli spoglądała na nią zupełnie obca osoba? Spinki nie zdołały ujarzmić brązowych, kręconych włosów, które wiły się w dzikim nieładzie na jej ramionach. Policzki płonęły, a cienie pod oczami odcinały się fioletem od reszty twarzy. Szara, wełniana sukienka, której daleko było do elegancji, nosiła ślady krwi Baldassarego.

Szybkim ruchem zerwała z siebie gorset oraz spódnicę i przewiesiła je przez oparcie krzesła. Stała teraz przed lustrem w samej bieliźnie. Czesząc włosy, zastana-

wiała się, jak zareagowałby Baldassare, gdyby ją teraz zobaczył. Na pewno nie pomyliłby jej z żadną ze swoich przyjaciółek. Zawsze gustował w hojnie obdarzonych przez naturę blondynkach o pełnych, różowych ustach, podczas gdy Bianca... No cóż, była tylko chudą, śniadą właścicielką tawerny. Dziewczęca uroda, którą mógł zapamiętać z Wenecji, była już tylko wspomnieniem. Lata ciężkiej pracy na tropikalnej wyspie zrobiły swoje.

Zresztą i tak nie miało to najmniejszego znaczenia. Wcześniej czy później przyjdzie czas wyrównania rachunków między nimi, a wtedy ani niewielki biust Bianki, ani umięśniony tors słynnego kapitana nie będą się liczyć.

Rozluźniwszy sznurowanie w halce, wślizgnęła się do łóżka, kładąc się na samym brzegu materaca, jak najdalej od Baldassarego. Mimo że szczelnie owinęła się kocem, poczuła, jak ciepło męskiego ciała przenika materiał i drażni wszystkie jej zmysły.

Rozdział trzeci

Co jakiś czas Baldassarego nawiedzał ten sam, ukryty głęboko w podświadomości, sen. Błyskawica przecięła kłębowisko czarnych, zbierających się nad jego głową chmur, zwiastując potężną burzę. Spienione fale uderzały wściekle o burtę, wiatr zjadł atakował nagie maszty, popychając statek z taką łatwością, jakby był dziecięcą zabawką. Krople deszczu siekły tak silnie, że mogły zrobić krzywdę. Baldassare na nowo przeżywał grozę sytuacji i przerażenie marynarzy, którzy drżeli w panice, by nie pochłonęło ich żywcem rozwścieczone morze. Czuł się tak, jakby oglądał obraz przedstawiający Sąd Ostateczny, z sobą na pierwszym planie.

Nie poddawał się jednak, podejmując desperackie próby odzyskania panowania nad statkiem i uratowania załogi od pewnej śmierci, choć w głębi duszy czuł, że nie ma szans w starciu z żywiołem. Wszystko to, na co pracował przez długie lata, i ludzie, którzy mu zaufali, lada moment miało obrócić się wniwecz.

Wiedział, że koniec jest nieuchronny, a walka, którą toczył przez całe życie, również ta z własnymi słabościami, zakończy się porażką.

Od kurczowego ściskania steru rozboleły go mięśnie. Nie zamierzał się poddać tak łatwo, uznać wyższość morza, bezlitosnej kochanki, która wzbudzała w nim pożądanie na równi z lękiem. Jeśli tylko zdoła wykrzesać z siebie dość sił, powinien ująć z życiem. I właśnie w chwili, gdy udało mu się na moment odzyskać panowanie nad sterem, przeraźliwy dźwięk rozdarł przesycone siarką powietrze. Był to odgłos roztrzaskującego się drewna.

Baldassare odgarnął mokre kosmyki z oczu, z niedowierzaniem spoglądając na grotmaszt, który pod naporem wichru pękł jak zapałka. Nadłamana część zwisała nad pokładem, kołysząc się niebezpiecznie. Gdyby oderwała się i runęła w dół, powstałaby w pokładzie i kadłubie ogromna dziura, a statek poszedłby w mgnieniu oka na dno.

Na szczycie masztu siedział jego ojciec, mimo że umarł przed siedmiu już laty. Baldassare jako pierwszy dowiedział się o jego śmierci, bo sam go zabił... A teraz Ermano Grattiano był na jego statku. Czarna, łopocząca na wietrze peleryna i rozwi-

chrzone, siwe włosy upodobniły go do wysłannika piekieł. Mimo dzielącej ich odległości Baldassare wyraźnie widział szaleńczy wyraz zielonych oczu ojca i wyciągniętą ku niemu upierścienioną dłoń.

- Ostrzegałem cię, że pewnego dnia będziesz mój, Baldassarze. - Czysty, dźwięczny głos Ermana niósł się ponad zawodzeniem wiatru. - W naszych żyłach płynie ta sama krew, nie sposób od tego uciec. Zabiłeś moje ciało, lecz duchem zawsze będę przy tobie.

Z gardła Baldassarego wyrwał się wściekły okrzyk. Zaślepiiony furją, nie zważając na zimno i ból, zaczął się wspinać po śliskim, chwiejnym maszcie. Przepęłniała go żądza zduszenia zła, które w nim tkwiło, pozbycia się go raz na zawsze.

Ermano umykał za każdym razem, gdy syn już go dopadał.

W pewnej chwili maszt runął wraz Baldassarem; pędził w dół z ogromną szybkością na spotkanie ze śmiercią.

Nie roztrzaskał się jednak o pokład, nie wylądował w lodowatej wodzie. Zamiast morskich fal przykryła go miękka, spiętrzona pościel.

Otworzył oczy i przez chwilę wpatrywał się dzikim wzrokiem w ciemne, drewniane belki na suficie. Na twarzy zamiast siekącego deszczu czuł lekki powiew płynącej z otwartego okna morskiej bryzy.

To nie mógł być pokład Calypso. Baldassare nie czuł kołysania, nie słyszał pokrzykiwania załogi. Przez moment nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, w dalszym ciągu tkwiąc w szponach sennego koszmaru. Nie potrafił uwolnić się od upiornej wizji sztormu i ojca, który żył już wyłącznie w jego umyśle.

Dopiero gdy próbował przekreślić się na bok, ostry ból w ramieniu odświeżył mu pamięć. Zawinęli do Santo Domingo, liżąc rany odniesione w cieśninie Mona Passage. Przypomniawszy sobie bitwę z piratami dowodzonymi przez Diega Escobara i burzę, która uszkodziła grotmaszt, zmuszając Calypso do przymusowego postoju. Jedyne, czego tu szukali, to ciepłych, suchych łóżek oraz jedzenia wolnego od pleśni i wołków zbożowych. Może jeszcze towarzystwa pięknych kobiet. Zamiast tego na jego drodze ponownie stanął Diego, tym razem uzbrojony w sztylet.

- A niech go wszyscy diabli! - zaklął, czując w ramieniu igielki przeszywającego bólu. Na morzu Baldassare nie miał sobie równych, więc Diego musiał przypelznąć aż na Hispaniołę, by wyrównać z nim rachunki.

Ermano Grattiano może i zniknął z powierzchni ziemi, lecz wciąż roiła się ona od łajdaków gotowych zająć jego miejsce. Diego wyróżniał się na ich tle co najwyżej determinacją. Zemsta popychała całkiem nawet zwykłych ludzi do przerażających czynów, w tym i morderstw - Baldassare wiedział o tym aż za dobrze.

Kiedy tak leżał w łóżku, powoli wracały do niego szczegóły ubiegłej nocy: błysk sztyletu, krzyki, wystrzał z pistoletu i wreszcie kobieta, która spoglądała na niego brązowymi oczami błyszczącymi od gniewu, niepokoju i... czegoś jeszcze.

Mimo że długie lata spędzone na morzu i w portach nauczyły go rozszyfrowywać ludzi równie sprawnie, jak nawigacyjne mapy, nie był w stanie niczego wyczytać z jej twarzy. Głębia oczu okazała się nieprzenikniona nawet dla tak doświadczonego żeglarza jak on. Być może los tej kobiety również zależał od umiejętności czytania w ludzkich myślach, gdy własne pozostawały głęboko ukryte?

A jeśli tak właśnie było, to co wyczytała z jego oczu, kiedy tak intensywnie przypatrywała mu się w tawernie? I później, gdy z taką czułością zajęła się jego raną? Najważniejsze pytanie, które nie dawało Baldassaremu spokoju, brzmiało: skąd znał tę kobietę?

Nagle usłyszał delikatne szuranie pościeli i jego oczom ukazała się znajoma twarz. Najwyraźniej spędzili noc w jednym łóżku, ponieważ kobieta miała zmierzwione włosy, a na sobie tylko cienką, białą halkę. Świece zdążyły się wypalić i pochylona nad nim twarz była oświetlona wyłącznie mdłym światłem księżyca sączącym się przez otwarte okno.

Przyglądając się jej w półmroku, zmarszczył brwi, usiłując rozwiązać zagadkę. Świadomość tego, że znali się wcześniej, była niczym sen, który wraz z nastaniem świtu zaciera się w pamięci. Im dłużej o tym myślał, tym większe miał wątpliwości. Wspomnienie tajemniczej kobiety nie przestawało go dręczyć i jednocześnie wabić niczym woń dobrych, weneckich perfum.

Nie była piękna, a przynajmniej nie w tak oczywisty sposób jak kochanki z jego młodzieńczych lat albo Marguerite, żona Nikołaja Ostrowskiego, z pochodzenia Francuzka. Tamte przypominały anioły - złociste, czarujące stworzenia ze światła i mgły. W przeciwieństwie do nich ta kobieta - i jednocześnie jego lekarz - miała wychudzoną twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, długim nosem, pełnymi ustami i brwiami przypominającymi kształtem skrzydła kruka. Policzki i nos usiane były piegami, co oznaczało, że nie chroniła skóry przed tropikalnym słońcem. Musiał jednak przyznać, że szczupłe, noszące ślady ciężkiej pracy dłonie sprawnie radziły sobie z opieką nad nim.

Ta kobieta nie była więc ani rozpieszczoną damą, ani pierwszą lepszą portową panią. Nie mógł jej pamiętać z żadnego weneckiego balu, a mimo to nie potrafił się pozbyć dręczącego uczucia, że skądś ją zna.

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła opuszkami palców jego czoła. Rękaw halki zsunął się, odsłaniając szczupły, nagi nadgarstek, którego nie zdobiła żadna bransoleta. Skóra pachniała mieszanką mydła, alkoholu i egzotycznych kwiatów. Woń była jednocześnie słodka i kusząca, przedziwnie znajoma i obca zarazem. Przypominała rozrzucone po morzu tropikalne wysepki.

Przyglądziła dłonią jego rozwichrzone włosy, zatrzymując ją na policzku. Twarda, zapuszczana przez długie, spędzone na morzu dni broda musiała nieprzyjemnie drażnić miękką skórę, mimo to nie cofnęła dłoni. Ciemne oczy świdrowały go na wyłot, lśniąc w ciemności niczym para drogocennych klejnotów.

Baldassare poczuł niezwykle silną, niewytłumaczalną potrzebę ucałowania miękkiego, pulsującego wnętrza kobiecego nadgarstka. Pragnął posmakować językiem skóry, by wreszcie obnażyła się przed nim i pokazała swoją prawdziwą, skrzętnie skrywaną twarz.

Nie ośmielił się jednak. Zamiast tego z niecierpliwością czekał na jej ruch.

- Czy pan przypadkiem nie ma gorączki? - zapytała z czułością. - Czoło jest ciepłe. Powinam chyba zmienić panu bandaż.

Wyciągnął dłoń i schwycił nadgarstek, nie pozwalając jej odejść. Tak wiele cza-

su minęło, odkąd po raz ostatni dotykał kobiety, rozkoszował się zapachem i miękkością skóry. Gdyby tylko potrafił sobie przypomnieć, skąd znał swoją czułą opiekunkę!

- Jak masz na imię? - zapytał niecierpliwie, zaciskając mocniej dłoń. Może, gdy je pozna, wróci mu pamięć?

- Już panu mówiłam. Jestem señora Montera. - Mimo hiszpańskiego nazwiska i pewności, z którą mówiła w tym języku, wychwycił cień obcego akcentu. Nie słyszał go u niej wcześniej, co oznaczało, że pojawiał się tylko wówczas, gdy była zmęczona i nie do końca kontrolowała melodię głosu.

Znał ten akcent aż nazbyt dobrze, ponieważ sam - mimo lat spędzonych w hiszpańskiej flocie - miał podobny.

- Señora, pytałem o imię, nie o nazwisko - powtórzył z naciskiem.

Bez słowa przesunęła dłoń wzdłuż jego policzka, dotykając linii szczęki opuszkami palców. Na koniec musnęła również usta.

Baldassare schwycił wargami koniuszek palca i wreszcie poczuł smak jej skóry, przedziwną mieszankę soli i kwiatów.

Usłyszał, jak wciągnęła powietrze, a jej ciało przeszył dreszcz. Wydawało się, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie, w bezpiecznym schronieniu nocy. Przeszłość i przyszłość nagle przestały się liczyć, podobnie jak imię tajemniczej wybawczyni.

Ból również wydał się Baldassaremu odległy, kiedy owinał zdrowe ramię wokół talii señory Montera i przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu, myśląc pewnie, że wciąż śni. Ich usta złączyły się w pocałunku, z początku delikatnym, badawczym, później coraz bardziej śmiałym i namiętnym. Z jej gardła wyrwało się rozkoszne westchnięcie, co obudziło w Baldassarze dawno nieodczuwaną żądzę.

Kiedy ich języki się zetknęły, wrażenie było porównywalne z uderzeniem błyskawicy. Fala ciepła całkowicie pochłonęła ciała kochanków. Pocałunek był gwałtowny, wręcz zwierzęcy, podobnie jak dziki taniec warg, i wreszcie ciał.

Baldassare poczuł, jak jego męskość twardnieje pod wpływem pieścizot. Pociągnął za rąbek halki tak, by cieniutki materiał uwidoczniał kształt kobiecych nóg i bioder, które okazały się szczupłe i gibkie.

Jęknęła, czując dotyk na delikatnej, wewnętrznej części uda i krągłości bioder. Wygięła się, odrywając od Baldassarego spragnione usta. Uniósł się w pościeli, trzymając dłonie na biodrach Bianki i pieszcząc ustami jej szyję.

Zatrzymał język dokładnie w miejscu, gdzie krew pulsowała szaleńczo pod jedwabną skórą, czując, jak na moment on i tajemnicza kobieta stają się jednością. Po tym, jak dwukrotnie zajrzał w oczy śmierci, ciepło i pożądanie zawładnęły nim silniej niż narkotyk. Obsypał pocałunkami obojczyk, ramię, wreszcie odsunął materiał, który posłusznie spłynął w dół ciała.

Jej pierś nie była zbyt duża, lecz cudownie kształtna, zwieńczona sutkiem, który stwardniał pod wpływem delikatnego oddechu. Baldassare wsunął go głęboko do ust i zaczął pieścić, rozkoszując się odgłosem coraz głośniejszych westchnień kochanki.

Czuł, jak jej palce wślizgują się w jego włosy, a uda mocno zaciskają na biodrach. Wilgotne pulsowanie stawało się coraz intensywniejsze.

- Baldassare! - krzyknęła bez tchu. - Ja...

Niespodziewanie odepchnęła go z powrotem na poduszki i zeskoczyła z łóżka jak oparzona. Gdy tylko stracił z nią kontakt, fala dzikiego pożądania ustąpiła miejsca przeszywającemu bólowi.

Podciągnął się na łokciach, dysząc ciężko, z niedowierzaniem obserwując, jak señora Montero naciąga na siebie halkę, zabraniając mu widoku ponętnych piersi. Jej oddech również był przyśpieszony, a ramiona drżały konwulsyjnie. Gdy wreszcie udało jej się nieco uspokoić, zerknęła na niego mocno speszona. Światło księżycy uwydatniło bladość skóry jego niedoszłej kochanki, upodabniając ją do antycznego posągu.

- Znasz moje imię - powiedział. - I mówisz z weneckim akcentem.

Cień uśmiechu przemknął przez jej wciąż nabrzmiałe od pocałunków usta.

- Oczywiście, że wiem, kim jesteś, Baldassarze Grattianie. Twoja imię znane jest od Sewilli aż po Peru. Wszak to ty jesteś kapitanem Calypso, postrachem mórz i kobiecych sypialni.

Nie odezwał się ani słowem, obserwując, jak zarzuca na ramiona szal i idzie w

stronę drzwi. Tylko jej przyśpieszony oddech zdradzał, że doszło do czegoś między nimi.

A może to on tak szybko oddychał? Czuł się tak, jakby od wielu godzin wspinał się po maszcie, walcząc z porywistym wiatrem.

- Mam na imię Bianca - powiedziała cicho, po czym wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Baldassare jęknął przeciągle, opadając w pościel pachnącą mydłem i pożądaniem. Jego ciało wciąż było napięte i pobudzone, spragnione kobiecego dotyku. W uszach dudniła mu krew, a ból ramienia stawał się coraz dotkliwszy.

A więc nazywała się Bianca. Nie znał jednak żadnej kobiety o tym imieniu...

I nagle doznał olśnienia.

- Bianca Simonetti - szepnął, zaciskając boleśnie pięści.

Oto nawiedził go kolejny upiór z przeszłości.

Rozdział czwarty

Bianca oparła się ciężko o drzwi, przyciskając ręce do żołądka. Przed chwilą całowała się z Baldassarem Grattianem! Pozwoliła, by pieścił ustami jej pierś, dosiadła go niczym portowa prostytutka i co gorsza, sprawiło jej to przyjemność.

Nie! Uczucie, które ją ogarnęło, było o wiele intensywniejsze. Rozkosz zawładnęła jej ciałem i duszą do tego stopnia, że zapomniała o bożym świecie. Na krótką chwilę upiorna przeszłość przestała istnieć, liczył się tylko taniec warg Baldassarego na jej skórze i niezwykle obiecująca wypukłość w jego spodniach. Czowała buzujące w ciele pożądanie. Mogłaby przysiąc, że lada chwila eksploduje tak jak rewolwer w jej dłoniach poprzedniego wieczoru.

Jęknęła, zasłaniając twarz drżącymi dłońmi. Po wielu latach w jej życiu pojawił się mężczyzna, który zdradził jej zaufanie w najgorszy z możliwych sposobów. Ona zaś, zamiast przelać jego krew, wyrównując tym samym dawne rachunki, niemalże mu się oddała, i to we własnym łóżku!

Do uszu Bianki dobiegło skrzypienie podłogi i wymamrotane ze złością przekleństwo. Czyżby Baldassare wstał z łóżka? Rzuciła się do ucieczki po schodach w dół, nie zważając na boscie stopy, nie wiedząc nawet, dokąd biegnie. Opustoszała tawerna tonęła w półmroku. W powietrzu unosił się ciężki zapach rozlanego alkoholu, resztek gulaszu oraz gryzący swąd prochu. Po podłodze wały się połamane podczas wczorajszej bójki meble, nadające się wyłącznie na rozpałkę.

Przeszła do znajdującej się na tyłach pomieszczenia kuchni, gdzie temperatura była jeszcze wyższa. W kominku, na którym gotowano podawane w lokalu potrawy, dogasał ogień. Bianca wyminęła śpiącą na zapiecku Delores i wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zbliżał się ranek. Czerń nocy z wolna ustępowała miejsca blademu świtowi. Wkrótce w oknach sklepów i domów rozbłysną światła, a dzwony kościelne wezwą wiernych na mszę. Forteca gubernatora lada moment zbudzi się ze snu, a on sam przystąpi do pracy w służbie króla, wyspy i jej mieszkańców.

Bianca nie mogła nadziwić się zwodniczemu spokojowi uśpionego miasteczka. Santo Domingo było jej domem od dawna. Mieszkała tu dłużej niż większość Europejczyków, z trudem znoszących upał, egzotyczną kuchnię, robactwo i gwałtowne burze, a przede wszystkim brak hiszpańskiej kultury i wygód. Ludzie najczęściej przyjeżdżali tu po majątek albo miejsce na dworze przyznawane w nagrodę za wierną służbę królowi. Gdy tylko osiągnęli swój cel, z ulgą wracali do Sewilli czy Madrytu, starając się jak najszybciej zapomnieć o pobycie na piekielnej wyspie.

Lecz Bianca ją pokochała. Owszem, tęskniła czasem za Wenecją, jednak po latach tułaczki, ciężkiej pracy i walki o przetrwanie wreszcie odnalazła coś w rodzaju domu w portowym mieście nad Rio Ozamą. To tutaj udało jej się rozkręcić dobrze prosperujący interes, którego prowadzenie wymagało wyłącznie uczciwej, ciężkiej pracy i nie odzierało jej z godności.

Roześmiała się gorzko. Wywlekanie z tawerny upitych w sztok marynarzy o trzeciej nad ranem nie należało do przyjemności, podobnie jak szorowanie lepkiej od alkoholu podłogi i twarde negocjacje cen alkoholu z kupcami. Niejeden raz miała ochotę przyłożyć kotłem szczególnie odpychającemu klientowi albo rzucić wszystko w diabły i uciec do dżungli.

Zdarzały się jednak chwile, kiedy zostawiała zgiełk tawerny i szła na spacer brzegiem rzeki, żeby zaczerpnąć przesyconego zapachem pobliskiego morza i słodkim aromatem egzotycznych kwiatów powietrza. Rozkoszowała się czystym błękitem nieba rozświetlonego palącym słońcem. Chłonęła piękno i spokój otaczającej ją natury, czerpiąc z nich siłę.

Santo Domingo nie było zbyt gościnne, szczególnie w porównaniu z Wenecją. Pomimo solidnej, gubernatorskiej fortecy oraz wybudowanej na głównym placu katedry w mieście wciąż wyczuwało się atmosferę tymczasowości. Zaledwie trzydzieści lat temu w miejscu budynków stały tubylcze chatki, nic więc dziwnego, że cywilizacja europejska była tak krucha, a ryzyko buntu duże. Bianca mieszkała jednak w miejscach o wiele bardziej wrogich niż to.

Przybycie Baldassarego Grattiana zburzyło jej spokój. Zmarszczyła brwi, zasta-

nawiając się, co wyгнаło go z rodzinnej Wenecji, pełnej drogocennych klejnotów, najdelikatniejszego jedwabiu i pięknych kobiet przybiegających na skinienie palca. Z drugiej strony cieszył się opinią nieustraszonego kapitana statku i szacunkiem swojej załogi. Tylko prawdziwie druzgocące przeżycia mogły być przyczyną ucieczki na przeciwny kraniec oceanu. Sama coś o tym wiedziała... Baldassare był przecież weneckim księciem, jedynym spadkobiercą potężnego i bezwzględneho ojca. Pieniądze nie mogły być powodem ucieczki w nieznaną, w przeciwieństwie do chorobliwej chciwości rodu Grattianów. Dla ludzi owładniętych taką przypadłością jedno królestwo to faktycznie za mało.

Czy skoro Baldassare tak niespodziewanie wtargnął w życie Bianki, powinna się spodziewać również jego ojca?

Na samo wspomnienie martwych oczu matki i zakrwawionego sztyletu poczuła dreszcz. Już kiedyś, gnana strachem, musiała uciekać, zniknąć z ukochanej Wenecji, i miała nadzieję, że coś podobnego nigdy się nie powtórzy.

Pokręciła głową w niemym zapewnieniu, że do tego nie dopuści. Tym razem była we własnym domu. Poza tym nie zamierzała ponownie uciekać przed tą samą osobą.

Postanowiła poznać zamiary Baldassarego, nim zdecyduje, co sama zrobi.

Blade światło poranka niemal całkowicie rozproszyło mrok nocy, a wraz z nim strach Bianki. Nie była już zahukaną, osieroconą dziewczyną ze złamanym sercem, lecz dorosłą kobietą, która miała zbyt wiele do stracenia, by poddać się, nie walczyć o swoje.

Westchnęła ciężko. Cóż, pocałunek oddała bez walki. Od teraz zamierzała lepiej się pilnować i nie ulegać urokowi Baldassarego, choć nic nie zmieni faktu, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do kuchni, gdzie zaspana Delores usiłowała rozpalić w kominku ogień. Dzień zapowiadał się pracowicie. Bianca nie mogła pozwolić, by niespodziewany gość w czymkolwiek im przeszkodził.

Z sypialni nie dobiegał najdrobniejszy nawet szelest, może więc Baldassare

zniknął równie szybko, jak się pojawił? Mimo to zabrała się do przygotowania wody, bandaży i odgrzewania wczorajszego gulaszu.

- Czy on tam jest? - zapytała Delores.

- Oczywiście. Jego stan nie pozwalał na wałęsanie się po nocy - odparła Bianca. Choć wyglądał na okaz zdrowia, kiedy mnie całował i pieścił, dodała w myślach.

Delores westchnęła ciężko.

- Ach, señora, jakież on przystojny! Cóż to by była za strata, gdyby zamach na jego życie się powiódł.

Szczególnie że wtedy Bianca nie miałaby okazji poznać odpowiedzi na kilka ważnych pytań i wyrównać ze swoim wrogiem rachunków.

- Przystojny czy nie, szkoda czasu na wyśpiewywanie hymnów pochwalnych na jego cześć - odparła cierpko. Wszystko zaczynało jej działać na nerwy. - Mamy pełne ręce roboty.

Delores posłusznie kiwnęła głową, zabierając się do obierania i krojenia manio-ku. Owszem, nie potrafiła opanować słabości wobec przystojnych marynarzy, lecz słaba z natury nie była i nie bała się ciężkiej pracy, a służba w tawernie bardzo ją satysfakcjonowała.

- Szczególnie biorąc pod uwagę tłumy, szukające schronienia na wyspie po ostatnim sztormie. Myślę, señora, że musimy dokupić mięsa, jeśli chcemy ich wszystkich wyżywić. Wczoraj zużyłam ostatni kawałek.

- Zaraz wybiorę się na targ - powiedziała Bianca, czując silną potrzebę ucieczki. Skoro nie mogła czmychnąć do dżungli, przejdzie się chociaż na rynek. Miała nadzieję, że ciepła poranna bryza ukoi jej skołatane nerwy i uwolni myśli od Baldassarego. - Nie spuszczaaj oka z kapitana.

- Tak jest, señora! - Uśmiech rozjaśnił twarz Delores.

- Tylko nie zapomnij trzymać rąk przy sobie - dodała szybko Bianca, wnosząc po schodach tacę z bandażami i miednicą. Stanęła pod drzwiami, uważnie nasłuchując. Wydarzenia ostatniej nocy utwierdziły ją w przekonaniu, że kiedy w pobliżu znajdował się Baldassare, nie mogła sobie w pełni ufać. Zadrżała na wspomnienie do-

tyku jego dłoni na nagiej skórze. Budowany przez szereg lat mur, którym odgradzała się od świata, okazał się bardziej kruchy, niż myślała. Od tej pory będzie się miała na baczności.

Bezszelestnie wślizgnęła się do pokoju. Baldassare leżał na łóżku pogrążony we śnie. Skłębiona pościel i pozycja ciała wskazywały na to, że sen nie należał do najprzyjemniejszych. Bianca przypomniała sobie, jak krzyczał w nocy, usiłując odegnąć koszmary. Odstawiwszy tacę na stolik, podeszła na palcach do łóżka, szukając na twarzy chorego śladów gorączki. Czoło przecinała głęboka zmarszczka, lecz poza tym nie zauważyła niczego niepokojącego. Krew przesiąkała przez bandaż, ale rana nie wyglądała na zainfekowaną.

Ostrożnie odgarnęła splątane włosy z opalonej twarzy, obserwując, jak promienie słońca odbijają się w niewielkim złotym kolczyku. Daleko mu było do pereł i diamentów, które nosił w Wenecji.

Bianca spojrzała na ubrania przewieszane przez oparcie krzesła. Ot, zwykła skórzana kamizelka, podarta koszula, para znoszonych butów. Najdelikatniejsze jednak, podobnie jak drogocenne klejnoty, były tylko wspomnieniem.

- Coś ty robił przez te wszystkie lata, Baldassarze? - wyszeptwała. - I co przygnało cię aż tutaj?

Jęknął przez sen, przewracając się na drugi bok. Bianca przykryła go ostrożnie, starając się nie zbudzić. Pragnęła poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania, ale nie była jeszcze gotowa, by stawić mu czoło. Musiała najpierw uszczelnić mur chroniący jej serce przed zranieniem.

Szybko umyła twarz i uczesała się, ujarzmiając niesforne kędziory dzierganym czepkiem. Włożyła skromną, brązową sukienkę oraz parę solidnych, wygodnych butów. Nie dostrzegła ani śladu weneckiej damy w swoim odbiciu. Baldassare na pewno nie zechciałby jej teraz pocałować, lecz przecież wybierała się na zakupy, a nie na schadzkę.

Miała nadzieję, że po powrocie będzie wiedziała, jak postąpić ze śpiącym w jej łóżku mężczyzną.

Rozdział piąty

Bianca wyskoczyła zwałwym krokiem z tawerny z przewieszonym przez ramię koszykiem i ruszyła w stronę rynku. Większość ulic w Santo Domingo była wąska, z ciasno upakowanymi domami i sklepami, jednak kocie łby upodabniały je do ulic europejskich miast. W świetle poranka żółte i czerwone cegły lśniły, a morskie powietrze było rześkie i przejrzyste. Dopiero za parę godzin upał zacznie doskwierać mieszkańcom tak bardzo, że schronią się przed nim za zamkniętymi okiennicami.

Przemierzała kolejne ulice, witając się z otwierającymi swoje sklepiki sąsiadami. Planowała odwiedzić piekarnię i dostawcę cukru, który przywoził towar ze znajdujących się w głębi wyspy plantacji, najpierw jednak musiała załatwić najpilniejszą sprawę. Dźwięk dzwonów katedry wybrzmiał już dawno i lada moment targ miał się zaroić od klientów polujących na najładniejsze mięso i jarzyny.

W końcu udało jej się wydostać z labiryntu uliczek i znalazła się na rynku. Santo Domingo zostało wybudowane na szczycie wzgórza, co zapewniało miastu naturalną obronę przed ewentualnym atakiem. Forteca gubernatora, w której znajdował się skarb miasta i siedziba rady zwanej cabildo, górowała nad resztą zabudowań i była od nich oddzielona grubymi, dobrze strzeżonymi murami. Zapatrzyła się na postrzępione, zielono-czarne wzgórza skrywające dżunglę, w której nigdy jeszcze nie była. Powiew bryzy spływał z pokrytych soczystą zielenią zboczy, dodając Biance ożywczej energii.

Kiedy minęła mury obronne, przed jej oczami rozpostarł się widok portu. Ujście Rio Ozamy było uformowane w taki sposób, że mogło dać schronienie dziesiątkom statków. Zwykle nie było takiej potrzeby, lecz niedawny sztorm zmusił wiele okrętów do szukania pomocy w Santo Domingo. Szafirowobłękitne wody roily się od masztów i marynarzy, którzy zwijali się jak w ukropie na pokładach. Bianca doskonale słyszała żeglarskie pokrzykiwania i przyśpiewki.

Zatrzymała się na chwilę, usiłując zgadnąć, który ze statków to Calypso. Wiele z nich miało połamane maszty. Tak potężny i owiany legendą okręt musiał się przecież różnić od reszty. Z całą pewnością otaczała go magiczna aura.

Choć z całych sił przypatrywała się karawelom, majestatycznym żaglowcom i małym łódkom, nie dostrzegła niczego niezwykłego. Przypomniała sobie za to podróże, które odbyła u boku Juana Montera, całe to kołysanie niesionego przez fale statku i bezkres morza. Tamto życie nie było łatwe, lecz dawało poczucie wolności, którego teraz tak bardzo jej brakowało.

- Señora Montero? - Mendoza, kwatermistrz Baldassarego, zmierzał właśnie w jej stronę i przerwał jej marzenia na jawie. - Szedłem właśnie do pani tawerny. Jak się czuje kapitan?

- Nie najgorzej. Spał, kiedy wychodziłam, ale nie zaobserwowałam u niego gorączki. Pod moją nieobecność opiekuje się nim służąca.

Uśmiech rozjaśnił posępną, zarośniętą twarz marynarza.

- To wspaniałe wieści, señora! Nie mogę się doczekać, żeby przekazać je załodze. Przez całą noc modliliśmy się w intencji kapitana.

- Doprawdy? - zdziwiła się Bianca. - Pewnie ze strachu przed utratą pracy i wynagrodzenia, co niechybnie nastąpiłoby z chwilą śmierci waszego kapitana.

Mendoza wyraźnie się zmieszał tak obcesowo wyrażoną opinią.

- Wcale nie z tego powodu, señora. Załoga i tak dostałaby zarobione pieniądze, a uczciwy marynarz zawsze znajdzie pracę. Chodzi o to, że żaden kapitan, choćby i najbieglejszy w swym fachu, nie dorównuje Baldassaremu Grattianowi.

Utkwiła spojrzenie w tętniącym życiem porcie, przypominając sobie zasłyszane legendy o na wpół mitycznym statku Calypso i jego kapitanie.

- Za to wielu przewyższa go stażem - szukała dziury w całym, choć wiedziała, że raczej się jej nie doszuka.

- Przecież jest jeszcze bardzo młody. Wyruszył w morze blisko siedem lat temu jako praktykant na statku Elena Maria - wyjaśnił Mendoza. - Kupił Calypso przed dwoma laty i od tego czasu załoga jest mu wierna. Przy pomyślnych wiatrach za trzy tygodnie dopłyniemy do Hiszpanii.

- Trzy tygodnie? - W głosie Bianki pobrzmiwało niedowierzanie. - Musiałby mieć magiczne zdolności.

- Niektórzy w to wierzą - odparł ze śmiechem. - Chociaż zamiast różdżki używa map i tabel do nawigacji. Potrafi przeprowadzić statek bezpiecznie przez największy sztorm. Kawał z niego marynarza, señora. Załoga bez wahania skoczyłaby za nim w ogień.

- Nie brakuje mu też wrogów. Kim był ten człowiek, który próbował go zabić?

W jednej chwili uśmiech zniknął z twarzy Mendozy.

- Nazywa się Diego Escobar - odrzekł z grobową miną.

- Dlaczego zależy mu na śmierci waszego kapitana? - Bianca przypomniała sobie martwy wyraz oczu zakapturzonego mężczyzny. Czyżby i jemu ród Grattianów odebrał coś cennego? Nie wątpiła w lojalność załogi Baldassarego, przecież i ją urzekła jego charyzma. Z drugiej strony wierzyła również, że mógł się dopuścić zniewagi, a nawet zbrodni. -

- Escobar był oficerem nawigacyjnym na naszym statku. Dołączył do załogi jakiś rok temu, w Veracruz. - Mendoza opowiadał niechętnie, każde słowo przychodziło mu z trudem. - Przyjaźnili się z kapitanem, do czasu...

- Do czasu gdy co? - zapytała niecierpliwie, nie mogąc się doczekać finału opowieści.

- Poszło o kobietę.

- No tak. - Oczywiście! Kobieta. Bianca doznała rozczarowania, słysząc tak błahy i łatwy do przewidzenia powód. - A więc jakaś panienka zmieniła obiekt westchnień z Diega na Baldassarego.

- Nie, nie, señora! To nie było tak.

Ta historia była stara jak świat. Bianca co tydzień była świadkiem bójek o kobietę w swojej tawernie. Mimo to posłała Mendozie uśmiech, zachęcając, by kontynuował swoją opowieść.

- Zanim Diego zaciągnął się na Calypso, poznał pewną kobietę, Esperanzę. Wprawdzie nie była Europejką, ale nikt specjalnie się tym nie przejmował. Wielu marynarzy... - Urwał speszony tym, co miał zamiar powiedzieć.

- Wielu marynarzy uprawia przygodny seks, mimo że w Hiszpanii czekają na

nich niczego nieświadome żony - dokończyła Bianca.

- Tak - odpowiedział Mendoza, w dalszym ciągu zażenowany tym, że porusza taki temat w rozmowie z damą. - Jednak Diego poślubił tę kobietę podczas jednego z postojów w Hawanie. Została nawet ochrzczona, żeby wszystko odbyło się jak należy. Później wypłynęliśmy w morze, w kierunku Peru, gdzie planowaliśmy załadunek srebra. I wtedy właśnie to się stało, zaledwie parę dni po opuszczeniu Kuby.

- Co się stało? - wyszeptała Bianca.

- Kapitan dowiedział się, że Diego ukrywa w ładowni swoją żonę, na dodatek brzemienną i chorą.

Bianca potrafiła sobie doskonale wyobrazić nieustanne kołysanie, unoszące się w powietrzu smród i wilgoć. Ładownia nie była wymarzonym miejscem dla ciężarnej kobiety.

- Co też on sobie wyobrażał? - wyszeptała.

- Kapitan wpadł w szal, señora - ciągnął Mendoza. - Uparł się, żeby wysadzić ją na brzeg, ale Diego nie chciał o tym słyszeć. Kapitan Grattiano postawił jednak na swoim. Zawrócił statek na Kubę, mimo że kosztowało nas to sporo cennego czasu, i zostawił ją tam pod opieką pielęgniarki.

- Nie mógł postąpić inaczej. - Bianca nie sądziła, że kiedykolwiek będzie popierała zachowanie Baldassarego.

- Właśnie. Mimo to, Panie, świeć nad jej duszą, Esperanza zmarła! Wtedy Diego poprzysiągł kapitanowi śmierć. Chciał w ten sposób pomścić swoją żonę i nienarodzone dziecko.

- I udało mu się go dopaść w mojej tawernie. - Pokręciła z niedowierzaniem głową. A więc krwawa scena, której była świadkiem, rozegrała się z powodu miłosnej tragedii, a nie walki o władzę czy pieniądze!

- Kapitan Grattiano zapłaci za wszelkie straty, señora - dodał szybko Mendoza. - Wszyscy jesteśmy wdzięczni za to, co pani dla niego zrobiła.

- Proszę się nie śpieszyć z podziękowaniami. Może pan odwiedzić swojego kapitana. Ja muszę dokończyć zakupy.

- Oczywiście, señora.

Mendoza ruszył w stronę tawerny, Bianca zaś skierowała kroki w stronę placu, gdy nagle coś jej się przypomniało.

- Señor Mendoza! - krzyknęła.

- Tak, señora?

- Który statek to Calypso?

- O, tamten! - Wskazał okręt oddalony nieco od pozostałych, zacumowany w niewielkiej zatoczce. - Jak pani widzi, naprawa już niemal skończona. Gdy tylko kapitan nabierze sił, ruszamy w drogę.

- W drogę? A dokąd?

Uśmiech ponownie rozjaśnił twarz Mendoza.

- Do domu! Nareszcie. Minęły wieki, odkąd widzieliśmy Vista Lindę po raz ostatni.

Vista Linda? Nic jej ta nazwa nie mówiła. Gdzież więc znajdował się ich dom? Zanim zdążyła zadać to pytanie, kwatermistrz odwrócił się na pięcie i odszedł, pogwizdując żeglarską melodię. Bianca ruszyła w stronę rynku z jeszcze większym mętlikiem w głowie.

Od zawsze twardo stąpała po ziemi. Ciężko pracowała, by nie zaznać biedy, i kontentowała się drobnymi przyjemnościami, ot, ciepło domowego ogniska, kieliszek dobrego wina. To właściwie wszystko. Choć kusił ją bezkres oceanu i związana z nim wolność i przygody, wiedziała, że wcześniej czy później i tak trzeba zawinąć do bezpiecznego portu. To jej matkę fascynowały zawiłości życia, miłosne zagadki i przewrotność losu.

Baldassare Grattiano był jak ocean: nieprzewidywalny, kapryśny i przez to kuszący. Niczym wodny żywioł w jednej chwili odebrał Biance wszystko, co posiadała. Żeglarze odkrywający Nowy Świat musieli być twardzi i nieustępliwi, taki też był ród Grattianów. Dlaczego więc Baldassare zdecydował się wrócić do Hawany w trosce o kobietę? Jakich sztuczek użył, by zdobyć bezgraniczne zaufanie swojej załogi?

A przynajmniej jej większości. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł po plecach

Bianki, gdy przypomniła sobie Diega i martwy wyraz jego oczu.

Myśli uparcie krążyły po jej głowie, kiedy dotarła na rynek Santo Domingo. Po jednej stronie stała katedra Santa Maria La Menor. Wprost porażała majestatem, choć budowa nie została jeszcze ukończona. Biel budynku wydawała się szczególnie porażająca w jaskrawym świetle poranka. Drzwi do świątyni były uchylone, kusząc wiernych, by wstąpili do chłodnego wnętrza i powierzyli Bogu swoje grzechy.

Bianca przeniosła wzrok ze sprzyjającego samotnym refleksjom kościoła na gwarny, tętniący życiem rynek. Pośrodku placu wzniesiono kamienny krzyż, wokół którego farmerzy i kupcy rozstawiali swoje stragany. Co tydzień pokonywali długą, zmudną drogę z położonych w głębi wyspy plantacji, żeby zaoferować mieszkańcom miasteczka plony ze swych pól i ogrodów.

Uwagę Bianki przykuły warzywa i owoce: soczyste pomarańcze, cytryny, guawy oraz ułożony w kopce maniok. Obok straganów stały beczki z cukrem, pochodzącym z jednego z trzydziestu czterech młynów na wyspie, słoje z melasą do produkcji rumu i pojemniki z kosztownymi przyprawami. Żaden z tych towarów nie interesował jej dzisiaj. Zajęła się oglądaniem wołowiny z fermy bydła i mięsa dzikich, żyjących w górach świń. Jej goście lubili tradycyjną, hiszpańską kuchnię, której nieodłącznym elementem były zawiesziste mięsne potrawy i pieczenie.

Płacąc za zakupy, Bianca przypomniła sobie opowieści matki dotyczące wystawnych bankietów w weneckich pałacach. Na stołach królowały wówczas potrawy z drobiu, łososia i królika w towarzystwie skropionych kroplą soku z cytryny porów, dorodne truskawki, wykwintne słodycze i wina. Setki świec rzucały łagodne światło na patery wykonane ze szczerzego srebra i złota, ustawione na obrusach uszytych z najdelikatniejszego jedwabiu. Nawet wtedy brzmiało to niewiarygodnie, niczym opis uczty olimpijskich bogów. Tym bardziej teraz tak było, kiedy Wenecja naprawdę zdawała się leżeć w innym świecie. Bianca mogła co najwyżej pomarzyć o podaniu w tawernie królika. Musiała się zadowolić pieczoną wieprzowiną i maniokiem oraz rumem w miejsce wina.

- Słyszała pani najnowsze wieści, señora Montero? - zapytał kupiec. - Zeszłej

nocy splądrowano jeden ze sklepów. Mam nadzieję, że to nie kolejny atak piratów.

- Zwłaszcza że w gubernatorskiej fortecy gości podobno hiszpańska księżniczka - wtrąciła jego żona. - Plotka głosi, że przybyła na specjalne zaproszenie señora de Alamedy.

Bianca udała uprzejme zainteresowanie, choć jej myśli w dalszym ciągu krążyły wokół domu. Nie wspominała go od bardzo dawna, celowo skupiając się na tym, co działo się tu i teraz. Wiedziała, że Wenecja podobna była drogocennemu klejnotowi, który raz utracony, nigdy nie miał do niej wrócić. Tak samo jak życie jej matki i pieniądze ukradzione przez „piratów”.

Pojawienie się Baldassarego wywołało lawinę myśli w jej głowie. Zaczęła żałować, że nie może go poczęstować bażantem zamiast wieprzowiną, a przecież powinno ją guzik obchodzić, co on jadł i robił przez ostatnich siedem lat!

Najlepiej by zrobiła, wylewając mu gulasz na głowę i wyrzucając za drzwi, gdy tylko przekroczył próg tawerny.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu na myśl o ciemnej, tłustej cieczy spływającej po twarzy Baldassarego. Na pewno w całym życiu nie spotkało go nic równie upokarzającego.

Kiedy wracała do tawerny z ciężkim koszykiem kołyszącym się na biodrze, przypomniała sobie słowa Mendozy. Skoro Baldassare żeglował od siedmiu lat, to oznaczało, że opuścił Wenecję niedługo potem, jak ona z niej uciekła. Pytanie tylko dlaczego?

Ot, i kolejna łamigłówka. Bianca miała jednak anielską cierpliwość i wiedziała, że wcześniej czy później zdoła wszystkie zagadki rozwikłać. Na razie jednak miała coś innego do roboty. Słońce wisiało wysoko na bezchmurnym niebie, bezlitośnie przypominając o konieczności powrotu do tawerny. Nie mogła pozwolić, by myśli o Baldassarze pokrzyżowały jej plany.

Mimo to nie potrafiła sobie odmówić ostatniego spojrzenia na zatoczkę, w której stała na cumach Calypso. Statek nie imponował rozmiarami. Była to średniej wielkości karawela, długa na siedemdziesiąt i szeroka na dwadzieścia pięć stóp, z dwoma

masztami, z których jeden w dalszym ciągu był uszkodzony.

Na pierwszy rzut oka nie robił wielkiego wrażenia, ale po latach spędzonych u boku Juana Bianca potrafiła dostrzec prawdziwą wartość statku. Juan nazywał karawelę „najlepszym statkiem pływającym po morzach”, a Calypso wyglądała na prawdziwą perełkę. Lekka i zwrotna, sterowana ręką wprawnego kapitana mogła dopłynąć wszędzie nawet przy niepomyślnych wiatrach. Szczególnie jeśli tym kapitanem był Baldassare Grattiano.

Bianca nie miała cienia wątpliwości, że jej gość potrafi z takim samym wdziękiem i skutecznością kontrolować zarówno statki, jak i kobiety. Powzięła jednak so lenne postanowienie, że nie ulegnie mu nigdy więcej.

Rozdział szósty

Baldassare włożył czystą koszulę, zaciskając zęby z bólu, choć w porównaniu z innymi jego ranami ta na ramieniu była ledwie draśnięciem. Po tym, jak Bianca troskliwie się nim zajęła, nawet nie krwawił.

No właśnie, Bianca Simonetti czy raczej Montero. Zapinając guziki, rozmyślał o dziewczynie, którą przed siedmiu laty poznał w Wenecji. Mimo kościstej sylwetki i niewyszukanych strojów była dość ładna. Kiedy odwiedzał jej dom, uśmiechała się do niego nieśmiało, wstydliwie spuszczaając oczy. A jednak darzył ją sympatią. Pogawędki dotyczące książek o nawigacji i geografii, którymi się wówczas zaczytywał, czyniły krępujące wizyty znośnymi. Właściwie to nawet je polubił i z niecierpliwością czekał na kolejne odwiedziny u tarocistki, bo oznaczały spotkanie z Biancą.

Mieszkając w Wenecji, znał wiele pięknych, biegłych w sztuce uwodzenia kobiet. Bianca była inna, lecz jej ciemne oczy i otwarty umysł fascynowały go równie mocno. Żadna tak jak ona nie potrafiła słuchać i zmuszać do myślenia swoimi dociekliwymi pytaniami.

A potem nagle, tuż po śmierci swej matki, rozplynęła się w powietrzu. Życie Baldassarego również zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni na skutek pewnej burz-

liwej nocy. Musiał ułożyć je sobie na nowo, i to na pełnym morzu. Przez lata eksplorowania obcych lądów obraz Bianki zatarł się w jego pamięci. Dziewczyna stała się tylko wspomnieniem.

Kiedy zdradziła mu swoje imię, natychmiast dostrzegł podobieństwo, choć jej twarz przez lata nabrała pełnego nieufności i czujności wyrazu, zniknęły gdzieś otwartość i podawana na talerzu szczerłość. Najwidoczniej i dla niej los okazał się niełaskawy.

Lecz oto teraz ich ścieżki ponownie się przecięły, na dodatek zawdzięczał jej życie.

Rozejrzał się po sypialni niewiele większej niż jego kajuta na Calypso. Wystrój pokoju był surowy, nie zdobiły go dywany ani obrazy, nie wspominając o jedwabnych poduszkach czy puzderkach z kości słoniowej.

Wnętrze tawerny było podobne, to znaczy proste i niewyszukane, choć o wiele czystsze od tych, które odwiedził na innych wyspach. Nie znał losów Bianki, ale domyślał się, że musiała sporo przejść i ciężko pracować na swoje utrzymanie, skoro światło w jej oczach zastąpił gniew.

I pozostał w nich do czasu, aż zostali sami.

Wstał z łóżka i podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na Santo Domingo. Ciemnoczerwone dachy, nowo wybudowana katedra z dzwonnica, las masztów w porcie upodabniały do siebie wszystkie hiszpańskie kolonialne miasteczka. Jedynym wyróżniającym Santo Domingo elementem był widoczny w oddali skrawek dżungli.

To miejsce nie przypadło mu do gustu. Było przeludnione i zbyt mocno skażone europejską cywilizacją. Lata spędzone na statku sprawiły, że ponad wszystko nauczył się cenić samotność. Jeśli już musiał zatrzymać się na wyspie, wybierał mniejszą i niezbyt zaludnioną, taką jak jego Vista Linda, gdzie nie dbano ani o przeszłość, ani rodowe nazwisko, tylko po prostu było się sobą tu i teraz. Dawało to swoisty komfort psychiczny, można było bowiem mniemać, że wszyscy mieszkańcy wyspy mieli swoje sekrety, nierzadko mroczniejsze od tajemnic Baldassarego. On zaś zyskał ich sza-

cunek jako legendarny ze swych dokonań kapitan Grattiano, a nie wenecki arystokrata, syn, wnuk, prawnuk takichże samych arystokratów.

Chociaż uzyskał zgodę na handel w Santo Domingo, administracyjnej stolicy hiszpańskich Antyli, wolał robić interesy w innych portach. Gdyby nie uszkodzony maszt, pewnie nigdy by tutaj nie zawinęli. W obecnej sytuacji cieszył się, że tak się stało, bo inaczej nie spotkałby Bianki.

Przez większość młodych lat bezskutecznie usiłował zapomnieć o Wenecji, jednak niektóre wspomnienia uparcie wracały z odmętów niepamięci. Bianca Simonetti była jednym z takich wspomnień. Tak bardzo różniła się od zahukanych, nudnych arystokratek, z którymi chciał go ożenić ojciec. Była też zupełnie inna od pięknych, lecz wyrachowanych i sztucznych kurtyzan, w towarzystwie których trwonił czas. To prawda, że cenił jej inteligencję, ale też marzył o pocałunku, co działo się zawsze, gdy stali pogrążeni w rozmowie pod domem jej matki. Pragnął poczuć żar młodego, uśpionego jeszcze ciała i przekonać się, czy jest tak silny jak jego własny.

Przeczuwał, że i ona ma na to ochotę. Dostrzegł rumieniec na jej policzkach i przyśpieszony puls. Bianca była jednak tak młoda i niewinna, że nie chciał odbierać jej dziewczęcych marzeń, zgasić blasku, który z niej emanował.

On zaś czuł się jak złamany przez życie starzec. W ojcowskim domu nie było mowy o zachowaniu niewinności. Skażony tym wzorcem, Baldassare starał się dorównać Ermanowi w niegodziwości i okrucieństwie, co na zawsze splamiło jego duszę. Bianca była inna. Przypominała drobną, lśniąca perłę, której blasku nie mógł dostrzec nikt z wyjątkiem Baldassarego.

Nie potrafił powstrzymać się od myślenia o kobiecie, którą całował zeszłej nocy. Miała co prawda ciemne oczy i pełne usta Bianki, lecz jej radość życia ulotniła się bezpowrotnie. Bezpowrotnie? Czy to możliwe, by pod twardym pancerzem mimo wszystko wciąż kryła się dziewczyna, którą poznał przed laty?

Dostrzegł ją przez okno, gdy z ciężkim koszem przewieszonym przez ramię wracała z zakupów. Szerokie rondo słomkowego kapelusza zakrywało twarz, lecz po wydarzeniach ostatniej nocy bez trudu rozpoznał łagodość i sposób porusza-

nia. Miała na sobie skromną sukienkę, z dekoltu której wystawał rąbek białej halki i wąski fragment opalanej na czekoladowo skóry. Nie miała na sobie biżuterii. Baldassare zastanawiał się, jak wyglądałaby ze sznurami pereł i szmaragdów na szyi...

Za to bez ubrania. Ileż by dał za widok drogocennych klejnotów spływających po jej nagich piersiach, płaskim brzuchu, aż do ukrytego niżej skarbu.

Bianca rozprostowała plecy, wycierając dokładnie buty przed wejściem do domu. Nawet w tak prostych gestach można było dostrzec grację. Baldassare znów zaczął się zastanawiać nad tym, co przyгнаło ją z Wenecji aż tutaj, do tawerny w Santo Domingo.

Ściągnęła kapelusz i otarła nadgarstkiem pot z czoła. Kiedy wsuwała niesforny kosmyk pod czepek, spojrzała w górę i napotkała wzrok Baldassarego. Przez krótką chwilę zobaczył jej prawdziwe, niezamaskowane oblicze. Gdy tak przypatrywała się mu łagodnymi i spłoszonymi oczami łani, wyglądała na znacznie młodszą, niż wskazywała na to metryka.

Szybko jednak opanowała się i ponownie skryła twarz pod maską obojętności. Skinąwszy głową na powitanie, wbiegła do domu jak burza.

Baldassare odwrócił się od okna, kończąc ubieranie. Mendoza przyniósł mu świeżą koszulę i przybory toaletowe, obiecał również, że następnego dnia pomoże mu, razem z kilkoma marynarzami, przenieść się z powrotem na Calypso. Po raz pierwszy załoga nie zastosowała się do jego rozkazu i nie pozwoliła samotnie przemierzać ulic Santo Domingo. Diego Escobar trzymał się z daleka od statku, jednak w dalszym ciągu był na wolności, pałając żądzą zemsty i mord.

Nie on jeden, pomyślał Baldassare, słysząc delikatne kroki Bianki na skrzypiących schodach. Niewinne, młodzieńcze pożądanie znikło z jej oczu, ustępując miejsca czemuś, co znał aż za dobrze.

W jej oczach dostrzegł błysk wściekłości skierowanej przeciw niemu.

Po cichu otworzyła drzwi, skrętnie skrywając prawdziwe uczucia. Nie zaszczyliła go nawet jednym spojrzeniem. Bez słowa powiesiła kapelusz na kołku i odwróciła się w stronę niewielkiego lustra. Błady rumieniec, który wypłynął na jej policzki, był

jedynym przejawem targających nią emocji.

Obserwując, jak wkłada luźne kosmyki pod siatkę, przypomniał sobie dziką burzę długich, skręconych loków, którą widział w nocy.

- To dobrze, że już się pan obudził - stwierdziła beznamiętnie. - A nawet zdążył się pan ubrać. To oznaka dużej poprawy.

- Mendoza przyniósł mi kilka rzeczy ze statku - odpowiedział Baldassare, dobierając słowa równie ostrożnie jak ona. - Nie zamierzam dłużej nadużywać pani gościnności, señora Montero.

Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Bianca szybko zamrugła, ukrywając wyraz oczu pod długimi rzęsami.

- Powinien pan jednak pozwolić, bym zbadala ranę. Jeśli zbyt szybko wróci pan do swoich zajęć, szew puści i cała moja praca pójdzie na marne.

- To pani zna się na medycynie, nie ja - odparł z uśmiechem. - Nie ośmieliłbym się ignorować pani zaleceń.

- Załoga liczy na pana, czyż nie? Potrzebują kapitana w pełni sił. - Nakazała gestem, by usiadł na łóżku, a sama ustawiła się między jego udami.

- Każdy z moich oficerów mógłby pokierować statkiem równie dobrze jak ja. - Wzruszył obojętnie ramionami.

- Słyszałam co innego.

- A co takiego pani słyszała?

Jej szczupłe palce szybko i pewnie rozpięły guziki koszuli, jakby Bianca była zawodową pielęgniarką. W kąciu jej ust Baldassare zauważył cień uśmiechu. Zastanawiał się, co musiałby zrobić, żeby wywołać prawdziwy uśmiech na jej twarzy? Obudzić ją do życia, tak jak ubiegłej nocy?

- Słyszałam, że posiada pan magiczne zdolności - powiedziała, delikatnie odsuwając koszulę i rozluźniając bandaż. - Podobno potrafi pan bezpiecznie przeprowadzić statek przez największą nawałnicę i w mgnieniu oka przemierzyć najszersze z mórz.

Baldassare prychnął kpiąco, choć słowa Bianki sprawiły mu przyjemność. Dzięki plotkom o niezwykłej sile i umiejętnościach - magicznych lub nie - jego wro-

gowie, nie wyłączając piratów, dwa razy zastanawiali się, nim atakowali jego statek. Legendy sprawiły również, że skompletował najlepszą załogę i cieszył się poważaniem władz.

W głębi duszy czuł jednak, że Bianca nie imponują jego sukcesy.

- Potrafię się sprawnie posługiwać mapami i busolą, to prawda - odparł bez fałszywej skromności, ale i bez pychy. - Poza tym mój statek został solidnie zbudowany, jest też szybki i zwrotny. Każdy żeglarz z odrobiną oleju w głowie z czasem nauczy się morza, wie, jak odczytywać znaki na niebie, pozna podstawy nawigacji i wciąż to wszystko doskonalili, praktykę mając za najlepszego profesora.

- Jednym wychodzi to lepiej, innym gorzej. - Wskazała ruchem głowy na przyniesioną wcześniej skrzynię. - Ma pan bardzo lojalną załogę. Spotkałam w miasteczku Mendozę. Bardzo się niepokoił pańskim stanem zdrowia.

- Mendoza pływa na Calypso od lat. To doskonały kwatermistrz.

- Mnie powiedział, że jest pan świetnym kapitanem.

- Niezaradny kapitan doprowadza do niesubordynacji, ta zaś do buntu, co jest nadzwyczaj niebezpieczne, señora Montero. Mieszkając tyle lat w Santo Domingo, musiała się pani o tym nieraz przekonać.

Skinęła głową, sprawdzając wytrzymałość szwów. Baldassare skrzywił się, ale nie odsunął. Bianca znajdowała się tak blisko niego, że czuł świeży, kwiatowy zapach jej skóry i woń morskiej bryzy we włosach. Pełne, kuszące piersi, schowane pod brązowym materiałem sukienki, unosiły się przy każdym oddechu.

Poruszył się nieznacznie na łóżku, czując, jak jego męskość pęcznieje. Cóż, zdecydowanie za długo nie miał kobiety.

- Widziałam ciała buntowników zwisające z szubienic - powiedziała, sięgając po słoik z maścią. - Z obciętymi rękami i wywleczonymi na wierzch wnętrznościami.

Nawet ta makabryczna wizja nie zdołała osłabić jego erekcji. Musiał być nie la-
da głupcem czy też zboczeńcem, skoro myśl o torturowanych buntownikach wyzwoli-
ła w nim pragnienie rzucenia Bianki na łóżko i obsypania pocałunkami jej ponętnych
ust oraz nagich piersi.

- Moja załoga nie ma powodu, by się buntować - odparł chrapliwie. Bianca rozsmarowała nieco tłustej maści po ranie, co sprawiło, że ciało Baldassarego naprężyło się jeszcze mocniej, jakby było wykute z żelaza. - Wiedzą, że jestem stanowczy, ale sprawiedliwy, i jeśli będą ciężko pracować, nie grozi im z mojej strony nic złego.

- Czy Diego rzetelnie wykonywał swoją pracę?

- Do czasu - odparł ponuro.

- Do czasu, aż się zakochał?

- Widzę, że Mendoza nie zdołał utrzymać języka za zębami.

- Opowiedział mi bardzo ciekawą historię.

Nie wiedział, czy potępiała go za to, jak postąpił, bo jej twarz była spokojna, a oczy nie zdradzały żadnych emocji. To jednak nie było istotne, i tak dręczyły go wyrzuty sumienia. Zrobił wszystko, by ratować żonę Diega. Przeludniony, śmierdzący statek na pełnym morzu nie był miejscem, w którym powinna urodzić dziecko. Diego doszedłby do podobnych wniosków, gdyby nie zaślepiła go furia. Baldassare musiał myśleć trzeźwo, był przecież kapitanem. Odesłanie ciężarnej kobiety na ląd stanowiło jego obowiązek.

W życiu marynarza nie było miejsca na tak gwałtowne emocje jak miłość czy furia. Nie zmieniało to faktu, że wykrzywiona płaczem i chorobą twarz Esperanzy Escobar wciąż go prześladowała.

- Kapitan statku, który porywa się na żeglugę po tak niebezpiecznych wodach, naraża się na ludzką nienawiść - zauważyła Bianca chłodno.

- Czy i ty mnie nienawidzisz, Bianco? Uważasz mnie za wroga?

Zastygła w bezruchu. Przeniosła spojrzenie z bandaża na twarz Baldassarego. W końcu doczekał się na iskrę w jej ciemnych oczach, przejaw skrywanych głęboko emocji.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - wyszeptała.

Sięgnął po jej dłoń i zacisnął palce na nadgarstku. Kości Bianki były drobne i kruche, a puls przyśpieszony jak u dzikiego, złapanego w pułapkę ptaka.

- Myślałem, że nie żyjesz - powiedział miękko. Był przekonany, że zginęła pod-

czas pamiętnego karnawału tysiąc pięćset dwudziestego piątego roku, który na zawsze odmienił jego życie.

- Ojciec ci tak powiedział?

Baldassare potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie on. Wasza wenecka służąca powiedziała, że i ty, i twoja matka zginęłyście w czasie zamętu karnawałowego.

- Przez długi czas czułam się martwa, jakbym tkwiła głęboko pod ziemią.

Patrzył na nią zszokowany. Dobrze znał to uczucie. Prawdę mówiąc, nigdy go do końca nie opuściło.

- Co przywróciło cię do życia?

Blady uśmiech przemknął przez usta Bianki.

- A czymże jest życie, Baldassarze? Czy ktokolwiek to wie? Mogę ci tylko powiedzieć, że kiedy poczułam ciepło tropikalnego słońca, zaczęłam widzieć na nowo.

Wyrwała nadgarstek z uścisku, po czym objęła twarz Baldassarego. Dotyk był delikatny, choć skóra nosiła ślady ciężkiej pracy w tawernie. Bianca przeciągnęła kciukiem wzdłuż brwi i skroni, aż po linię szczęki.

- Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę, Baldassarze Grattianie - wyszeptwała.

- Ja również, Bianco.

Jej pocałunek był delikatny, niepewny. Smakował tropikalnymi owocami i słońcem. Nie był tak zaborczy, jak zrodzone z pożądania, smakowane po omacku pocałunki, które pamiętał z ubiegłej nocy. Ten zdawał się zaproszeniem, początkiem czegoś nowego.

Baldassare położył dłonie na ramionach Bianki, czując buzujące pod skórą napięcie, miękki materiał sukienki i przenikający przez nią żar ciała. Wydawała się w każdej chwili gotowa do ucieczki. Powoli, czule zsunął dłonie wzdłuż doskonałego łuku jej pleców, kreśląc na nich okręgi, dopóki nie poczuł, jak jej usta rozluźniają się i zatacają bez reszty w pocałunku.

Kiedy ich języki się złączyły, Baldassare przyciągnął Biancę jeszcze bliżej, aż

usiadła mu na kolanach, obejmując ciasno za szyję. Pocałunek stał się tak ognisty, że niemal parzył.

Baldassare starał się poznać każdy fragment ciała swoich kochanek, nie zapomniał o żadnym zagłębieniu i krągłości. Sprawiał, że krzyczały z niezaspokojonego pożądania, choć sam nie potrafił do końca się w nim zatracić. Jednak od bardzo dawna nie był z kobietą i jedyne, o czym marzył, to natychmiast zobaczyć nagą Biancę, usłyszeć jej jęki i swoje imię wykrzykiwane w uniesieniu. Czuł palącą potrzebę, by wtargnąć w nią gwałtownie i bez zbędnych ceregieli, niczym młodzian po raz pierwszy kosztujący kobiety.

Łapczywie schwycił koniuszkami zębów płatek jej ucha. Westchnęła, odchylając głowę do tyłu, odsłaniając tym samym delikatną skórę szyi. Całował ją, podgryzając krągłe ramiona i łagodząc ukąszenia wilgotnymi liźnięciami. Z fascynacją obserwował dreszcz, który przeszył jej skórę, gdy skierował na nią chłodny oddech.

Bianca była teraz tak pełna życia i światła jak tropikalne słońce. Mogła się też okazać równie niebezpieczna.

Nie odpowiedziała na pytanie, czy uważa go za wroga.

Położył głowę na miękkiej wypukłości jej piersi, wsłuchując się w miarowe bicie serca. Poczuł, jak jego echo odbija się w nim, jakby byli połączeni niewidzialną nicią. Przymknął oczy, zaciągając się znajomym zapachem Bianki, która nie przestała delikatnie przeczesywać palcami jego włosów.

- Naprawdę tutaj jesteś? - wyszeptwała.

- Nie jestem pewien, ale jeśli to tylko sen...

- To śnijmy go jak najdłużej. - Złożyła na jego skroni pocałunek. - Chyba że zamieni się w koszmar.

Przypomniawszy sobie dręczące go senne wizje tonącego statku i ducha ojca przybywającego z piekieł, by przypomnieć mu, kim jest i czyja krew płynie w jego żyłach.

Poczuł, jak Bianca wstaje z jego kolan. Nie otworzył oczu, ale usłyszał, jak ubiera się i doprowadza do ładu potargane włosy. Słyszał również jej przyśpieszony oddech.

- Boję się, że rana znowu zacznie krwawić - powiedziała cicho.

Gdy na nią spojrział, ubranie i szczelny pancerz Bianki wróciły na swoje miejsce. Widocznie potrafiła się go pozbyć tylko na krótką chwilę.

Odwróciła się do niego plecami, sięgając do klamki.

- Przyniosę więcej bandaży, Baldassarze. Powinieneś odpocząć.

A potem zniknęła, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Gdyby nie delikatny zapach jej skóry, który wciąż wisiał w powietrzu, mógłby uwierzyć, że naprawdę miał do czynienia z sennym marzeniem.

Opadł z powrotem na łóżko, nieświadomy krwi sączącej się przez bandaż na ramieniu. Wkrótce miał zamiar wyruszyć do domu, czy też miejsca, które nim nazywał, ze świadomością, że w odległym Santo Domingo mieszka jego wróg - Bianca Simonetti... wdowa Montero.

Już raz ją zostawił. Czy będzie w stanie zrobić to po raz kolejny?

Wiedział, że nie ma wyboru. To prawda, łączyło ich palące pożądanie, lecz dzieliły sekrety. Nie wyjechałaby z nim, nawet gdyby o to poprosił. Upiory przeszłości wciąż ich prześladowały, a on nie miał pojęcia, jak je przegnać.

A jednak nie potrafił wyrzucić z pamięci jej obrazu...

Rozdział siódmy

Bianca oparła się ciężko o drzwi, przyciskając dłoń do bijącego szaleńczo serca. Poczowała silną potrzebę ucieczki, rzucenia się biegiem, dopóki jej płuca nie zapłoną, a nogi nie odmówią posłuszeństwa. Pragnęła uciec od Baldassarego i natrętnych myśli, lecz przede wszystkim od samej siebie.

Potrząsnęła głową i zamknęła oczy, nie mogąc znieść widoku wirującego świata. Już raz musiała uciekać przed rodem Grattianów, lecz wtedy była młoda, przerażona i nie miała pojęcia o prawdziwym życiu. Od tamtego czasu przebyła długą drogę. Nie chciała znowu uciekać.

Tym razem musiała stawić czoło nie tylko Baldassaremu, lecz także sobie.

Zbiegła szybko po schodach. Wciąż nie była gotowa na konfrontację. Nie teraz, gdy czuła na ustach smak Baldassarego, a na skórze dotyk jego spragnionych rąk. Musiała poczekać, aż krew przestanie gotować się w jej żyłach. Wtedy będzie mogła skupić się na krzywdzie, którą wyrządził jej w Wenecji.

W tym czasie ktoś sprzątnął szczątki połamanych mebli. Delores zamiatała właśnie podłogę. Ciepły, południowy wiatr wymieszany z ulicznym zgiełkiem wpadał do tawerny przez szeroko otwarte okno.

- Szykuje się kolejny pracowity wieczór, Delores - powiedziała Bianca, sięgając po stojące nieopodal wiadro z wodą. Wściekle szorując lepki, podniszczony blat stołu, wyobrażała sobie na nim odbicie twarzy Baldassarego. Chętnie starłaby z niej ten czarujący uśmiech i doprowadzające ją do białej gorączki dołeczki w policzkach!

- Czy wystarczy nam piwa, señora? - zapytała Delores.

- Señor Garcia, z którym rozmawiałam na targu, obiecał dostarczyć beczkę przed zmierzchem.

Pograżyły się w rozmowie o sprawach związanych z tawerną, w których Bianca czuła się ekspertem, w przeciwieństwie do tematów związanych z mężczyznami. Co raz częściej odnosiła wrażenie, że nic o nich nie wie.

Ach, gdyby Baldassare był księgą rachunkową albo beczką piwa...

Wkrótce lokal wrócił do dawnego wyglądu. Podłoga lśniła czystością, ławy i stoły stały tak, by ukryć brak kilku zniszczonych podczas bójki mebli. Podczas gdy Bianca z dumą przyglądała się efektom tych trudów, Delores wylała pomyje za okno.

- A co tam u naszego kapitana?

Bianca zmarszczyła czoło na figlarny ton z pozoru niewinnego pytania.

- A co ma być, Delores?

- Zatrzyma się u nas dłużej? Wygląda na to, że niczego mu tutaj nie brakuje.

- Jestem przekonana, że wyniesie się najpóźniej jutro - odparła Bianca, obojętnie wzruszając ramionami. - Jego kwatermistrz mówił, że śpieszo im w drogę, muszą tylko dokończyć naprawę statku i poczekać na pomyślne wiatry.

- Dokąd się wybierają?

- Do domu. - Gdziekolwiek on był.

- Wielka szkoda, señora. - Delores westchnęła ciężko. - To najprzystojniejszy mężczyzna, jaki kiedykolwiek zawitał do Santo Domingo. Służąca señora Valdeza mówiła, że...

- Wystarczy, Delores - upomniała ją Bianca. Miała dość słuchania plotek o Baldassarze Grattianie, zarówno tych dotyczących jego urody, jak też magicznych umiejętności u steru. Interesowały ją fakty. Chciała wiedzieć, skąd przybył, dokąd zmierza i co naprawdę przygnało go do Santo Domingo. Nie spodziewała się usłyszeć odpowiedzi na żadne z tych pytań od zahukanej służącej.

Co gorsza, nie była pewna, czy sama wciąż myśli trzeźwo.

- Jedno jest pewne, sownie wynagrodzi nas za opiekę - kontynuowała Delores. - Podobno statek jest pełen złota i drogocennych kamieni.

- W to akurat wątpię - odparła Bianca. - Zbyt wysoko unosił się na falach.

- A więc widziała pani Calypso, señora? Czy naprawdę jest cała czarna, nie wyłączając żagli?

- Ten statek niczym nie różni się od reszty - odparła zniecierpliwiona. - Żagle nie były postawione, lecz czarny kolor byłby szalenie niepraktyczny w tym upale.

- Ależ señora! Nie ma w pani za grosz romantyzmu!

Bianca roześmiała się na wspomnienie tego, jaką romantyczką była za młodu. Potrafiła czekać godzinami, by przez krótką chwilę popatrzeć na Baldassarego Grattiana. I pomyśleć, dokąd ją to zaprowadziło.

- Życie to nie bajka, a kapitan Grattiano nie jest rycerzem w lśniącej zbroi.

- Szkoda... - Delores nadąsała się. - Mógłby nim być. Wyglądem przypomina księcia - dodała rozmarzona.

Zanim Bianca zdążyła odpowiedzieć, drzwi tawerny otworzyły się i stanął w nich señor de Alameda. Pomimo upału od stóp do głów ubrany był na czarno. Posłał Delores uśmiech, w odpowiedzi na który dziewczyna zachichotała i oblała się rumieńcem.

- Dzień dobry, señora Montero. Witaj, Delores. - Rozejrzył się wokół. - Widzę, że praca wre.

- Owszem, od rana musiałyśmy zakasać rękawy, señor - odpowiedziała Bianca.

- Słyszałem, że po moim wyjściu doszło do jakiegoś wypadku.

- Raczej pijackiej bójki - sprostowała Bianca. Alameda rzadko opuszczał gubernatorską fortecę w środku dnia. Uznała, że lepiej będzie wybadać, co go tu sprowadziło, zanim rozmowa zbroczy na inny tor. - Nie pierwszej i nie ostatniej.

- Takie są cienie profesji, którą pani wybrała. Przynajmniej tak się dzieje w Santo Domingo.

- Nie inaczej, nie inaczej... Czy mogę zaproponować panu kropelkę piwa?

- Może później. Tak naprawdę przyszedłem w związku z wczorajszą bójką.

- Jak to? - zdziwiła się Bianca, czując na sobie przeszywające spojrzenie Alamedy. Starła się nie wchodzić w paradę ani gubernatorowi, ani żadnemu z jego podwładnych. Jako Włoszka prowadząca tawernę na hiszpańskiej ziemi musiała szczególnie mieć się na baczności.

- Zeszłej nocy obrabowano jeden z okolicznych sklepów. Chciałbym porozmawiać z pani lokatorem, o ile będzie się czuł na siłach. - Przerwał na chwilę. - Chyba nie umarł?

- Ma się całkiem dobrze - odparła Bianca. - Rana nie była głęboka.

- Jednak na tyle poważna, że nie pozwoliła mu wrócić na statek.

- Tak, ale powiedziano mi, że to tylko kwestia czasu.

- Nie może się doczekać, aż wyruszy w morze? Wygląda na to, że przybyłem w samą porę.

Nie potrafiła znaleźć powodu, by zabronić Alamedzie rozmowy z Baldassarem. Skinęła więc głową i rzekła;

- Delores zaprowadzi pana na górę. Jeszcze godzinę temu kapitan nie spał i był już ubrany.

Przynajmniej do czasu, gdy wtargnęła do sypialni i zdarła z niego ubranie. Bianca poczuła, jak zdradziecki rumieniec wpełza na jej policzki. Nie była w stanie wymazać z pamięci obrazu obnażonej, pociętej bliznami klatki piersiowej Baldassarego.

Odwróciła się plecami do Delores i Alamedy, którzy wdrapywali się po schodach, nie przestając szeptać. Zapewne umawiali się na schadzki. Przez krótką chwilę miała ochotę zakraść się pod drzwi i podsłuchać rozmowę między wysłannikiem gubernatora a kapitanem, porzuciła jednak ten zamiar. Niezależnie od natury problemu Baldassare nie potrzebował jej pomocy, jako nieodrodny syn rodu Grattianów bowiem po mistrzowsku opanował sztukę unikania odpowiedzialności za swoje czyny.

Pytanie tylko, czy powinna pozwolić mu się wywinąć, czy też zmusić do wyrównania rachunków sprzed siedmiu lat?

Obróciła się na pięcie i wybiegła z tawerny, zanim zdążyła zmienić zdanie. Po dążyła tą samą ścieżką co rano, jednak zamiast na plac udała się do portu.

Słońce znajdowało się w najwyższym punkcie nieba i poranny tłum znacznie się przerzedził. Część mieszkańców schroniła się w domach przed upałem. Zacumowane statki wyglądały w większości na uśpione, ukołysane spokojnym ruchem fal.

Calypso należała do wyjątków. Na jej pokładzie wrzało jak w ulu. Załoga pracowała bez wytchnienia, grotmaszt był już naprawiony. Stała zbyt daleko, by stwierdzić, czym dokładnie byli zajęci marynarze, ale wyglądało na to, że szykowali się do drogi.

Oczami wyobraźni widziała Baldassarego u steru, z włosami rozwianymi przez

wiatr i szerokim uśmiechem na ustach, płynącego z powrotem ku wolności.

I kiedy tak stała, obserwując statek, w jej głowie zaczął się klarować szatański plan.

Rozdział ósmy

Diego Escobar zacisnął dłonie na barierce, patrząc w ciemne, morskie fale, zlewające się w jedno z granatem nieba. W oddali majaczył niewyraźny zarys lądu. Nie dostrzegał gwiazd ani blasku przegładającego się w wodzie księżyca, tak bardzo zatopiony był w myślach, które nie dawały mu spokoju.

Przypomniał sobie wyraz zaskoczenia na twarzy Baldassarego Grattiana, gdy ten ujrzał w jego ręku sztylet. Chaos i panika, które panowały w tawernie, umożliwiając mu późniejszą ucieczkę, w tym krótkim momencie przestały się liczyć. Istniał tylko Baldassare, jego śmiertelny wróg, wszechwładny kapitan o lodowatym sercu, który bez cienia litości wydał wyrok na Esperanzę i nienarodzone dziecko, rujnując tym samym życie mężowi i niedoszłemu ojcu.

Zapłacił za to jednak najwyższą cenę. Rana musiała być śmiertelna, Baldassare wykrwawił się na podłodze tawerny tak jak Esperanza, kiedy usiłowała wydać na świat dziecko. Diego dokonał zemsty, która po tamtej tragedii stała się jedynym celem jego życia.

Dlaczego więc nie czuł satysfakcji? Nadal miał w sercu zimną, przenikliwą pustkę, która pojawiła się z chwilą, gdy kołysał w ramionach martwe ciało Esperanzy. Jej ciepło i radość, śmiech i niewinność odeszły bezpowrotnie.

Czy tak miało od tej pory wyglądać jego życie? Czyżby okruch szczęścia, ofiarowany przez Esperanzę, był tylko chwilową ułudą, zwodniczym spełnieniem marzeń, a tak naprawdę pisany był mu los przestępcy i wyrzutka?

Wściekłość na Grattiana, równie silna jak miłość do Esperanzy, wypaliła się. Zostały po niej tylko zgliszcza i świadomość, że nie pozostało na tym świecie nic pięknego czy dobrego.

Zacisnął pięści jeszcze mocniej, przypominając sobie moment, w którym sztylet zagłębił się w Grattiana, a z rany popłynęła krew. Marzył o tym od tak dawna! Rzeczywistość okazała się jednak inna od marzeń. Zbrodnia nie dała mu satysfakcji, nie przywróciła do życia żony, nie zwróciła nawet honoru straconego z chwilą powrotu do profesji pirata.

Pamiętał również właścicielkę tawerny, która przypatrywała mu się z niepokojem, ale i z sympatią. Dostrzegł w jej oczach smutek i żal, tak podobne do tego, co i jemu wypełniało duszę. Ukrywała to głęboko, z niepokojem jednak się zdradziła. Musiała wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo. Skoro prowadziła tawernę w miejscu takim jak Santo Domingo, na pewno znała się na ludziach. Nie wyprosiła go jednak z lokalu. Od dawna nikt nie okazał Diegowi podobnej życzliwości, było mu więc przykro odpłacać się w taki sposób, czyli wszczynając burdę w jej tawernie.

Nie miał innego wyjścia. Na pokładzie statku, w swoim małym królestwie, Baldassare Grattiano był poza jego zasięgiem. Na morzu nikt, nawet Diego, nie mógł go pokonać. Santo Domingo było jedyną szansą na wyrównanie rachunków. Skorzystał z niej mimo niemej serdeczności w oczach nieznanym kobiecie.

Udało mu się posłać Grattiana do piekła, czyli tam, gdzie jego miejsce. Diego zamierzał wkrótce do niego dołączyć.

Usłyszał za plecami jakiś szmer i tupot stóp na mostku. Gdy się odwrócił, ujrzał Maura, jednego z załogantów Firebrand, statku, który nie mógł się równać szybkiej, zwrotnej Calypso. Ludzie pracujący dla Diega gotowi byli zrobić wszystko dla pieniędzy i poszli za nim wyłącznie dlatego, że miał jeszcze gorszą reputację niż oni.

Nie o takim losie marzył, opuszczając Hiszpanię wiele lat temu w poszukiwaniu bogactwa, przygody i sławy. Nie sądził, że zostanie piratem.

- Zatrzymamy się na Tortudze, kapitanie? - zapytał Mauro.

A więc to był ład, którego zarys widział w oddali. Tortuga była wyspą bezprawa, na którą nawet król Hiszpanii nie ośmielił się zapuścić, prawdziwym rajem dla morderców i rzezimieszków, takich jak załoga Firebrand.

- Tak jest - zarządził Diego. - Chłopcy mają pewnie ochotę przepuścić trochę

grosza.

Uradowany Mauro wyszczerzył żółte zęby w niekompletnym uśmiechu.

- Maja, kapitanie, a jakże.

Podczas gdy Diego wyrównywał rachunki z Baldassarem Grattianem, piraci zajęli się plądrowaniem najsłabiej chronionych, małych sklepików w Santo Domingo. Łupy nie były zbyt cenne, lecz na jakiś czas zaspokoily apetyty rzezimieszków.

Diego raz jeszcze spojrział w kierunku coraz wyraźniejszego zarysu Tortugi. Dostrzegł zachęcające migotanie świateł tawern i burdeli - jego domu, przynajmniej na jakiś czas.

Jako człowiek pozbawiony duszy i tak nie zasługiwał na nic lepszego.

Rozdział dziewiąty

Była ciemna noc, gdy wreszcie Bianca zamknęła drzwi tawerny i poszła do sypialni, zostawiając gaszenie świec ziewającej Delores. Z ulicy w dalszym ciągu dobiegały pijackie pokrzykiwania i śmiech, ale w domu panowała upragniona cisza.

Zanim zaczęła się wspinać po schodach, ściągnęła buty, by nie narobić hałasu. Zatrzymała się pod zamkniętymi drzwiami i nasłuchiwała przez chwilę. Mimo protestów Baldassare zamiast na statku musiał spędzić kolejną noc w jej łóżku.

Jutro zamierzał wyruszyć w dalszą drogę, więc Biance zostało niewiele czasu.

Przycisnęła ucho do drzwi, ale jedynym dźwiękiem, który usłyszała, były odgłosy ulicy oraz bicie własnego serca. Po plecach przebiegł jej dreszcz, a kiedy przytknęła oczy, po raz kolejny zobaczyła leżącą w kałuży krwi matkę w otoczeniu porozrzucanych kart i odłamków szkła. Ujrzała Ermana i Baldassarego w jedwabnych strojach, obwieszonych drogocennymi klejnotami, przekonanych o swojej wyższości nad resztą świata.

Otworzyła oczy i utkwiała wzrok w sękatych deskach. Poczowała się nieswojo na myśl o Baldassarze - nie tym zepsutym do szpiku kości, zabójczo przystojnym rozpustniku, ale o rannym mężczyźnie, którego opatrywała. Widziała jego lęk nie tyle o

życie, co o duszę. Potrafiła rozpoznać tę emocję w ciemnych, zamglonych oczach, ponieważ sama odczuwała podobny strach.

Baldassare przepłynął dalekie morza, dotarł do miejsc, w których nie rządziło prawo, lecz żądza zysku i nienawiść, zyskał szacunek swoich ludzi, nie tracąc przy tym miłości kobiet, jeśli wierzyć tęsknym spojrzeniom Delores i... i mojej reakcji, pomyślała spłoszona. Na samo wspomnienie namiętych pocałunków jej policzki zapłonęły żywym ogniem. Wyglądało na to, że po złamaniu niewieścich serc na Starym Kontynencie, od Wenecji aż po Londyn, przyszła pora na Nowy Świat.

Nawet będąc młodziutką dziewczyną, Bianca nie potrafiła się oprzeć wdziękowi, urodzie, przenikliwemu umysłowi i intrygującemu charakterowi Baldassarego. Aura zadumy i smutku otaczała go niczym kusząca woń perfum. Jako dorosła kobieta tym bardziej nie potrafiła pozostać niewzruszona mimo straszliwej krzywdy, którą wyrządził jej ród Grattianów. Nie umiała jednak przebaczyć Baldassaremu, zapomnieć o wszystkim, co przez niego i jego ojca straciła.

Czuła, że musi pomścić śmierć matki, ale bez przelewu krwi. Tak postępowali Grattianowie, nie ona.

Zacisnęła mocno pięści, czując, jak paznokcie wbijają się w skórę. Po co Baldassare pojawił się w jej życiu, i to po tylu latach, właśnie teraz, gdy jej dusza była tak bliska odzyskania spokoju?

Skoro jednak tak się stało, nie pozwoli mu odejść bez spłaty długu.

Powoli otworzyła drzwi, starając się go nie zbudzić. Płomień stojącej na stole, niemal wypalanej świecy drżał na wpadającym przez uchylone okno wietrze i oświetlał śpiącego w łóżku Baldassarego. Rozrzucił ramiona na boki, jakby nawet we śnie toczył zażartą walkę. Ogorzały od słońca, nagi tors odcinał się od pościeli, podobnie jak śnieżnobiały bandaż na ramieniu. Jedynym ruchem, który zauważyła Bianca, było miarowe unoszenie i opadanie klatki piersiowej.

Szybko wyswobodziła się z gorsetu i spódnicy, zostając w halce i pończochach, po czym sięgnęła po śmiertelnie ostry sztylet.

Ściskając mocno jego rękę, wspięła się na łóżko i usiadła okrakiem na bio-

drach Baldassarego. W chwili, gdy chłodne stalowe ostrze dotknęło jego gardła, otworzył szeroko oczy. Leżał nieruchomy jak skała, przypatrując się jej bez śladu emocji.

W przeciwieństwie do niego Bianca drżała z niepewności. Starła się wyrównać oszalały oddech, nie wypuszczając sztyletu z ręki.

- Gdzie jest twój ojciec? - zapytała. - Przyjechał tu z tobą? Czy to on jest właścicielem Calypso?

Poczuła, że się wierci, jakby próbował ją z siebie zrzucić. Znieruchomiał dopiero wtedy, gdy mocniej przycisnęła ostrze.

- Dlaczego chcesz wiedzieć? - spytał niewyraźnie zaspanym głosem, choć oczy były czujne, przytomne.

- Dlaczego? Doskonale pamiętam, Baldassarze, jakim był chciwcem. Och, ta powszechnie znana pazerność Grattianów, niszcząca wszystkich, którzy ośmielili się stanąć im na drodze. Na pewno widział bogactwa przywożone z Nowego Świata do Hiszpanii. Nie wyobrażam sobie, by zadowolił się republiką Wenecji, skoro mógł przywłaszczyć sobie złoto, szmaragdy i perły, których jest tu pełno.

- Na pewno byłby nimi zainteresowany - przyznał Baldassare beznamiętnym głosem, nie spuszczając z Bianki hipnotyzującego spojrzenia szmaragdowych oczu. - Zawsze sięgał po złoto i klejnoty, niezależnie od tego, czyją były własnością.

- Czasami też po ludzkie życie - szepnęła bardziej do siebie niż do Baldassarego.

- To prawda... - Przymrużył oczy. - Mój ojciec miał zwyczaj sięgać również po ludzkie dusze.

- Miał?

- Tak. Nie żyje od ponad siedmiu lat.

Skamieniała ze zdziwienia. Minęło dużo czasu od ich ostatniego spotkania. Już wtedy Ermano nie był młodzieniaszkiem, jednak uważała go za nieśmiertelnego. Nie ona jedna była przekonana, że zawarł pakt z samym diabłem, w zamian za nieśmiertelność zobowiązując się szerzyć na ziemi zło i tylko zło.

- Jest martwy? - wyszeptała.

- Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, a jednak widziałem na własne oczy, jak

skonał.

- Jesteś więc głową rodu Grattianów, panem całej Wenecji... - Doświadczony przez życie, naznaczony bliznami żeglarz w niczym nie przypominał następcy Ermanna, lecz pozory często mylą. - Dlaczego tu przyjechałeś, zamiast mieszkać w marmurowym pałacu i sączyć wino w towarzystwie luksusowych kurtyzan?

- Myślę, Bianco, że znacznie wygodniej byłoby mi rozmawiać bez przystawionego do gardła noża - odparł ze smutnym uśmiechem.

- Dobrze... - Cofnęła ostrze, pozwalając Baldassaremu rozluźnić mięśnie szyi, lecz nadal przygniatała go swoim ciężarem.

- Tak lepiej - powiedział. - Wiesz, że mogłaś zwyczajnie zapytać, cara, zamiast mi grozić.

- Wiedziałaś, że to rozwiąże ci język. Grattianowie niechętnie dzielą się swoimi sekretami po dobroci.

- Oczywiście, że nie. Informacje są bardzo cenne, szczególnie tutaj. Dziwnie by to wyglądało, gdybyśmy je rozdawali na prawo i lewo.

Przypomniała sobie weneckie klejnoty i futra, wystawny pałac, blondwłose kurtyzany.

- Wydawanie pieniędzy przychodziło wam o wiele łatwiej, czyż nie?

- W przeciwieństwie do informacji pieniądze zawsze można jakoś zdobyć.

- Dlatego teraz proszę cię, żebyś odpowiedział na moje pytania. - Obróciła ostrze sztyletu w taki sposób, by blask świecy zatańczył na jego krawędzi. - Natychmiast.

- Dla ciebie, śliczna Bianco, zrobiłbym wszystko. - Gdy się poruszył, poczuła twarde jak stal mięśnie ud i ciepło promieniujące ze skóry Baldassarego. - Jestem tu, ponieważ zdecydowałem się pójść własną drogą - kontynuował, założywszy ręce za głowę. Wyglądał teraz jak kot leniwie wygrzewający się na słońcu. - Przestały mnie interesować weneckie posiadłości mojego ojca. Większość jego bogactw i tak została sprzedana, żeby wynagrodzić szkody mojemu bratu.

- Masz brata? - Zaczynało jej się kręcić w głowie od tych rewelacji. Najwyraź-

niej sporo ją ominęło. Nie wiedziała, co bardziej ją zaskoczyło: sprzedaż weneckiej posiadłości czy to, że Baldassare miał brata. - Przecież jesteś jedynakiem. Twój ojciec...

- Robił wszystko, by spłodzić kolejnego potomka z Juliettą Bassano.

- Dlatego tak często kazał mojej matce czytać z kart...

- Chciał mieć pewność, że jeden z jego synów zostanie potężnym, słynnym wojownikiem i nie rozczaruje go tak gorzko jak ja.

Spojrzała na ogromne, muskularne ciało. Nie rozumiała, jak ktokolwiek mógł się poczuć rozczarowany takim synem. Z drugiej strony nigdy nie rozumiała motywacji i czynów rodu Grattianów. Między innymi dlatego znalazła się w Santo Domingo.

- Skąd w takim razie wziął się drugi syn? - zapytała.

- Z nieprawego łoża. Był owocem upojonej nocy z kurtyzaną, a stało się to na długo przed moim urodzeniem. Ojciec myślał, że ma z głowy ich oboje. Oczywiście zmienił zdanie, gdy ujrzał na progu domu dawno zaginionego syna, na dodatek domagającego się zadośćuczynienia.

- Zadośćuczynienia? Czy to właśnie on zabił twojego ojca?

- Nie, cara mia. - Baldassare w mgnieniu oka schwycił Biancę za nadgarstek. Z jej gardła wyrwał się krzyk. Tak bardzo pochłonęła ją opowieść, że zapomniała pilnować więźnia i sama stała się ofiarą. Ścisnął nadgarstek tak mocno, że musiała wypuścić z dłoni sztylet, który upadł na podłogę z metalicznym brzękiem.

Role się odwróciły, teraz to Baldassare przygwoździł Biancę do materaca. Jego oczy płonęły gniewem, kiedy przyglądał się zdanej na jego łaskę i niełaskę niedoszłej morderczynie, jak sądził.

- Marc nie zabił naszego ojca - stwierdził głosem tak spokojnym, jakby gawędzili o pogodzie. - Ja to zrobiłem.

Wpatrywała się w jego twarz z przerażeniem, nie wierząc własnym uszom.

Nim doszła do siebie, usta Baldassarego przylgnęły do jej warg w gwałtownym, drapieżnym pocałunku, który sprawił, że zapomniała o bożym świecie. Przeszłość i przyszłość przestały się liczyć.

Niecierpliwie rozchylił jej usta językiem. Smakował czymś nieokreślonym i bardzo słodkim. Jęknął i pogłębił pocałunek jeszcze bardziej, aż oboje się w nim zatracili.

Poczuła, jak unosi rąbek jej halki, i instynktownie owinęła nogi wokół pleców Baldassarego. Jego męskość przypominała rozpalone żelazo, była równie gorąca i twarda. Nigdy nie zaznała równie silnego i obezwładniającego pragnienia. Miała wrażenie, że świat zniknie, skończy się wszelkie istnienie, jeśli przestanie całować i dotykać Baldassarego.

Jeśli nie będzie mogła poczuć go w sobie.

Wygięła się, opadając głową na poduszki, i poddała się pieszczotom. Baldassare obsypał pocałunkami jej szyję i ramiona, jednocześnie zsuwając z niej halkę.

Koniuszkiem języka pieścił wrażliwą skórę obojczyka, wywołując rozkoszny dreszcz, po czym ześlizgnął się wzdłuż pełnych piersi, kreśląc okręgi wokół sterczących, nabrzmiąłych sutków tak długo, aż Bianca krzyknęła z pożądania, lecz nawet wtedy nie przestał się z nią droczyć. Przybliżał i oddalał twarz od piersi, drażniąc je falami ciepłego oddechu, wreszcie ustami. Bianca całkowicie zatraciła się w tej pieszczocie.

Nie przestając całować jej piersi i łuku żeber, sięgnął dłonią pomiędzy uda w jakże śmiałej pieszczocie. Po krótkiej chwili odnalazł punkt, który miał doprowadzić Biancę na szczyt.

- Baldassare! - wykrzyknęła, lecz zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem.

- Pragniesz mnie? - wyszeptał zachrypniętym głosem.

- Tak... tak... - odparła równie cicho.

Pragnęła go od zawsze, nawet wówczas, gdy była zbyt młoda, by zrozumieć, czym jest pożądanie i jego spalająca na popiół siła.

Siła, która teraz nią zawładnęła.

- I tylko mnie? - upewnił się.

Nie wiedziała, co miał na myśli, ale była pewna, że nie pragnie nikogo innego. Nawet jej zmarły mąż mu nie dorównywał mimo tych wszystkich sekretów i kłamstw,

które niczym miecz wisały nad nią i Baldassarem.

- Tylko ciebie - szepnęła.

Jednym szybkim ruchem ściągnął jej halkę przez głowę, rozkoszując się widokiem nagiej Bianki. Przez chwilę patrzył na nią wygłodniałym wzrokiem, by w końcu wtargnąć najgłębiej, jak mógł. Nareszcie stali się jednym ciałem.

Zamknęła oczy, koncentrując się na rozkoszy, którą sprawiały jej silne, zdecydowane pchnięcia. Przywarła mocno do Baldassarego, wbijając paznokcie w jego ramię.

Poczuła, jak leniwym ruchem wysuwa się z jej ciała niemal po sam koniuszek, by ponownie się w nim zanurzyć jeszcze głębiej i mocniej. Ich usta, a wraz z nimi przesycone pożądaniem westchnięcia i jęki, połączyły się. Podniecenie Bianki nie przestawało narastać niczym żar wspinającego się po niebie tropikalnego słońca. Czowała, jak gorące impulsy w podobny sposób wędrują po jej ciele, by wreszcie rozblysnąć niczym setka świetlistych gwiazd.

Kiedy tak unosiła się ponad ziemią, usłyszała, jak Baldassare w ekstazie wykrzykuje jej imię. W tej jednej krótkiej chwili należeli wyłącznie do siebie.

Opadł bezwładnie na łóżko tuż obok niej. Ich ciała w dalszym ciągu były splecione, a świat nie przestawał się kręcić.

Bianca przeczeswała palcami wilgotne włosy Baldassarego, zakrywając piersi i brzuch jedwabistym płaszczem. Po chwili jej przyśpieszony oddech powoli się uspokoił, a ciało przestało palić żywym ogniem.

Baldassare leżał nieruchomo z twarzą odwróconą od Bianki. Jego oddech i puls również wracały do normy. Chociaż byli z sobą tak blisko, jak to tylko możliwe pomiędzy dwojgiem ludzi, w dalszym ciągu dzieliła ich głęboka przepaść.

Baldassare Grattiano zawsze stanowił dla niej nieodgadnioną zagadkę, której rozwiązanie pragnęła za wszelką cenę poznać. Wspólnie spędzona noc nie przybliżyła jej do tego ani o krok.

Nie zamierzała się jednak poddawać. Musiała tylko znaleźć na niego sposób.

Rozdział dziesiąty

Leżała na boku, dryfując na granicy jawy i snu ze wzrokiem utkwionym w gwiazdy za oknem. Choć niebo wciąż jeszcze miało barwę smoły, wiedziała, że wkrótce gwiazdy zaczną jedna po drugiej znikać, a słońce wychyli się znad horyzontu. Wstanie nowy dzień, w którym będzie musiała podjąć jakąś decyzję.

Otulony pościelą Baldassare leżał tuż obok z ręką przerzuconą przez jej brzuch. Czowała jego oddech na obnażonym ramieniu. Kiedy złożył na nim leniwy pocałunek i zaczął bawić się jej włosami, ściślej przyłgnęła do niego.

Gdy tak leżała pod osłoną cichej, parnej nocy z żywym wspomnieniem tego, co się zdarzyło, miała wrażenie, że śni albo przeniosła się do innego świata, w którym byli po prostu kobietą i mężczyzną splecionymi w miłosnym uścisku na tropikalnej wyspie.

Bianca dotknęła opuszkami palców dłoni Baldassarego, pokrytej drobnymi bliznami i śladami oparzeń, niezwykłymi na skórze arystokratów. To nie były gładkie, upierścienione dłonie, które zapamiętała z dzieciństwa, tylko spracowane ręce żeglarsza.

Kim tak naprawdę był Baldassare?

Przymknęła oczy, upajając się serią delikatnych, gorących pocałunków, którymi obsypał jej szyję. Dlaczego nie mógł być mężczyzną z jej snów chociaż przez jedną noc? Czy mogliby choć przez chwilę udać, że nie są Biancą Simonetti-Montero i Baldassarem Grattianem?

Poczuła, jak senne marzenie wymyka jej się z rąk.

- Jak umarł twój ojciec? - spytała cicho, lecz jej słowa wdarły się gwałtownie w leniwą, słodką ciszę.

Dłoń Baldassarego zamarła w bezruchu. Błyskawicznie odsunął się od niej i poczuła chłód. Sięgnęła po prześcieradło, okrywając nagość.

- Został zastrzelony - odparł zimno. - Z łuku.

- Zginął od strzały? - zdziwiła się, niepewna, czy dobrze go zrozumiała.

Zaśmiał się gorzko.

- Nie jest to broń godna dżentelmena, prawda? Mój ojciec twierdził tak samo, patrząc, jak ćwiczę strzelanie z łuku. Drwił ze mnie, nazywając plebejuszem niegodnym rodu, z którego się wywodzę.

- Domyślam się, że tuż przed śmiercią nie było mu do śmiechu....

- To prawda. Jej przyczyną mogła być albo strzała, albo trucizna. - Przerwał na chwilę. - Śmierć od trucizny zdecydowanie bardziej przystoi dżentelmenowi.

Poczuła ruch materaca, kiedy Baldassare wstawał z łóżka. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że się ubiera. Wciągając koszulę przez głowę, nawet nie zerknął na przykryte opatrunkiem ramię.

Choć było jasne, że uznał rozmowę za zakończoną, Bianca płonęła z ciekawości, pragnąc poznać odpowiedzi na tłukące się w głowie pytania. Przez lata winiła Baldassarego za przynależność do rodu Grattianów, udawanie przyjaciela i przyzwolenie ojcu na zrujnowanie jej życia.

A może o to, że zerwał klapki z jej oczu i odarł z dziecięcych fantazji?

Miała go za zepsutego, skrywającego mroczne sekrety arystokratę i bawidamka, ale nie za wyrachowanego mordercę! Zabicie wroga w ferworze walki to jedno, ale strzelenie z łuku do własnego ojca?

To niemożliwe, by dopuścił się takiej zbrodni z zimną krwią. Musiał działać w afekcie. Niezależnie od okoliczności, Biance nie było przykro z powodu śmierci mordercy jej matki.

Mimo to nie wiedziała, co odpowiedzieć Baldassaremu. Lata rozłąki i bolesnych doświadczeń położyły się cieniem między nimi, do tego oboje byli ludźmi skrytymi, nieskorymi do zwierzeń. Nie wiedziała, jak naprawić ich relacje, lecz miała pewność, że bardzo tego pragnie.

Usiadła na łóżku i zaczęła przyglądać się Baldassaremu, który szybkim ruchem zapiął spodnie i sięgnął po buty. On też był świadomy przepaści powstałej między nimi, doskonale wyczuwalnej mimo niewielkich rozmiarów sypialni oraz unoszącego się w powietrzu słonawego zapachu potu i miłości.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała. - Z powrotem do Wenecji?

Potrząsnął głową, przeczesując włosy niedbałym ruchem.

- Nie byłem tam od wielu lat.

Od śmierci ojca i rozpadu finansowego imperium Grattianów? Być może powodem ucieczki Baldassarego również była przelana krew.

- Ani razu? - Wstała z łóżka i sięgnęła po leżący na stole grzebień ze skorupy żółwia, kurczowo ściskając okrywające nagie ciało prześcieradło. Delikatnie odsunęła rękę Baldassarego, które nie najlepiej radziły sobie z ujarzmieniem gęstej czupryny, i zajęła się jej rozczesywaniem. Steżał, lecz nie odepchnął Bianki.

- Wenecja to teraz problem mojego brata. Nie mój.

Rzeczywiście, pozostawała jeszcze kwestia tajemniczego brata. Bianca delikatnie czesała włosy Baldassarego, nie szczędząc im czułego dotyku.

- A więc Calypso jest wszystkim, co masz.

- Czyżbyś polowała na mój majątek? - zażartował.

- Musiałabym być szalona - odparła równie lekko. - Nie masz nawet bogactwa, którym dysponuje pierwszy lepszy hiszpański arystokrata, a wielu z nich co rusz zagląda do Santo Domingo.

- Mam nadzieję. Pieniądze zawsze oznaczają kłopoty.

- Wyłącznie dla tych, którzy je mają - stwierdziła cierpko. - Reszta ludzi, takich jak ja, może tylko pomarzyć o takim kłopotcie.

- Mam statek, dom, małą wyspę, na której mogę robić to, co mi się żywnie podoba. Nie potrzebuję niczego więcej. - Odwrócił się zniechęcony, chwytając ją za rękę. Grzebień upadł na podłogę. - Bianco, czy możemy się spotkać, kiedy ponownie przyjadę do Santo Domingo? - W świetle księżyca przypominał pięknego, samotnego anioła. W zimnych oczach tlił się płomień, którego wcześniej nie było.

Sięgnęła wolną ręką do jego twarzy, muskając palcami zarys szczęki, śniadą, szorstką skórę, miękką linię ust. Schwycił zębami koniuszek jej palca, ssąc go i pieszcząc językiem tak długo, aż ciałem Bianki wstrząsnął dreszcz.

- Nim wrócisz, nasze skronie przyprószy siwizna - wyszeptała. - O ile wrócisz.

- Tak wiele udało nam się przetrwać. - Chwycił pieszczącą policzek dłoni. - Sztormy na pełnym morzu, tropikalny upał i choroby. Musi istnieć jakiś powód, dla którego się tutaj znaleźliśmy.

- Powód naszego spotkania po latach? Może masz rację, Baldassarze. Dobrze, spotkamy się, jeśli mnie odnajdziesz.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, ich usta połączyły się w pocałunku, który zamiast zwiastować pożegnanie, zapowiadał przygodę.

Tak mało wiesz o naszej przyszłości, pomyślała Bianca, obejmując go mocno. Jeśli tylko wcieli w życie swój plan, odnalezienie jej nie sprawi Baldassaremu kłopotu. Postanowiła porzucić wszystko, co z takim trudem udało jej się zbudować, choć wiedziała, że kręte ścieżki losu mogą jej nigdy nie przyprowadzić z powrotem na wyspę. Odkrycie prawdy miało jej to wszystko wynagrodzić.

R S

Rozdział jedenasty

Baldassare stał na dziobie statku, spoglądając przez lunetę na znikające w oddali wzgórza Hispanioli. Żar tropikalnego słońca lał się na czerwone dachy budynków. Miasteczko z każdą sekundą stawało się mniejsze, by wreszcie zniknąć niczym fatamorgana. Przestał je obserwować, dopiero gdy Calypso wypłynęła na pełne morze.

Powoli opuścił lunetę, nie do końca świadomy panującego na statku zgiełku. Żeglarze uwijali się jak w ukropie i choć ten pokładowy taniec wydawał się chaotyczny, Baldassare wiedział, że każdy ruch jest dokładnie przemyślany i obliczony tak, by jak najszybciej dotarli do domu.

Pojęcie „dom” zawsze wydawało mu się obce i nie w pełni zrozumiałe. Wiedział, że powinno być to ciepłe, przyjazne miejsce, takie jak willa jego brata, której korytarze i pokoje wypełnione były dziecięcym śmiechem i gwarem rozmów.

Baldassare uwielbiał odwiedzać Marca i jego żonę Juliettę, lecz gdy nadchodził czas kolejnej wyprawy, bez żalu opuszczał ich dom. Mimo że kochał swoich brataników i małą Beatrice, wiedział, że nie pasuje do tego miejsca. Dom był całym światem Marca i Julietty, zbudowanym na fundamencie miłości po latach wyrzeczeń i cierpienia. Baldassare lubił się czasem ogrzać w ciepłe domowe ognisko, lecz wiedział, że jego miejsce jest gdzie indziej.

Tak samo czuł się w zimnym, marmurowym pałacu swego ojca.

Odwrócił się plecami do Santo Domingo i spojrzął w morze. Mendoza stał u steru, wiatr napełniał żagle, pchając statek w pożądanym kierunku. Calypso była tym pierwszym, co przychodziło Baldassaremu do głowy, kiedy myślał o domu. Pokładowe deski i żagle były jego nieodrodną częścią, podobnie jak płynąca w jego żyłach słona, morska woda, pomyślał z nikłym uśmiechem, która zastąpiła błękitną arystokratyczną krew.

Gdy kupił Vista Lindę od hiszpańskiego kupca i zbudował dom na najwyższym z jej wzgórz, sądził, że odnalazł swoje piękne, spokojne miejsce na ziemi. Jego prawdziwym domem było jednak morze. Zaborcze, niepozwalające na chwilę wytchnienia,

lecz w zamian, niejako paradoksalnie, oferując absolutną wolność.

Na początku każdej wyprawy towarzyszyło mu uczucie euforii, wywołane wizją nowych przygód. Tym razem, płynąc w kierunku Vista Lindy, jego myślami zawładnęła Bianca Simonetti.

Zacisnął mocno dłonie na burcie statku, spoglądając w szmaragdowe fale, w których ujrzał Biancę. Te czujne, brązowe oczy i zarys ciała doskonale widoczny pod cienkim prześcieradłem...

Kiedy o świcie wymykał się z sypialni, Bianca wciąż spała z wyrazem troski na twarzy, jakby nie przestawała się martwić nawet we śnie. Nie poruszyła się, kiedy musnął ustami jej skórę, usiłując zapamiętać każdy szczegół, najdrobniejsze znamię i najłżejszy oddech. Powiedziała, że będą mogli się spotkać, ale Bóg jeden wiedział, czy nadarzy się okazja. Żyli w świecie pełnym niebezpieczeństw i szansa, że zobaczą się znowu, była nikła.

- Maledetto! - zaklął pod nosem, uderzając ręką w barierkę burty.

Udało mu się odnaleźć Biancę, co samo w sobie graniczyło z cudem! Pożądanie, które odczuwał w jej ramionach, było jeszcze bardziej niezwykle.

A jednak ją zostawił, uciekł od gniewu i niewygodnych pytań, które dostrzegł w jej oczach, wybierając bezpieczny bezkres morskich fal.

Posłał ostatnie spojrzenie ledwie widocznemu wybrzeżu Hispanioli. Barwa wody zmieniła się z ciepłego, pomieszanego z zielenią błękitu w indygo. Jeszcze chwila i Biancę odgrodzi od Baldassarego linia nieboskłonu.

Odwrócił się gwałtownie i wykrzyknął nowy rozkaz, lecz jego głos nie zdołał zagłuszyć odgłosów szamotaniny wydobywających się z otwartego luku ładowni.

W przeciwieństwie do dźwięku wciągania żagli, kapitańskich komend i plusku fal nie był to odgłos charakterystyczny dla początku podróży. Luk nie powinien być otwarty ze względu na schowany pod pokładem ładunek.

Z włazu wynurzył się Luis, który sprawował funkcję bosmana. Przeklinając siarczyście, taszczył za sobą jakiś pakunek. Przebywający w pobliżu marynarze zatrzymali się w pół kroku, z przerażeniem czekając na reakcję srogiego kapitana.

Baldassare obserwował całą sytuację spode łba. Luis wyciągnął wreszcie tajemniczy tobolek, który przypominał kłęb brązowych szmat, i cisnął go gniewnie na pokład, wymierzając przy tym solidnego kopniaka.

Ze środka dobył się zduszony jęk połączony z okrzykiem:

- Wstrętny wszarz!

Baldassare zrozumiał, że ma przed oczami nie przesyłkę, lecz pasażera na gapę. Krzyżując ramiona, zszedł powoli z kapitańskiego mostka, nie spuszczać oczu z cherlawej figurki ginącej w brązowej pelerynie, z czarną, dzierganą czapką naciągniętą głęboko na oczy. Wielu błagało o miejsce na statku, lecz nikt nie był na tyle zdesperowany, by ukryć się w ładowni.

Nie miał czasu na bzdury. Nie teraz, gdy jego myślami całkowicie zawładnęła Bianca.

- Mendoza! - krzyknął gromko. - Zawróć do Santo Domingo. Mamy tu balast, którego trzeba się pozbyć.

Sięgnął do kołnierza przybłądy, przekrzywiając przy okazji czapkę, spod której wysunął się długi, ciemnobrązowy lok, opadając na - o dziwo - łabędzią szyję.

Gapowicz odepchnął rękę Baldassarego, wyprostował się i ściągnął nakrycie głowy. Bianca patrzyła mu wyzywająco w oczy, a jej włosy spływały miękką falą na ramiona.

- Nie możesz zawrócić, Baldassarze Grattianie - powiedziała. - Wiatr sprzysiągł się przeciw tobie.

Przypatrywał jej się oszołomiony. Mendoza wybuchnął gromkim śmiechem, po czym skomentował:

- Wygląda na to, że mamy nowego członka załogi.

- W szorowaniu pokładu i naprawianiu lin nie mam sobie równych - stwierdziła Bianca butnie, choć jej wzrok nadal był czujny i zdystansowany.

Przepaść między nią a Baldassarem znacznie się jednak zmniejszyła.

Kiedy schwycił Biancę mocno w ramiona i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek, załoga zaczęła wiwatować.

Bianca siedziała na krawędzi koi Baldassarego, przypatrując się skromnemu wyposażeniu niewielkiej kajuty. Ot, pokryty mapami i książkami stolik, umywalnia oraz żeglarska skrzynia, to wszystko. Jedyłą ozdobę stanowił wytarty, niebieski chodnik oraz portret w złotej ramie przedstawiający bladą szatynkę w sukni z zielonego brokatu i ciemnym futrze. Bianca pamiętała ten obraz z jedynej wizyty w pałacu Grattianów. Przedstawiał matkę Baldassarego, żonę Ermana, ostatnią spośród nieszczęsnych kobiet, z którymi się związał.

Skupiła wzrok na łagodnych, udręczonych oczach sportretowanej kobiety, żeby tylko nie patrzeć na Baldassarego, który niezmordowanie maszerował po kajucie niczym tygrys w menażerii.

Kiedy obmyślała plan zakradnięcia się na Calypso, wydawał się jej logiczny. Mieli z Baldassarem tyle niedokończonych spraw, poza tym nie mogła pozwolić mu odejść po raz drugi. Mimo obietnicy powrotu Bianca dobrze wiedziała, że prawdopodobieństwo ponownego spotkania jest niewielkie. Marynarzy interesowały głównie odkrycia, obce wody i lądy. Rzadko kiedy zostawali na dłużej w jednym porcie.

A nawet gdyby o niej pamiętał, istniały jeszcze sztormy, piraci i choroby, wobec których nawet legendarny kapitan Calypso mógł okazać się bezsilny.

Chciała zamknąć sprawy z przeszłości, zrozumieć istotę swojej dziwnej relacji z Baldassarem, musiała więc stawić mu czoło w jego świecie.

W nocy miało to sens. Co innego teraz, gdy siedziała w kapitańskiej kajucie, wsłuchując się w skrzypienie niesionego na falach statku i krzyki załogi dobiegające tuż zza drzwi. Na myśl o tym, co zrobiła, poczuła w żołądku nieprzyjemny ucisk.

Podczas pakowania i wydawania Delores instrukcji dotyczących prowadzenia tawerny pod jej nieobecność, Bianca była zbyt podekscytowana, by myśleć o konsekwencjach swojego czynu. Wątpliwości dopadły ją dopiero wtedy, gdy siedziała skulona w ładowni Calypso, pomiędzy beczkami i stertą żagli, odurzona zapachem ryb i zgromadzonej w zęzie* wody.

* Dolna, wewnętrzna część kadłuba statku.

Musiała postradać rozum! Zachowała się jak zaślepiona miłością nastolatka, a przecież doświadczenie powinno ją czegoś nauczyć. Wypuściła się na pełne morze dla mężczyzny, który stanowił dla niej zagadkę.

Nie zamierzała się zdradzić ze swoimi wątpliwościami przed Baldassarem. Postąpiła nierozsądnie, to prawda, ale kości i tak zostały rzucone. Ani dla niej, ani dla niego nie było już odwrotu. Być może już na zawsze opuściła Santo Domingo, musiała więc robić dobrą minę do złej gry.

Uniosła dumnie podbródek, sadowiąc się wygodniej na krawędzi koi. Może i straciła rozum, ale nie honor.

Baldassare nareszcie się zatrzymał. Stał obok stołu, opierając dłonie na stercie map. Nieruchoma postawa i napięte ramiona doskonale widoczne pod materiałem koszuli przemawiały głośniej niż słowa.

Czyżby był wściekły na to, co zrobiła? Każda rozsądna kobieta schowałaby się przed jego gniewem, lecz Bianca była dziwnie spokojna i zdystansowana, jakby oglądała komedię dell'arte, a nie odgrywała w niej jedną z głównych ról.

Baldassare raczej nie był zachwycony tym przedstawieniem, bo spytał gardłowym, szorstkim głosem:

- Dlaczego, Bianco?

- Nie wiem - odparła szczerze. - W Santo Domingo wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Doprawdy? I nadal sądzisz, że postąpiłaś słusznie?

Patrzyła, jak jego smukłe palce zaciskają się w pięści.

- Nie do końca.

Na te słowa wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

- Obecność kobiety na statku zawsze zwiastuje kłopoty.

- Masz na myśli żonę Diega?

- Właśnie. Ona też uznała, że to dobry pomysł schować się w ładowni.

- No cóż, ja nie jestem w ciąży. - A przynajmniej było za wcześnie, by to stwierdzić. - Poza tym nie jestem nowicjuską. Mój zmarły mąż był żeglarzem, podróżowa-

łam z nim, zanim osiedliśmy w Santo Domingo. Radzę sobie z pracami na statku.

- Na przykład z szorowaniem pokładu?

- Tak. Umiem też gotować.

Przypatrywał się jej uważnie oczami zielonymi i mrocznymi jak prastara puszcza.

- Czy potrafisz również rozgrzać kapitańską koję?

Poczuła, jak jej gardło się zaciska, jednak odparła ze spokojem:

- Tę część moich obowiązków będziemy musieli jeszcze przedyskutować.

- Niezależnie od twoich umiejętności, cara, wciąż nie rozumiem, dlaczego uciekłaś z domu i ukryłaś się na moim statku. Co cię skłoniło do podjęcia takiej decyzji?

- Sama nie wiem... Choć było coś, co mnie do tego zmusiło. Po prostu czułam, że zostały nam rachunki do wyrównania.

- Nadal uważasz mnie za swojego wroga? - Obszedł stół i zbliżył się do łóżka. Oparł się ramieniem o ścianę tak, że zamknął Biancę w niewoli ciepła i zapachu swojego ciała, które otuliły ją niczym smuga upajającego dymu.

Nie potrafiła odwrócić wzroku od jego hipnotyzującego spojrzenia.

- Nie wiem już, co mam myśleć, ale twoja rodzina wyrządziła mi wielką krzywdę i nie spocznę, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

- Zamierzasz mnie zabić? Po raz kolejny pod osłoną nocy zakraść się do mojego łóżka ze sztyletem w dłoni? - Jego głos był opanowany i wyprany z wszelkich emocji, jakby gawędzili o pogodzie. - Czy to właśnie jest twoja, że tak powiem, sprawiedliwość?

Wzruszyła ramionami. Rzeczywiście, atak na Baldassarego był błędem i gdyby mogła cofnąć czas, postąpiłaby inaczej. Zresztą nie tylko w tym jednym przypadku.

- Sprawiedliwość... - szepnęła w zadumie. - Jak dziwnie brzmi to słowo w tym naszym okrutnym świecie, nie sądzisz? A jednak w nią wierzę.

Też się zadumał, jakby sięgał myślą w odległe czasy.

- Mój ojciec skrzywdził wielu ludzi - powiedział wreszcie. - Prawdziwy diabeł wcielony... a ja byłem młody i zbuntowany, i po prostu nie wiedziałem, jak go po-

wstrzymać. Choć powinienem był wiedzieć... Do końca życia nie ucieknę od pełnych udręki wyrzutów sumienia, że zwlekałem tak długo. - Pochylił się nad Biancą, zmuszając ją, by się położyła, po czym umieścił dłonie po obu stronach jej ciała. W dalszym ciągu przypatrywała mu się jak urzeczona. - Nie sądzę jednak, żebyś przybyła tutaj po to, by mnie zabić - powiedział miękko.

- W takim razie po co?

- Dlatego. - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Znała już jego smak, podobnie jak kształt ust Baldassarego. Wiedziała też, że wspaniale się dopełniali, zupełnie jakby pożądanie stanowiło nieodłączną część ich ciała i dusz.

A jednak to, co poczuła, okazało się dla niej zaskoczeniem. Sądziła, że noc spędzona w Santo Domingo ugasił w niej od wielu lat pożądanie, zaspokoi młodzieńczą ciekawość, lecz stało się inaczej. Żądza wciąż płonęła w niej żywym ogniem, jeszcze bardziej nieposkromiona i jeszcze mocniej domagająca się swych praw.

Bianca chwyciła się kurczowo ramion Baldassarego. Po chwili jej dłonie ześlizgnęły się wzdłuż szerokich, umięśnionych barków, przyciągnęła go bliżej. Poczuła, jak podłoże ucieka jej spod pleców. Nie wiedziała, czy było to kołysanie fali, czy raczej to, co znała i w co wierzyła do tej pory zatrzęsło się w posadach?

Owinęła nogi wokół pleców Baldassarego, tuląc się do niego. Pomimo dawnych uraz, cierpienia i nieдомówień Bianca czuła, że znalazła się we właściwym miejscu, to znaczy w ramionach Baldassarego, na wąskiej koi, z zapachem słonej wody w nozdrzach, otoczona dźwiękami wydawanymi przez statek, pomieszany z stłumionymi jękami kochanków. To, co przeżywała, było prawdziwe i odpowiadało jej o wiele bardziej niż cały ten oszalały od złota, diamentów i atłasów wenecki przepych.

Czy widziała teraz prawdziwą twarz Baldassarego? Tego nie mogła być pewna, skoro ledwie poznawała samą siebie, lecz wierzyła w prawdziwość pocałunku.

Dzwon, który rozległ się tuż nad ich głowami, nad deskami sufitu kajuty, ogłaszał nową wachtę. Jakby powracając z innego świata, Baldassare odsunął się od Bianki i wyjrzał przez bulaj na pokład, na to jedyne, co nie pozwalało im zapomnieć o otaci.

czającym świecie. Światło na zewnątrz przybrało łagodną barwę bursztynu pomieszana z blaskiem, jaki widywało się wyłącznie na pełnym morzu. Musiało minąć sporo czasu, odkąd zamknęli się w kajucie, choć dla nich była to krótka chwila.

Baldassare powoli się wyprostował i jego głowa znalazła się tuż pod drewnianym sufitem. Spojrzał na Biancę, z trudem łapiąc oddech.

- Muszę iść - powiedział. - Lecz kiedy wrócę, będziesz musiała wyznać prawdziwy powód, dla którego tu jesteś.

W dalszym ciągu leżała na koi, przypatrując się w milczeniu i zachwycie, jak przeczesuje palcami włosy. Ruszył do drzwi zdecydowanym krokiem, zwrócony do niej plecami.

- Nie wolno ci opuszczać mojej kajuty - dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- A mój bagaż? Został w ładowni.

- Ktoś ci go zaraz przyniesie.

- Po prostu nie chcesz, żeby załoga żartowała z twojej pasażerki na gapę. Boisz się plotek o tym, że kobieta straciła dla ciebie głowę i wolała ukryć się na statku, niż cierpieć rozłąkę...

- Bianco! - przerwał jej ostro, choć mogłaby przysiąc, że usłyszała w jego głosie nutki śmiechu. - Przede wszystkim ty powinnaś bać się tego rodzaju plotek.

- Nie obchodzi mnie ludzkie gadanie. - Wzruszyła ramionami. - Wiedz, że to nie twoje wdzięki przywiodły mnie na ten statek, Baldassarze Grattianie.

Rzucił jej szybkie spojrzenie przez ramię, unosząc brwi ze zdziwienia.

- Doprawdy?

- Tak!

- No cóż... Pamiętaj, że po moim powrocie będziesz musiała się wytłumaczyć ze swojego postępku. - Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Bianca oczekiwała dźwięku przekręcanego w zamku klucza, lecz nic takiego się nie stało. Widocznie Baldassare uznał, że nie odważy mu się sprzeciwić.

I miał rację, przynajmniej na razie. Był kapitanem, a Bianca doskonale zdawała sobie sprawę z wagi hierarchii w tym małym, zamkniętym światku. Poza tym była

zmęczona i miała zbyt wiele spraw na głowie, by narażać się na niewybredne żarty.

Podłożyła pod głowę poduszki, po czym utkwiała wzrok w drewnianych listwach. Calypso miała porządną konstrukcję. Nie dostrzegła ani jednej szpary, żadnej niedoróbki, wszystko było doskonałym przykładem wzorowej ciesielki. Mimo to słyszała nad głową kroki i szmer prowadzonych na pokładzie rozmów. Czuła też kołysanie fal, jednostajny, uspokajający rytm, za którym tęskniła przez cały spędzony na lądzie czas.

Zerknęła w dół, natrafiając na skryty w półmroku portret signory Grattiano. Poczowała się dziwnie, widząc wenecką arystokratkę tutaj, na przemierzającym wody Nowego Świata statku, i szybko odwróciła wzrok, nie mogąc znieść żalu, który dostrzegła w orzechowych oczach.

Przekreśliła się na bok. Choć nigdy nie uważała smutku i rezygnacji za dobrą receptę na życie, czuła, jak zaczyna jej się udzielać nastrój damy z obrazu.

A może po prostu dotarło do niej, co zrobiła. Uciekła z domu bez chwili zastanowienia, jak wtedy, gdy opuściła Wenecję. W obu przypadkach działała pod wpływem impulsu, tylko że wówczas uciekała przed niebezpieczeństwem, a teraz sama się w nie pchała.

Baldassare będzie się od niej domagał odpowiedzi, których nie znała. Wiedziała tylko, że zanim zacznie planować swoją przyszłość, musi raz na zawsze uporać się z demonami przeszłości.

Rozdział dwunasty

Pograżona w zadumie, Bianca zapadła w drzemkę. Obudził ją dopiero odgłos otwieranych drzwi. Przestraszyła się, że Baldassare po raz kolejny zaskoczy ją, zasypując pytaniami, na które wciąż nie знаła odpowiedzi, lecz był to tylko majtek z jej skromnym bagażem. Drugi z marynarzy wniósł tacę i bez słowa postawił ją na stole, pośród map i książek.

Zamknęła oczy, leżąc nieruchomo, i czekała, aż wyjdą.

- Chuda, co nie? - usłyszała głos jednego z mężczyzn, dobiegający zza zamkniętych drzwi. - Płaska jak deska! Kapitanowi się to na pewno nie spodoba.

Przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc śmiech. Brak piersi był jej największą zgorą, kiedy jako szczupła nastolatka o chłopięcej sylwetce patrzyła na Baldassarego, gdy spacerował po Wenecji w towarzystwie biuściastych kurtyzan. Teraz było to najmniejsze z jej zmartwień.

Wyciągnęła się wygodnie na łóżku i zauważyła, że światło na zewnątrz zmieniło barwę na jeszcze ciemniejszą. Pierwszy wspólny z Baldassarem dzień na morzu ustępował miejsca nocy. Jak zakończy się ich podróż?

Zeskoczyła z koi i sprawdziła zawartość tacy. Znalazła na niej dzban wina, miskę z wodą do mycia rąk oraz paterę z owocami, serem i suszonym mięsem. Na stęchłe suchary było jeszcze za wcześnie. Gryząc kawałek papai, Bianca otworzyła starą, odrapaną skrzynię, własność jej zmarłego męża.

Jeśli okaże się, że nigdy nie wróci do Santo Domingo, to będzie cały jej, nad wyraz skromny dobytek. Ot, szara, wełniana spódnica z gorsetem, kilka halek i par pończoch, słomkowy kapelusz, parę książek oraz wypełniona monetami sakiewka, na dnie której ukryła zdobiony perłami i rubinami pierścień, przed laty otrzymany od Baldassarego.

Zdjęła buty, chłopięce spodnie i koszulę, spod której wyrżał pasek płótna ściśle przylegający do piersi Bianki, czyniąc je niemal niewidocznymi.

- A jednak nie jestem całkiem płaska - powiedziała do siebie. Jej biust nie był

zbyt okazały, to prawda, ale Baldassare nie zgłaszał zastrzeżeń.

Podeszła do niewielkiego lustra wiszącego nad umywalnią, zamoczyła ręcznik w wodzie i przemyła czerwone ślady pod piersiami. Trochę zniekształcone odbicie w zwierciadle przedstawiało kobietę o śniadej skórze i z włosami w nieładzie, która była zdolna do rzeczy tak szalonych, jak ukrycie się na płynącym w nieznane statku.

To nie mogła być ona...

Musiała jednak przyznać, że uczucie wolności i zerwanie więzów łączących ją ze światem odurzało bardziej niż narkotyk.

Otworzyła okienko, wpuszczając do kajuty wilgotne, słone powietrze, które owionęło nagą skórę. W dole ujrzała morze, które w świetle zachodzącego słońca przybrało złocistoróżową barwę, z radością popatrzyła na otwarty horyzont.

Za jej plecami ponownie otworzyły się drzwi. Poczula znajomy, mroczny zapach Baldassarego, i natychmiast się rozluźniła.

- Ten strój bardziej mi się podoba - powiedział zaczepnie. - Pasuje ci bardziej niż męskie portki.

Roześmiała się, zamykając bulaj, i stanęła twarzą w twarz z Baldassarem. Poczula, jak wzbiera w niej moc. Kto by pomyślał, że nagość może być potężniejszą bronią niż stal miecza?

- Miałam nadzieję, że docenisz tę kreację - odparła. - Niestety doszły mnie plotki, że brak piersi może być dla nas przeszkodą.

Pokonał dzielącą ich odległość dwoma susami i mocno przyciągnął do siebie Biancę, wolną ręką chwytając ją za pierś. Przez chwilę pieścił cudowną wypukłość i delikatnie ścisnął, po czym zaczął kreślić opuszką palca coraz mniejsze kółka wokół sutka. Bianca jęknęła, odrzucając głowę w tył, domagając się silniejszej pieszczoty.

- Myślę, że są w sam raz - szepnął, sięgając językiem do napęczniałego sutka.

Bianca zatopiła palce we włosach Baldassarego, czując, jak fala pożądania rozpływa się po jej ciele.

- A ja myślę - odszepnęła, z trudem łapiąc oddech - że masz na sobie zdecydo-

wanie za dużo ubrań, kapitanie. - Sięgnęła po rąbek koszuli, zdejmując mu ją gwałtownie przez głowę.

Chłodne powietrze smagneło wilgotną pierś Bianki. Szybkim ruchem rozpięła Baldassaremu spodnie i szarpnęła je w dół, rozkoszując się widokiem niczym nieujarzmionej, twardej jak stal męskości.

- Bianco... - powiedział z trudem.

- Milcz! - rozkazała, a on po raz pierwszy jej usłuchał.

Ześlizgnęła się po jego ciele, aż dotknęła kolanami przykrytej chodnikiem podłogi, po drodze pieszcząc muskularną klatkę piersiową i biodra Baldassarego, między którymi dostrzegła wąski szlak ciemnych włosów, który zaprowadził ją do celu.

Musnęła ów cel palcami, czując delikatne pulsowanie... i świat wokół zaczął się zamazywać, by wreszcie ograniczyć się do niej i Baldassarego, połączonych pożądaniem, którego obezwładniającej siły nie dało się ani wytłumaczyć, ani tym bardziej zignorować.

Nie było już żadnych oporów, żadnych tabu. Bianca rozpoczęła najśmielszą pieszczotę, o której usłyszała wprawdzie kiedyś wyszeptaną skrycie opowieść, lecz nawet ze swym zmarłym już mężem nie odważyła się na coś takiego. Lecz teraz to, co czyniła ustami, wydało jej się takie oczywiste... i cudowne.

Jego biodra drgnęły, a dłonie zacisnęły się na głowie Bianki, przyciągając ją jeszcze bliżej. Jednak po chwili zbyt krótkiej, by zdołała nacieszyć się wyuzdaną pieszczotą, Baldassare odepchnął ją.

- Nie mogę czekać dłużej... - szepnął.

- Ani ja. - Będąc tak blisko niego, czuła wyłącznie namiętność, silniejszą od wzajemnych uraz i niedomówień.

Opadł na kolana tuż obok Bianki, zamykając jej ciało w mocnym uścisku. Żar języków eksplodował w gwałtownym, pożądliwym pocałunku.

Poddała się woli kochanka, opadając łokciami na szorstki, drażniący delikatną skórę dywan. Słyszała, jak zakrada się od tyłu, błędząc niecierpliwymi dłońmi po jej piersiach, łuku pleców i krągłościach pośladków.

Zdecydowanym ruchem pociągnął je w górę, wślizgując się do środka. Jego ruchy stawały się coraz szybsze i mocniejsze.

Docierał do miejsc, o których istnieniu nie miała pojęcia, niczym odkrywca eksplorujący nowe lądy. Zamknął jej biodra w żelaznym uścisku, utrzymując szaleńcze tempo pchnięć.

Bianca ledwie mogła znieść ich siłę i odczuwaną rozkosz. Z westchnieniem dźwignęła drżące ciało, czując na kręgosłupie dotyk klatki piersiowej Baldassarego. Krople ich potu mieszały się, podobnie jak szelest oddechów i przyśpieszone bicie serc, które na moment stały się jednym.

Wrząca fala rozkoszy skąpała ciało Bianki. Czowała, jak ciepło Baldassarego rozlewa się głęboko wewnątrz niej, gdy wykrzykiwał jej imię.

Opadła na podłogę bez sił. Po sekundzie dołączył do niej. Twarz miał zwróconą w stronę ściany.

Przesunęła palcami po jego wilgotnym ramieniu, drżących plecach, ciemnych kosmykach. Przez chwilę nie była w stanie zebrać myśli. Jedyne, co mogła, to czuć i unosić się na obłoku wspaniałych doznań ponad cudownie zmęczonym ciałem.

Przymknęła oczy, czując, jak jej serce stopniowo zwalnia, a gorąca lawa w żyłach z powrotem zamienia się w krew. Przez chwilę miała wrażenie, że rytm tętna to echo fal rozbijających się o burzę... Ocean, statek, wolność... kobieta i mężczyzna... pomyślała leniwie, jakby upewniając się w tym, że właśnie rozpoczęła nowe życie.

Nie miała pojęcia, jak długo leżeli, kilka minut, a może godzin? W końcu Baldassare poruszył się. Nie otworzyła oczu nawet wtedy, gdy mocno ją objął i pociągnął do góry. Nie miała ochoty budzić się z tak wspaniałego snu. Jeszcze nie teraz.

Ułożył ją delikatnie na łóżku, przykrył nagie ciało kocem, lecz nie zdecydował się dołączyć. Ściągnął buty, poprawił poluzowane spodnie i bosy przemierzył kajutę. Po chwili Bianca usłyszała plusk wody.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, zobaczyła Baldassarego pochylonego nad miednicą. Po niedawnej burzy uczuć ponownie zapadła między nimi niezręczna cisza. Bianca chciała poznać odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafiła sformuło-

wać.

Oparła głowę na dłoni i przyglądała się, jak Baldassare wyżyma ręcznik. Jego twarz była skąpana w półmroku, lecz i tak dostrzegła jej posepny wyraz. Podeszedł do łóżka, usiadł i powolnymi, posuwistymi ruchami zmył z Bianki ślady pozostawione w przypląwie uniesienia.

Nie mógł jednak wymazać z jej pamięci obrazu ich miłości.

Być może wolałaby, żeby Baldassare zniknął z jej życia raz na zawsze, lecz to, co między nimi zaszło, pozostawiło na jej duszy trwałe ślad. Łącząca ich więź była zbyt silna, by przeciął ją najostrzejszy nawet sztylet.

Leżała wygodnie z przymkniętymi oczami, czując orzeźwiający chłód wody i szorstkość ręcznika. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś się o nią troszczył. Zwykle musiała sama zadbać o jedzenie i dach nad głową. Wspaniale było nie martwić się o to choć przez chwilę.

Nawet jeśli była to tylko iluzja.

Kiedy już każdy najmniejszy fragment jej skóry był czysty, Baldassare usiłował wstać, lecz zdążyła chwycić go za nadgarstek i zabrać mu ręcznik. Usiadła na łóżku, delikatnie dając do zrozumienia, że chciałaby się odwdziżyć.

Poddał się bez protestów, lecz jego mięśnie pozostały napięte.

Bianca umyła szczupłe, umięśnione ramię, z fascynacją przyglądając się śniadej skórze pociętej bliznami. Najświeższa z nich, pozostawiona przez sztylet Diega, miała jaskraworóżową barwę. Każda ze szram dodawała Baldassaremu urody. Oto młokos, w których Podkochiwała się jako nastolatka, zamienił się w nieustraszonego wojownika.

Ona zaś stała się podejrzliwą, znacznie nad swój wiek starszą kobietą, która z bólem dźwiga na swych barkach balast przeszłości. Tylko w ramionach Baldassarego czuła się jak beztroska marzycielka, którą kiedyś była. Wierzyła wtedy, że warto poświęcić wszystko dla miłości i przygody.

Mądrość przyszła z wiekiem. Wiedziała już, że chwila nieuwagi może zaprowadzić zakochanego na skraj przepaści.

Lecz z Baldassarem...

Pokręciła głową, odpędzając myśl niczym natrętną muchę. Baldassare sprawiał, że niczego nie była pewna.

Tymczasem na pokładzie dzwon obwieścił kolejną wachtę. Byli już daleko od lądu i podążali w stronę nieznanego.

Leżeli obok siebie, na wąskiej koi, mocno przytuleni. Baldassare sięgnął po dłoń Bianki i splótł jej palce ze swoimi.

- Szukałeś mnie w Wenecji? - zapytała cicho.

- Słucham? - Jego głos był zachrypnięty, jakby Baldassare dryfował na granicy jawy i snu.

- Podobno służąca powiedziała ci, że nie żyję, kiedy przyszedłeś do naszego domu.

Odwrócił się w stronę Bianki, usiłując odnaleźć w półmroku jej twarz.

- I tym właśnie przejmowałaś się przez cały czas? - zdziwił się.

- Nie - odparła zgodnie z prawdą. Wcześniej była zbyt zajęta obmyślaniami planu zakradnięcia się na statek. Teraz uznała, że to ważne. - Po prostu jestem ciekawa.

Kciuk Baldassarego kreślił okręgi na jej skórze, wywołując przyjemne dreszcze. Mocniej ścisnęła jego dłoń i położyła policzek na ramieniu. Bliskość, która się między nimi wytworzyła, była wręcz namacalna. Czyżby dzielący ich mur zaczynał się kruszyć?

- Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania w Wenecji, Bianco.

Skinęła głową. Nie mogła wymazać z pamięci widoku martwej matki i strachu przed tym, że Ermano będzie próbował zabić także ją. Pragnęła wtedy tylko bezpiecznego schronienia... lecz nade wszystko wyrównania rachunków z Grattianami.

- Po śmierci ojca, gdy wiedziałem, że będę musiał opuścić Wenecję, chciałem się z tobą pożegnać i powiedzieć ci... - Urwał w pół zdania.

- Co takiego?

- Bardzo mi zależało na tym, żebyś się dowiedziała o moich planach. O tym, że zamierzam szukać Nowego Świata.

- Tyle że mnie nie znalazłeś...

- Wasza służąca nawet nie wpuściła mnie do domu, tylko ze łzami w oczach powiedziała, że obie nie żyjecie. - Ścisnął mocniej jej rękę. - Po tym wszystkim, co się wydarzyło, czułem, że los wymierza mi karę.

- Karę? Nie rozumiem...

- Mordując własnego ojca, popełniłem grzech śmiertelny. Sądziłem, że Bóg odebrał mi w odwecie najlepszą przyjaciółkę.

- Czyżby łączyła nas przyjaźń, Baldassarze? - spytała cicho, niemal szeptem.

- Być może nie uważałaś mnie za swojego przyjaciela, ale ja zawsze byłem samotnikiem, izolowałem się od rówieśników. Ty jedna okazałaś mi życzliwość, zainteresowałaś się moimi lekturami...

Słowa Baldassarego przypomniały jej, co sama czuła, gdy z dziecącą niecierpliwością oczekiwała kolejnych spotkań. Łzy wzruszenia ścisnęły ją za gardło. Opanowała się jednak i zadała kolejne pytanie:

- Czy bardzo się od tego czasu zmieniłam?

- Zmieniłaś? W jakim sensie?

- Nie od razu mnie poznałeś.

- Po prostu nie spodziewałem się, że spotkam w Santo Domingo kobietę, którą znałem przed laty, gdy była jeszcze dziewczyną, i o której powiedziano mi, że zmarła. Sądziłem, że mającę w gorączce. Poza tym naprawdę się zmieniłaś, podobnie zresztą jak ja.

- Minęło tak wiele czasu - szepnęła w zadumie, nadając banalnemu zdaniu dziwną głębię.

Przekręcił się na bok, przyglądając się Biance uważnie, jakby próbował odczytać jej myśli, rozegnać mgłę spowijającą ich wspomnienia.

- Tak, minęło - powtórzył w zadumie. - Co przez te lata działo się z tobą, Bianco?

- Och, Baldassarze - westchnęła smutno i pogładziła dłonią jego szorstki policzek. - Wydarzyło się zbyt wiele, byśmy mieli teraz o tym rozmawiać. Nie jestem

pewna, czy kiedykolwiek nadejdzie dobry moment. Wiem tylko tyle, że pragnę na powrót stać się tamtą dziewczyną, której nigdy nie spotka to, co spotkało osieroconą Biancę Simonetti.

Po chwili milczenia skinął głową.

- Na tę jedną noc spróbujemy cofnąć czas - poprosił. - Choćby na tę jedną noc.

Opadł z powrotem na poduszki, nie wypuszczając Bianki z objęć. Otuliła ich kocami i pozwoliła się ukołysać do snu szelestem oddechu Baldassarego, skrzypieniem drewnianych belek, szumem fal. Księżyc skąpał ich splecione ciała w kredowobiałym świetle.

Nie wiedziała, co przyniosą kolejne dni, burzę czy ciszę na morzu, lecz w ramionach Baldassarego czuła się naprawdę bezpiecznie.

Rozdział trzynasty

Leżał nieruchomo z ręką na biodrze Bianki, starając się jej nie zbudzić. Chociaż porzuciła swój uporządkowany świat, by popłynąć z nim w nieznane, spała bardzo spokojnie. Czuł ciepło jej skóry i słyszał miarowy, równy oddech.

On sam nie zmrużył oka. Wiedział, że Bianca wkrótce pożałuje zbyt pochopnie podjętej decyzji, lecz cieszył się, że są razem. Czy tak już będzie zawsze? Całe życie spędził samotnie i spodziewał się, że przyszłość będzie wyglądała podobnie. Pojawienie się Bianki traktował jako dar losu.

Westchnęła przez sen, mocniej wtulając się w Baldassarego. Noc zrobiła się chłodna, lecz morze pozostało spokojne i nic nie zapowiadało burzy, w każdym razie w najbliższym czasie.

Otulił Biancę kocem, składając na jej czole pocałunek. Nie był święty, a ona miała mnóstwo powodów, by zniechęcić i jego, i cały ród Grattianów, lecz i tak rozkoszował się słodyczą, którą nosiła w sercu.

Pocałował ją raz jeszcze i ostrożnie ześlizgnął się z koi. Bianca poruszyła się niespokojnie, mrużąc coś przez sen, i rozłożyła wygodnie na łóżku, zajmując miejsce

Baldassarego. Przepasał się szlafrokiem i otworzył okno. Nocna poświata natychmiast zalała stół oraz skrawek przykrytej starym dywanem podłogi, na którym wczoraj doszło do wybuchu namiętności. Kompletnie zatracił się wtedy w Biance, lecz teraz myślał bardziej trzeźwo.

Jego wzrok padł na kufer z wyrytymi na wieku inicjałami „JRM”, należący zapewne do zmarłego męża Bianki, również żeglarza.

Baldassare zmarszczył czoło, zastanawiając się, kim był ten mężczyzna i jak ją poznał. To musiało mieć miejsce już po wyjeździe z Wenecji, bo Montero to hiszpańskie nazwisko. Jak wyglądało życie Bianki przez te wszystkie lata spędzone z dala ode mnie? - pomyślał. Co sprawiło, że spośród wszystkich mężczyzn wybrała na męża właśnie señora Montero? I wreszcie czy w sypialni Bianca była równie namiętna i oddana jak wówczas, gdy kochała się ze mną?

Poczuł głupią, kompletnie nieuzasadnioną zazdrość, bo jakże być zazdrosnym o męża, który miał wszelkie prawo do ciała i czułości swojej żony. A ta zazdrość na dodatek dotyczyła zmarłego...

Mimo to zacisnął gniewnie pięści, ledwie powstrzymując się przed roztrzaskaniem kufra w drzazgi, zbudzeniem Bianki i zażądaniem odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Wiedział, że nie zdradziłaby mu żadnego ze swoich sekretów, nawet gdyby o to błagał. Była najbardziej upartą i skrytą kobietą, jaką znał, przez co pragnął jej jeszcze bardziej.

Bianca ponownie zamruczała przez sen, nieświadoma uczuć, które targały Baldassarem. Dźwięk dzwonu, sygnalizujący zmianę wachty, rozległ się już dawno. Wzywała go służba. Większość załogi pogrążona była we śnie, oficerowie spali w swoich kajutach, majtkowie tam, gdzie było miejsce. Może więc będzie mógł chwilę spokojnie pomyśleć.

Wypadł z kabiny jak burza, wspiął się po stromych schodach na pokład i odpowiedział skinieniem głowy na przywitanie marynarza pełniącego wachtę przy klepsydrze. Kiedy stanął na dziobie statku, jego płuca wypełniło zimne, słone powietrze.

Czerń nocy rozpraszały tylko śnieżnobiałe bałwany rozbijające się o burzę.

Tylko tutaj, pośród nieujarzmionych fal, na pełnym morzu, które jako jedyne potrafiło dać człowiekowi wolność, Baldassare czuł się jak w domu. Nie wiedział, czy Bianca myśli podobnie i odnajdzie się w niebezpiecznym, nowym świecie, lecz przeczuwał, że była jego pokrewną duszą.

Gdyby tylko udało im się raz na zawsze pogrzebać przeszłość! Wiedział wszak doskonale, że choć morze było cudownym miejscem, nie potrafiło obmyć człowieka z grzechów ani podarować mu nowego życia.

Nagle za jego plecami rozległ się śmiech. Gdy się odwrócił, ujrzał Mendozę i Luisa zajętych gotowaniem. Zapach dymu i pieczonej wieprzowiny wypełnił nozdrza Baldassarego.

Widząc zbliżającego się dowódcę, marynarze wyszczerzyli zęby w szerokim uśmiechu.

- Ciężka noc, kapitanie? - odezwał się Mendoza. - Niech się pan trochę posili, zapraszamy.

- Zwłaszcza że czeka pana sporo pracy - dodał Luis, wręczając Baldassaremu kufel piwa.

Przyjął go z wdzięcznością, sadowiąc się jak najbliżej ognia. Marynarze zaśmiali się, lecz powstrzymali od pytań o Biancę. Wiedzieli, że kapitan nie znosi wtykania nosa w cudze sprawy. Gdyby nawet ośmielili się zapytać, i tak nie wiedziałby, co odpowiedzieć.

- Czy pańska rana już się wygoiła, kapitanie? - zagadnął znów Mendoza, obracając nad ogniem wieprzowe szaszłyki.

- To było ledwie zadrapanie - odparł Baldassare.

- Señora Montero jest dobrą pielęgniarką, jak sądzę?

Baldassare skrzywił się na wspomnienie przebijającej jego skórę igły.

- Niewątpliwie - powiedział cierpko.

- Musiał nad panem czuwać Anioł Stróż - wtrącił Luis.

- Diego pałał żądzą mordy.

- Wróci, żeby dokończyć to, co zaczął - powiedział Mendoza ponuro. - Jak tylko się dowie, że pan żyje.

Baldassare upił spory łyk piwa, z niepokojem przypominając sobie zimny błysk nienawiści w oczach Diega, gdy zadawał cios sztyletem. Pamiętał również krzyki usuwanej ze statku Esperanzy i groźby jej męża.

- Nie spodziewałbym się niczego innego po człowieku tak bardzo zaślepionym nienawiścią.

- Gdy dotrzemy na Vista Lindę, będziemy bezpieczni - powiedział Mendoza. - Nikt nie wie o jej istnieniu.

- Nawet gdyby udało mu się jakoś tam dotrzeć, będzie miał z nami wszystkimi do czynienia - wtrącił Luis hardo.

- Drugi raz nie pozwolimy mu uciec.

Baldassare zgodnie skinął głową, lecz w głębi duszy wiedział, że żadne zapewnienia ani najbardziej skuteczna broń nie powstrzymają człowieka zaślepionego furją, dla którego zemsta stanowi jedyny sens życia. Może tego dokonać tylko śmierć, Diega lub moja, pomyślał.

Wiedział o tym, bo i jego zaślepiała kiedyś nienawiść. Czuł wtedy dokładnie to samo co Diego.

Może nawet nigdy nie przestał. Jeśli Diego darzył żonę uczuciem tak silnym, jak on Biancę, to na pewno będzie ponownie próbował go zabić. I tylko jeden z nich ujdzie z życiem.

Jeśli zwycięzcą będzie Diego, to jaki los czeka Biancę?

Rozdział czternasty

Dźwięk tłuczonego szkła, wrzaski i głośny śmiech zbudziły Diega z niespokojnego snu. Przez chwilę w oszołomieniu przyglądał się okopconym krokwiom na suficie. Szczelnie zamknięte drzwi i okna okazały się niewystarczającą barierą dla piekielnych odgłosów nocnego życia Tortugi.

Leżąca obok prostytutka wymamrotała coś przez sen, przysuwając się do niego. W mdłym świetle lampy na bladej skórze dziewczyny wyraźnie odznaczał się brud. Jej sutki były wysmarowane tym samym miedzianym odcieniem henny co włosy. Pachniała tanim rumem i jeszcze tańszym seksem.

Diego przypomniał sobie miodową skórę Esperanzy, kwiatowy zapach długich, czarnych włosów i przesycony słodyczą uśmiech.

W przypiływie pogardy dla tego, co zrobił, odsunął się ze wstrętem od dziwki i usiadł na brzegu łóżka. Za oknem zobaczył przelewającą się falę pijanych, rozbawionych mężczyzn z pochodniami, wyrzucających w błoto splamione krwią i cierpieniem, zrabowane różnym nieszczęśnikom pieniądze.

Blask pochodni oświetlił lichy pokój w burdelu, lepka od brudu podłoga, spleśniały materac, kłęb ubrań rzuconych bezładnie na rozklekotane krzesło. Trudno o większy kontrast między tym, co go otaczało, a marzeniami, które snuł przed wyjazdem z Hiszpanii. Nie wiedział wówczas, że płynie do piekła, nie wiedział, że nie tylko niczego nie zyska, lecz straci swój największy skarb... straci Esperanzę.

A wszystko przez chciwość i bezduszość jednego człowieka, Baldassarego Grattiana.

Kiedy się ubierał, Diego nie mógł wyjść ze zdziwienia nad odczuwaną pustką. Sądził, że śmierć Baldassarego przyniesie mu satysfakcję i upragniony spokój, zaczął jednak nabierać przekonania, że uczucie beznadziei będzie mu towarzyszyć do końca, do tej szczęsnej chwili, kiedy sam zginie z czyjejs ręki.

Mimo to nie żałował tego, co zrobił. Nie miał innego wyjścia, jak tylko pomścić śmierć Esperanzy, do której pewnie wkrótce dołączy. Tymczasem musiał nieść swoje

brzemie.

Gdy wreszcie się ubrał, sięgnął po leżącą na podłodze butelkę. Była pusta. Pamiętał, że osuszył ją razem z rudowłosą prostytutką, nim poszli do łóżka. Powinien iść po następną flaszkę, lecz ze zdumieniem odkrył, że od stanu alkoholowego upojenia wolałby chwilę świętego spokoju spędzoną w samotności.

Niestety był to jedyny towar, którego na wyklętej przez Boga i ludzi Tortudze nie można było kupić za żadne pieniądze.

Jakby na potwierdzenie rozległo się donośne pukanie do drzwi, od którego cały pokój zadrżał w posadach. O dziwo, leżąca w łóżku dziwka nie obudziła się, lecz przekręciła na drugi bok i zaczęła chrapać. Diego sięgnął po miecz i poszedł otworzyć, zastanawiając się, czy to śmierć wreszcie postanowiła się o niego upomnieć.

Zamiast niej ujrzał na progu swojego przyjaciela, Maura, który ledwie trzymał się na nogach, w towarzystwie drobnej blondynki w podartej czerwonej sukience. Wyglądała na równie pijaną. Diego rozluźnił uścisk, lecz nie odłożył miecza. Tylko głupiec odważyłby się rozstać z bronią, przebywając w takim miejscu.

- Kappitaanie! - wybełkotał Mauro, po czym zachwiał się, co wywołało salwę śmiechu blondynki. - Słyszałem w tawernie.

Diego przyglądał mu się z niepokojem. Nowina musiała być naprawdę ważna, skoro wywabiła Maura z tawerny w środku nocy.

I mogła oznaczać wyłącznie kłopoty.

Odsunął się, zapraszając ich do środka, przez co w niewielkim pokoju zrobiło się okropnie ciasno. Powietrze wypełniło się odorem alkoholu i niedomytych ciał.

Hałas obudził rudowłosą prostytutkę, która na widok gości wybełkotała:

- Za zbiorowe rypanko biorę ekstra.

Diego kazał jej się zamknąć i niecierpliwie zapytał:

- Co takiego usłyszałeś?

Mauro zmarszczył brwi, zbierając myśli, co było wysiłkiem nie lada.

- Słyszałem, że Grattiano wciąż żyje! - wypalił wreszcie. - I nie są to jakieś głupie plotki.

Diego przyglądał mu się przez chwilę, niepewny, czy dobrze zrozumiał zamroczonego rumem kamrata.

- Jak to żyje?! - wykrzyknął.

- To prawda! Felipe widział na własne oczy, jak cały i zdrowy wchodził na pokład Calypso w Santo Domingo. Nie że ktoś mu mówił, ale widział!

- Calypso? - zdziwiła się blondynka. - A więc naprawdę istnieje? Myślałam, że to tylko legenda.

- Moja siostra twierdzi, że spała z tym Grattianem - odezwała się rudowłosa, siadając na łóżku. - Mówiła, że jest najlepszym znanym jej ogierem i potrafi to robić godzinami. - Westchnęła rozmarzona, w czym sekundowała jej druga dziwka. - Wprawdzie moja siostra lubi fantazjować, ale gdy to mówiła...

- Zamknij się! - wybuchnął Diego. - Czy Felipe jest pewien tego, co widział? Nie zachlał się rumem i nie zmyślił wszystkiego?

Mauro wzruszył ramionami.

- Tak sobie myślę, że wiedział, co mówi, zresztą łąć w takiej sprawie... No i w Santo Domingo nie gadano o tym, że Baldassare Grattiano zginął podczas bójki.

Śmierć kapitana Calypso na pewno stałaby się głównym tematem plotek. Dłoń Diega ponownie zacisnęła się na rękojeści miecza. Ledwie zdołał się powstrzymać przed wbiciem go w serce Maura, posłańca złej nowiny.

Rzeczywiście, postąpił jak głupiec, wyjeżdżając z Santo Domingo przed upewnieniem się, że wykonał zadanie do końca. Widział, jak Grattiano upada raniony sztyltem, lecz zapomniał, że śmierć nie ima się takich jak on.

Po raz kolejny zawiódł swoją żonę.

Diego wyminął Maura i ruszył w stronę drzwi.

- Idź wytrzeźwieć - rozkazał. - A potem znajdź resztę załogi, choćbyś miał przekopać całą tę przeklętą wyspę. Wypływamy o świcie.

- Kapitanie, ale...

- O świcie! - powtórzył ostro, zamykając z trzaskiem drzwi.

Przerażone dziwki otworzyły szeroko oczy. Gniewny Diego Escobar w każdym wzbudziłby strach.

Diego zaś wiedział, że musi odnaleźć Baldassarego po raz drugi, lecz tym razem z całą pewnością doprowadzi sprawę do końca.

Rozdział piętnasty

Bianca powoli wynurzała się ze świata sennych marzeń niczym z morskich fal. Morfeusz nie chciał jej wypuścić z objęć, a i ona nie miała ochoty na konfrontację z rzeczywistością. Otuliła się kocem, mając nadzieję na dodatkową chwilę zapomnienia, dryfowania na fali sennej przyjemności.

Nie mogła jednak na to liczyć. Nogi bolały ją, jakby pływała przez całą noc, a z żołądka dobiegło głośnie burczenie. Otworzyła szeroko oczy z nadzieją i jednocześnie strachem, że ujrzy Baldassarego.

Skąpiana w złocistym świetle poranka kajuta okazała się pusta. Na stole czekał świeży dzban wina i patera z owocami, a na oparciu krzesła wisiał męski, kunsztownie wykończony futrem szlafrok.

Odsunęła koc, przerzucając nogi przez krawędź łóżka. Wciąż odczuwała skutki wczorajszej nocy, lecz był to przyjemny ból. Tak bardzo przyjemny, że kiedy podbiegła do stołu, zaczęła nucić pod nosem.

Szlafrok okazał się o wiele za duży, lecz ciepły i na dodatek przesiąknięty zapachem Baldassarego. Gładkość satyny i miękkość futra na nagiej skórze przeniosły ją w świat luksusu, piękna oraz przywilejów, tak bardzo odległy od Santo Domingo.

Bianca nigdy do niego nie należała. Nawet wtedy, gdy mieszkała w Wenecji, jej życie wypełniała raczej praca niż zabawa. Obserwowała tylko przepych i bogactwo. Gondole i balkony pałaców roiły się od najdelikatniejszych materiałów, blasku złota, drogocennych klejnotów oraz znakomitych koronek z Burano. Ze sklepu Julietty Bassano nieustannie płynęła woń jaśminu, fiołków i wody różanej. Ulice były gwarne od rozmów, muzyki i śmiechu ludzi z maskami na twarzach. To był świat, który Baldas-

sare porzucił dla pełnej niebezpieczeństw morskiej włóczęgi.

Być może właśnie dlatego zostawiła to, co знаła, by dołączyć do załogi Calypso. Baldassare stanowił dla niej zagadkę, wręcz tajemnicę już wtedy, gdy była nastolatką. Nie potrafiła jej rozwikłać aż do dziś, lecz wiedziała, że od tego zależy przyszłość ich obojga.

Upiła łyk wina, zastanawiając się, od czego powinna zacząć. Intuicja podpowiadała jej, że kluczem do rozwiązania zagadki jest to, co wydarzyło się między Baldasarem a jego ojcem.

Żując owoce, spojrzała na rozłożone na stoliku odręcznie narysowane tabele i mapy usiane skrupulatnymi pomiarami.

Przeglądała je z najwyższym podziwem. Jako wdowa po nawigatorze widziała w swoim życiu wiele map, potrafiła więc docenić sztukę, z jakim zostały wykonane. Były nie tylko rzetelne, ale przede wszystkim piękne. Zachwycały bogactwem odcieni błękitu, zieleni, fioletu, ziemistej sepii oraz maleńkimi rysunkami statków i sylwetek tubylców, umieszczonymi na marginesach.

Znalazła również schowane głębiej rysunki roślin, drzew, wiosek, a na samym dnie sterty coś jeszcze bardziej niezwykłego, a mianowicie wykonany węglem portret ciemnowłosej kobiety w towarzystwie dwóch chłopców. To już nie byli tubylcy. Kobieta miała na sobie elegancką, włoską suknię, której gorset i rękawy zdobiły uszyte z brokatu kokardy. Z łagodnym uśmiechem na pociągłej twarzy spoglądała na trzymane w ramionach niemowlę i chłopczyka uczonego jej spódnicy.

Portret porażał pięknem. Każda kreska wyrażała miłość i czułość, ciepło rodzinnego ogniska, którego Bianca nigdy nie zaznała w swym życiu.

W rogu dostrzegła skreślone pośpiesznie inicjały „BG”.

Baldassare Grattiano.

Gdy przyjrzała się chłopcom uważnie, dostrzegła coś znajomego w ich rysach, wyrazie oczu, uśmiechu. Czyżby byli spokrewnieni z Baldasarem?

Czy to możliwe, że uciekł nie tyle od mrocznego dziedzictwa, co od żony i dzieci?

Przyglądając się w zadumie portretowi, czuła, jak ulatuje z niej radość. Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak jej serce pęka z głośnym trzaskiem. Oczywiście było to niedorzeczne, bo od śmierci matki Bianca w ogóle nie miała serca. Co więcej, Baldassare był jej obojętny. Pragnęła jedynie, by zapłacił za krzywdy wyrządzone przez swoją rodzinę.

Dlaczego więc w gardle uwięzły jej łzy?

Opadła na krzesło. Słodycz owocu w jej ustach zamieniła się w gorycz. Bianca nie wiedziała już, dlaczego się tu znalazła, kim był Baldassare, a kim była ona. Tak bardzo zatraciła się w trawiącym ich ciała pożądaniu, że nie zauważyła, jak nieprawdopodobne są jej marzenia.

Upiła kolejny łyk wina, żałując, że nie może w nim utonąć i pociągnąć za sobą Baldassarego.

Sięgnęła po leżącą na szczycie sterty książkę, mając nadzieję, że lektura pozwoli jej choć na moment zapomnieć o problemach. Była to „Geografia” Ptolemeusza. Oczywiście nie spodziewała się znaleźć romansów czy poezji w biblioteczce Baldassarego. Opis Wyspy Korzennej pochłonął ją bez reszty. Ocknęła się, dopiero gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

Spojrząwszy w górę, zobaczyła Baldassarego. Przewiązane czarną chustą włosy były splątane od wiatru, a spod rozchylonej koszuli wyłaniał się skrawek opalanej skóry. W tej krótkiej chwili naprawdę wydawał się morskim bożkiem, kompanem słonych fal, słońca, otwartego nieba, a przede wszystkim istotą, która poznała tajemnicę upajającej, niczym nieograniczonej wolności.

Bianca zastanawiała się, ile jeszcze twarzy Baldassarego przyjdzie jej poznać.

Jego uśmiech sprawił, że z trudem powstrzymała się przed padnięciem w silne ramiona i zatraceniem w słonych, gorących pocałunkach.

Pomogło jej w tym wspomnienie dzieci z portretu.

- Czytasz Ptolemeusza? - Zatrzasnąwszy drzwi, podszedł do stołu i nalał resztkę wina do kielicha. Kiedy pił, mięśnie na śniadym gardle naprężyły się.

Bianca szybko odwróciła wzrok.

Niestety jej spojrzenie ześlizgnęło się na stary, leżący u stóp Baldassarego dywan. Zbyt dobrze pamiętała, co się tam wczoraj zdarzyło.

- Tak - odparła sztywno. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. - Usiadł po przeciwnej stronie stołu, nadziewając kawałek owocu na sztylet. - Pamiętam nasze rozmowy o książkach, nawigacji, nowych lądach i odkryciach z czasów, gdy mieszkaliśmy w Wenecji.

- Ja również. Byłeś jedyną osobą, z którą mogłam porozmawiać na takie tematy. Reszta wydawała się taka...

- Gnuśna? Przywiązana do jednego miejsca?

- Właśnie. Nasza służąca nie popierała moich zainteresowań. Twierdziła, że powinniśmy zostać tam, gdzie usadził nas Bóg, zamiast włóczyć się po pogańskich wyspach.

Roześmiał się.

- Może miała rację. Zobacz, w jakie tarapaty wpędziła nas ciekawość tych całych pogańskich wysp.

- Mniejsze niż w Wenecji, którą opiekuje się święty Marek.

- Muszę się z tobą zgodzić. A co, jeśli Bóg usadził nas w miejscu pełnym wody, żebyśmy nauczyli się żeglugi i przyплыnęli aż tutaj?

- Wolałabym, żeby Jego ścieżki nie były aż tak kręte. - Wiele by dała za boską pomoc w rozwiązaniu jej problemów. Z drugiej strony bałaby się szatańskiego podszeptu, który kazałby jej zboczyć z obranego kursu i rozplynać się w rozkoszy pocałunków.

- Rzeczywiście, najczęściej musimy sobie radzić bez Niego - skomentował Baldassare. - Szczególnie wtedy, gdy najbardziej potrzebujemy pomocy.

- Czasem Jego wielkość objawia się w ludzkich dziełach - dodała Bianca, wskazując na jedną z rozłożonych na stole map. - Czy to ty rysowałaś?

Spojrzał na nią zaskoczony, jednak po chwili przyznał z wahaniem:

- Tak, ja...

- Mówisz o tym niechętnie, choć większość żeglarzy pęczniałaby z dumy. To

wspaniała robota.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Dopracowałeś do perfekcji każdy szczegół. Mój świętej pamięci mąż był cenionym nawigatorem, więc się na tym znam. Wiele by dał, żeby wejść w posiadanie tak dobrych map.

- No właśnie, twój mąż... Powiedz mi, Bianco, jaki był señor Montero?

- Coś mi się wydaje, że chce pan zmienić temat, signor Grattiano - odparła z uśmiechem.

- Nie sposób cię oszukać, Bianco, wiedz jednak, że nigdy nie lubiłem o sobie mówić. Jest tyle ciekawszych tematów.

- Tak czy inaczej, to doskonała robota, najlepsza, jaką w życiu widziałam.

- Mój brat, Marc, twierdzi podobnie. Namawia mnie na powrót do Wenecji albo zamieszkanie w Sewilli czy Kadyksie i otworzenie sklepu z własnoręcznie rysowanymi mapami. Popyt na nie jest podobno ogromny.

Miałby wrócić do Wenecji, do synów i ciemnowłosej żony z portretu? Na samą myśl Bianca poczuła ostre ukłucie w sercu. Mimo to powiedziała z udawanym entuzjazmem:

- To doskonały pomysł. Los żeglarza jest bardzo ciężki, na dłuższą metę nie można tak żyć.

Wzruszył niepewnie ramionami.

- Wydaje mi się, że żeglowanie jest tym jedynym, w czym jestem dobry.

- Och, na pewno nie jedynym...

- Nie? - Uniósł pytająco brwi, po czym pochylił się nad stołem, sięgając po futrzane wykończenie szlafroka Bianki. Gdy dotknął opuszką palca nagiej skóry, jej ciało przeszły dreszcz. Oczy Baldassarego zaszyły mgłą i pociemniały, gdy zatrzymały się na wyraźnie widocznych pod cienkim materiałem piersiach. - W czym jeszcze jestem dobry pani zdaniem, señora? - zapytał schrypniętym głosem.

Pokręciła głową, chwytając mocno jego błędzące palce.

- Wydaje mi się, że pozwala pan sobie stanowczo zbyt wiele! Nie zamierzam

dolewać oliwy do ognia pańskich przechwałek.

Roześmiał się, przysunął bliżej i skradł Biance szybkiego całusa.

- W takim razie powinnaś się ubrać, cara, póki jeszcze mogę się powstrzymać.

W tej kajucie zrobiło się zdecydowanie za gorąco.

Rzeczywiście, temperatura gwałtownie podskoczyła, choć zdaniem Bianki miało to niewiele wspólnego ze wspinającym się wysoko po niebie słońcem. Nagle zażenowana, sięgnęła po ubranie. Pod osłoną nocy intymność, która wytworzyła się między nią a Baldassarem, zdawała się naturalna. Co innego w świetle dnia.

- Czy mogę wyjść z tobą na pokład? - zapytała, zapinając kaftan. - Nie będę ci wchodzić w drogę.

- Mówiłaś, że potrafisz poradzić sobie na statku.

- Przybyłam z Europy na pokładzie jednego z nich, czyż nie, kapitanie?

- I niewątpliwie pływałaś po morzach ze swoim mężem.

- Tak, oczywiście. W razie potrzeby mogę naprawić żagiel lub wyszorować pokład.

- Nie chwal się tym Mendozie, bo natychmiast zapędzi cię do roboty - poradził Baldassare.

- A więc nie należy do tych, którzy uważają, że kobieta na statku to gwarantowane nieszczęście?

- Nie dotyczy to wszystkich kobiet. - Otworzył skrzynię i schował szlafrok. Bianca spostrzegła w niej jeszcze więcej książek, czyste koszule i... rzeźbiony irlandzki łuk z kompletem strzał.

Wyjął z kufra laskę świętego Jakuba*, po czym zatrzasnął wieko. Bianca pomyślała, że być może właśnie z tej broni zamordował ojca.

* Przyrząd nawigacyjny składający się z prostej listwy z ruchomą poprzeczką. Służy do mierzenia wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi.

- Myślę, że ktoś tu naopowiadał ci bajek - powiedział Baldassare.

- Bajek? - zapytała z roztargnieniem, nie mogąc zapomnieć o tym, co właśnie zobaczyła.

- Tak, o kobietach, których obecność przynosi żeglarzom pecha. Szczególnie o jednej.

- Musiałam zapytać Mendozę o mężczyznę, który usiłował cię zabić w mojej tawernie, a więc i o powód, dla którego pragnął twojej śmierci.

- Wielu ludzi wolałoby, żebym nie żył. Także kobiet - dodał po namyśle. - Diego Escobar jest po prostu bardziej uparty od reszty.

Bianca zamarła.

- Czy to znaczy, że ponownie spróbuje cię odnaleźć?

- Tak sędzę. Zniknął z Santo Domingo, lecz gdy tylko się dowie, że żyję... - Gdy dostrzegł na jej twarzy strach, dodał szybko: - Nie bój się, Bianco. Nie sędzę, by odnalazł nas tam, dokąd płyniemy.

- Powiedziałeś, że nie poddaje się łatwo.

- Podobnie jak ja, o czym doskonale wiesz. A mnie bardzo zależy na tym, by pożyć jeszcze kilka lat. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź ze mną, szkoda takiego pięknego dnia.

Wsunęła palce w ciepłą, silną dłoń.

Wyszli wąskimi schodami na pokład. Przez chwilę Biancę oślepiło ostre światło, kontrastujące z półmrokiem kajuty. Przysłoniła oczy dłonią, z ciekawością przypatrując się załodze Calypso.

Miała wrażenie, że czas się cofnął i znalazła się na statku, który wywiózł ją z Europy. Na pokładzie panował podobny zgiefk, a marynarze uwijali się jak w ukropie. Wypompowywali wodę z ładowni, szorowali pokład, wspinali na takielunek w poszukiwaniu uszkodzonych lin. Śmiech, ożywione rozmowy i fałszywe nuty szant mieszały się z łopotem żagli oraz skrzypieniem drewnianego statku przecinającego morskie fale.

Chociaż od jej ostatniego rejsu upłynęło wiele czasu, dobrze pamiętała każdy z tych dźwięków, podobnie jak słony zapach morskiej bryzy i kołysanie pokładu pod

stopami. Owszem, kochała morskie włóczęgi, ale jako żona sporo starszego mężczyzny, o którym niewiele wiedziała, odczuwała osamotnienie i lęk przed utratą wszystkiego, co знаła.

Mimo upływu lat niewiele się zmieniło.

Baldassare spojrzał na nią z tajemniczym uśmieszkiem, jakby pytał, czy podejmie ryzyko i ruszy z nim w daleką, pełną niebezpieczeństw podróż.

Bianca dawno podjęła decyzję, zakradła się przeciw na Calypso. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to pociągnąć za sobą Baldassarego.

Szli przez pokład, trzymając się za ręce. Marynarze z szacunkiem ustępowali im drogi, choć Bianca widziała ich ironiczne uśmieszki. Przypomniała sobie słowa Mendozy dotyczące posłuchu, którym Baldassare cieszył się wśród załogi. Wiedziała również, że na pokładzie niewielkiego statku trudno zachować cokolwiek w sekrecie, a już szczególnie romans.

Czuła, jak po jej policzkach pełźnie rumieniec, lecz starała się trzymać głowę wysoko, idąc za Baldassarem na dziób statku. Czekał tam na nich wysoki, szczupły mężczyzna w słomkowym kapeluszu, który nie spuszczał oka z Bianki. Ukłonił się jej nieśmiało.

- Bianco, to jest Luis, bosman Calypso - dokonał prezentacji Baldassare. - Luis, mam zaszczyt przedstawić ci señorę Montero z Santo Domingo.

- Buenos dias, señora - przywitał się wciąż bardzo speszony bosman.

- Señora Montero zgodziła się nam pomóc w naprawie żagli i gotowaniu. - Baldassare zawadiacko uniósł brwi i spojrzał na Biancę. - Jak sądzisz, przyda nam się jej pomoc?

- Na pewno, kiedy już dotrzemy do lądu, kapitanie - powiedział Luis. - Wtedy zawsze mamy pełne ręce roboty.

- Czy to znaczy, że jesteśmy blisko celu? - zdziwiła się Bianca, bacznie przyglądając się horyzontowi. Zobaczyła jedynie nieskończony błękit wody przetykany bielą grzyw morskich bałwanów.

- Już niedaleko. Calypso ma zawsze bardzo dobry czas - odparł Luis. Gdy zawo-

łał go jakiś marynarz, skłonił się nieporadnie. - Kapitanie, señora, proszę wybaczyć... - I odszedł.

- Ten statek naprawdę musi być magiczny - powiedziała Bianca, gładząc drewno burty i wpatrując się w fale. Przyjemne ciepło promieni słonecznych rozlało się po jej skórze.

- Nie ma w nim niczego magicznego - odparł Baldassare, stając obok niej. Wyciągnął przed siebie laskę świętego Jakuba, lawirując nią tak, by dolna część pokryła się z horyzontem, a górna ze słońcem. Choć nie było to proste, zważywszy na bezustanne kołysanie statku, nie sprawiło Baldassaremu najmniejszego problemu. - Wszystko to zasługa doskonałej konstrukcji. Cieśle pracujący dla mojego brata należą do najbardziej utalentowanych w Europie.

- Nawet najlepszy statek nie jest wiele wart bez dobrego kapitana - powiedziała Bianca. - Takiego, który zna morze jak własną kieszeń.

- I potrafi przewidzieć jego kaprysy? - zapytał Baldassare ze śmiechem. Odłożył laskę świętego Jakuba i pochylił się nad astronomiczną tabelą rozłożoną na stole.

- Czy ta tabela ci w tym pomaga? - zapytała Bianca, spoglądając na cyfry, których znaczenia nie rozumiała. Była zbyt zajęta obserwowaniem ramion Baldassarego rysujących się pod cienkim płótnem koszuli i długich, ciemnych włosów tańczących na wietrze.

- Mogę z niej odczytać deklinację słońca. - Wskazał palcem jedną z cyfr w tabeli. - Widzisz, Bianco? To jest kąt padania słońca dla dzisiejszego dnia. Po odjęciu go od wskazań laski świętego Jakuba mogę określić naszą szerokość geograficzną. Jesteśmy blisko domu. Miejmy nadzieję, że wiatr będzie nam sprzyjał.

- Kto narysował tę tabelę?

- Ja - odparł Baldassare, gładząc pergamin.

Położyła mu rękę na ramieniu, z fascynacją przyglądając się tajemniczemu cyfrom.

- Jest w tym coś magicznego, takie połączenie mapy morza i nieba.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Czy to, że potrafię ją odczytać, czyni ze mnie magika? Poczula, jak zapiera jej dech w piersiach. Panujący na statku gwar w jednej sekundzie ucichł. Istniał tylko Baldassare pośród nieujarzmionego morza, którego zresztą był częścią.

- Masz w sobie coś z czarodzieja, Baldassarze.

- Czy właśnie dlatego tu jesteś, Bianco? Rzuciłem na ciebie zaklęcie?

- Zaczynam w to wierzyć. Kiedy kupiłam tawernę, przysięgłam sobie już nigdy nie opuszczać stałego lądu.

- A jednak zjawiałaś się tu.

- Właśnie. - Wyrwanie się spod przenikliwego spojrzenia Baldassarego wiele ją kosztowało, lecz zdołała z powrotem utkwic wzrok w horyzoncie. - Już zapomniałam, jak potrafi zachwycać.

- Morze?

- Świat wokół. - Poczula ciepło Baldassarego na plecach, tak przenikliwe jak promienie słońca. To on był tym światem, jakże wspaniałym i pełnym tajemnic, przerażającym i kuszącym zarazem. - Pamiętam twoje opowieści o niezbadanych lądach, gdzie każdy jest tym, kim chce.

- Tylko ty mnie rozumiałaś.

- I udało ci się?

- Co?

- Stać się tym, kim chciałeś.

Przysunął się bliżej. Biance wydawało się, że są jedynymi ludźmi na świecie, złączonymi przy tym przez morskie fale.

- A tobie? - zapytał. - Czy właśnie taka chciałaś być?

Gdy sięgnęła po jego rękę, poczuła zawrót głowy, jakby spadała w przepaść, zalekniona i niepewna, gdzie zakończy się ich podróż.

- Sama już nie wiem, kim jestem, Baldassarze, i nie pamiętam, kim chciałam być.

- Mam wrażenie, że opuściliśmy Wenecję sto lat temu - stwierdził w zadumie. - Na szczęście jedno moje marzenie się spełniło.

- By zostać kapitanem statku?
- By cię ponownie spotkać, Bianco.
- Och... - Spojrzała na niego zaskoczona.

Słońce nadało skórze Baldassarego złocisty odcień. Przyglądał się Biance pytając z nieodgadnionym wyrazem twarzy, aż wreszcie zapytał:

- Nadal mnie nienawidzisz?

- Ja... - Potrząsnęła głową, nie mogąc zebrać myśli. - Sama już nie wiem, co czuję. - I była to prawda. Jej uczucia przypominały poplątane przez wiatr liny.

- Pewnego dnia będziesz musiała mi opowiedzieć, co wydarzyło się od chwili twojego wyjazdu z Wenecji.

- Wiem - przyznała, modląc się, by Bóg dał jej jeszcze trochę czasu. - Podobnie jak ty.

- Jesteś pewna, że chcesz usłyszeć moją historię? - Roześmiał się gorzko. .

Niczego nie była pewna, lecz nie po to przebyła tak długą drogę, by nie poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Wychyliła się przez burtę, utkwivszy niewidzący wzrok w błękitnej otchłani. Skoczyła na głęboką wodę, lecz wciąż nie wiedziała, czy uda jej się wypłynąć na powierzchnię.

Rozdział szesnasty

Baldassare przypatrywał się linii horyzontu przez lunetę, usiłując dostrzec skrawek lądu, zatoczkę, w której mogliby się schronić, nim zapadnie zmrok. Nie podobała mu się ani gładka tafla wody, ani kłębiące się na niebie chmury. Pogoda zaczynała się zmieniać, a po gwałtownej burzy w cieśninie Mona Passage był szczególnie na to uczulony.

Tym razem Calypso wiozła wyjątkowo cenny ładunek, a mianowicie Biancę, której życia nie ośmieliłby się ryzykować.

Jego twarz rozjaśniła się, gdy usłyszał wybuch perlistego śmiechu. Był to rzadki na statku, a przez to niezwykle uroczy dźwięk. Opuściwszy lunetę, odwrócił się i spojrział na położoną niżej część pokładu.

Bianca, ubrana w chłopięcy strój, z włosami zamotanymi chustą w fantazyjny kok, mieszała coś w zawieszonym nad paleniskiem garnku. Ciepła bryza igrała z luźnymi kosmykami, które odgarniała niecierpliwie z zaróżowionych policzków. Obok niej siedziało dwóch marynarzy zajętych krojeniem cebuli i manioku. Patrzyli na Biancę urzeczonym wzrokiem, jakby byli jej niewolnikami.

Nie oni jedni dali się uwieść. Baldassare również nie mógł oderwać od niej wzroku i z niecierpliwością czekał na kolejny wybuch śmiechu.

Tymczasem ona kręciła głową z niedowierzaniem, przysłuchując się przesadzonej zapewne historii morskich podbojów, opowiadanej przez marynarzy. Ich koledzy, choć też zajęci pracą, co rusz rzucali Biance powłóczyście spojrzenia.

Kobieta na statku mogła być prawdziwym utrapieniem, choć czasem okazywała się błogosławieństwem. Bratowej Baldassarego, Julietcie, zdarzało się wypływać w krótsze rejsy na pokładzie Eleny Marii, która była ozdobą floty Marca Velazqueza, jej męża, i zagrzewać załogę do cięższej pracy. Uśmiech i szelest satynowej spódnicy wystarczyły, by osłodzić marynarski trud.

Obecność Bianki miała taki sam wpływ na załogę Calypso. Podobnie jak Julienna była opanowana, niezależna i skryta, lecz okazywała żywe zainteresowanie wszyst-

kiemu, co działo się wokół, choć dało się przy tym wyczuć, że jest zaprawiona w żegludze. Zadawała marynarzom pytania, z uwagą wysłuchiwała odpowiedzi i jednocześnie gotowała dla nich bez wątpienia najsmaczniejszy posiłek, jaki mieli zjeść na pełnym morzu.

Baldassare poczuł nagły przypływ nieznanego uczucia. Był to spokój. Mimo kapryśnej pogody i niepewności, jak rozwinię się jego związek z Biancą, po raz pierwszy w życiu ogarnął go spokój.

Był to niebezpieczny stan, łudzący wizją wspólnego śmiechu, rozmów i pocałunków w miękkim, ciepłym łóżku z jedyną osobą, która wiedziała, kim był, zanim stał się kapitanem Grattianem. Osobą podobną do niego, rozdartą między tęsknotą za ciepłem domowego ogniska a pragnieniem wolności.

Bianca zorientowała się, że Baldassare ją obserwuje, i ich spojrzenia skrzyżowały się. Posłała mu delikatny uśmiech i ponownie zajęła się mieszaniem warzyw, które marynarze tak chętnie dla niej pokroili.

Baldassare zaś powrócił do szukania bezpiecznego schronienia dla statku.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wystrzeliwując promienie barwy złota i lawendy. Uwagę Baldassarego przykuło jednak nadciągające kłębowisko szarych chmur. Dołączył do niego Mendoza, który z niepokojem spoglądał na zmieniające się niebo.

- Pogoda się psuje, kapitanie.
- To prawda.
- Zanoszą się na deszcz... czy na coś więcej?

Baldassare doskonale wiedział, co kwatermistrz miał na myśli, a mianowicie sztorm tak potężny jak ten, który złamał grotmaszt Calypso i zmusił ich do postoju w Santo Domingo. Dokonali co prawda niezbędnych napraw, lecz statek wciąż nie odzyskał pełnej sprawności.

- Nie spodziewam się tak silnego sztormu. Powietrze wydaje się lżejsze. Trzeba jednak pamiętać, że tylko prowizorycznie naprawiliśmy Calypso. Powinniśmy zatrzymać się w jakimś porcie.

- A jakiś znajduje się wystarczająco blisko?

- Powinniśmy być zaledwie parę mil od San Pedro. Jest tam osłonięta zatoczka, niezbyt skalista, która ochroni nas przed wiatrem i falami. To dobre miejsce, by przeczekać deszcz.

- Najpierw musimy tam dopłynąć, a to się może nie udać, jeśli załoga zamiast pracować będzie flirtować z señorą Montero - odparł Mendoza ze śmiechem.

Baldassare ponownie spojrzął na Biancę. Rzeczywiście, większość marynarzy na dobre porzuciła swoje obowiązki i zajęła się zabawianiem damy niestworzonymi opowieściami oraz podziwianiem jej uśmiechu.

- Gdyby ich o to poprosiła, gotowi by góry przenosić!

Baldassare wprawił w ruch dzwon pokładowy, z satysfakcją obserwując, jak uwaga załogi ponownie koncentruje się na nim. Jak śmieli flirtować z Biancą i rozśmieszać ją, podczas gdy jemu przychodziło to z takim trudem?

- Bando obiboków! - wrzasnął. - Musimy dopłynąć do San Pedro, zanim zapadnie noc. Przestańcie więc robić maślane oczy do ładnej buzi i w tej chwili bierzcie się do roboty!

Mendoza nie przestał chichotać.

- Wydaje mi się, że chodzi nie tyle o ładną buzię, ile o... - Widząc gniewne spojrzenie kapitana, natychmiast spowaźniał i w te pędy pognął do swoich obowiązków.

Baldassare przyłożył lunetę do oka, obserwując majaczącą w oddali, postrzępioną linię wybrzeża. Jego wybuch odniósł pożądany skutek. Pokład zaroił się od pracujących jak w ukropie marynarzy. Czyżby ponownie odczuwał zazdrość? Najpierw o zmarłego męża Bianki, a teraz, na domiar złego, o własną załogę... Jeśli tak było, najwyraźniej tracił nad sobą kontrolę, co na pełnym morzu mogło się skończyć tragicznie. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nic podobnego.

Pomimo panującego na statku zgiełku usłyszał, jak ktoś wspina się po schodach. Opuścił lunetę, spoglądając na Biancę. Jak zwykle dostrzegł w jej oczach niepewność, lecz pojawiło się w nich coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać.

- Mogę poobserwować horyzont, a ty stań za sterem.

- Myślałem, że jesteś zajęta gotowaniem.

- Poprosiłam jednego z chłopców okrętowych, żeby przypilnował garnka. Wydałam mu jasne instrukcje, żeby niczego nie przypalił. Nawet jeśli zacznie padać, zjemy porządny posiłek.

Baldassare uśmiechnął się szeroko.

- Kucharka, obserwator... Sprawdza się pani w niejednej roli, señora Montero.

Odwzajemniła uśmiech.

- A nie mówiłam? - Sięgnęła po lunetę, wpatrując się w odległą linię brzegu. Baldassare stanął za sterem. Chłodny, rześki wiatr nappełnił żagle, leniwie popychając statek w kierunku lądu. - Spójrz na to czerwone niebo - wyszeptała. - Nie podoba mi się ten kolor.

- Nie bój się, dotrzemy do brzegu, nim dosięgnie nas pierwsza kropla deszczu.

- Nie boję się. Czyż nie płynę na statku, którym dowodzi słynny kapitan Grattiano?

- Nie cierpię sprzeciwiać się pięknym damom, lecz prawda jest taka, że nie mam żadnej władzy nad pogodą. A ta bywa równie niełaskawa dla Calypso, jak dla innych statków.

- Masz za to władzę nad morskimi falami i ich mieszkańcami. Jestem pewna, że wodne nimfy i syreny zrobią, o co tylko poprosisz.

- Neptun jest, niestety, mężczyzną, co czyni go odpornym na moje wdzięki. Być może posłuchałby ciebie?

- Mnie? - Roześmiała się. - Nie sądzę, skoro ma tyle pięknych syren na każde zawołanie.

- A jednak moja załoga cię słucha. Skupili się wokół ciebie niczym paziowie u stóp królowej.

- Tylko dlatego, że przejadły im się stare suchary i suszona wołowina. - Uważnie prześledziła linię horyzontu. - Kolor wody się zmienia. Teraz wydaje się brązowa.

- To znak, że zbliżamy się do celu. Jeśli uda nam się ominąć mieliznę, to zaraz na północ znajduje się osłonięta zatoczka.

- Skąd ty to wszystko... No tak, zapomniałam o twoich tabelach. Znasz pewnie każdy skrawek lądu stąd aż po Lizbonę.

- Nie każdy, niestety nie każdy... - Żałował, że nie dane mu było posiadać mapy serca Bianki, do którego drogi nie wskazywał żaden kompas.

Pracowali wspólnie aż do momentu, gdy Calypso ominęła najeżone skałami wybrzeże i szczęśliwie zawinęła do zatoki, chroniąc się przed coraz silniejszym wiatrem. Baldassare rozkazał spuścić kotwice i zwinąć większość żagli. Nie zamierzał się stąd ruszać przed świtem.

Gdy tylko Bianca zniosła gar potrawki pod pokład, ciemnoszare chmury pękły, uwalniając ścianę lodowatego, siekącego deszczu. Marynarze dołączyli do niej, nie mając nic więcej do roboty. Pozostało im tylko przeczekać burzę.

Baldassare jako jedyny pozostał na pokładzie. Nawet smagające po twarzy krople deszczu nie przeszkodziły mu wpatrywać się w horyzont. Jego statek przeżył już niejedną burzę. Co więcej, uwielbiał wycie sztormu, od którego krew gotowała mu się w żyłach. Zmaganie się z żywiołem i zwycięstwo nad nim stanowiły jedną z największych przyjemności w jego życiu.

Jednak z chwilą, gdy Bianca zjawiała się na pokładzie Calypso, ryzyko straciło cały swój smak.

Usadowiła się wygodnie w kącie ładowni między stosami drewna a beczkami z prowiantem. Mieszając gęstą potrawkę, wsłuchiwała się w miarowe uderzenia kropel o znajdujące się nad jej głową deski. Z chwilą gdy deszcz przybrał na sile, a spomiędzy niewielkich szczelin zaczęła kapać woda, Bianca zaniepokoiła się. Wydawało się, że mają do czynienia ze zwykłą, tropikalną ulewą połączoną z kilkoma gniewnymi uderzeniami pioruna. Wiedziała jednak, że taka burza potrafi się w jednej chwili wymknąć spod kontroli.

Stłoczeni w ciemnej, wilgotnej ładowni marynarze nie dzielali jednak jej obaw. Mimo ciasnoty umościli się wygodnie na stertach zapasowych żagli i lin, a jeden z nich wyjął niewielką fujarkę i zaczął wygrywać skoczną melodię.

Skoro oni się nie martwili, Bianca tym bardziej nie miała powodu do obaw. Mi-

mo to, kiedy usłyszała huk kolejnego grzmotu, jej ciałem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz.

Przesunęła kociołek, chroniąc go przed cieknącą z sufitu wodą. Przysiadł się do niej Raul, marynarz, z którym gawędziła wcześniej na pokładzie.

- Czy mogę pani pomóc, señora? - zapytał.

- Możesz pomieszać, jeśli chcesz. - Podała mu warząchew, po czym skrzyżowała ramiona, chroniąc się przed chłodem. - Muszę przyznać, Raul, że na żadnym statku nie spotkałam załogi tak karnej, a przy tym znającej dobre maniery, jak wasza.

Uśmiechnął się, mieszając bulgoczącą potrawkę o wiele energiczniej, niż było trzeba.

- Kapitan Grattiano nie zezwala na burdy i bijatyki, señora - powiedział oględnie, nie wdając się w wyjaśnienia, co tak naprawdę się kryje za z pozoru niewinnym zwrotem „nie zezwala”.

- Ich skutki mogą być oplakane - przyznała Bianca. - Wiele razy przekonałam się o tym w swojej tawernie. - Zamilkła na moment, zastanawiając się nad czymś. - Wygląda na to, że kapitan jest dość surowy. Czy często zdarza mu się stosować na Calypso chłostę?

- Tylko w razie potrzeby, a więc niezbyt często. Choć z początku tych... potrzeb było całkiem sporo. Cóż, nim człowiek zrozumie, że tu jest inaczej, to znaczy kara za coś, a nie dla samej kary... Większość z nas służyła na statkach, które... - Urwał w pół zdania i odwrócił wzrok.

„Kapitan jest surowy, lecz sprawiedliwy”. Te słowa usłyszała od Mendozy. Ludzie Baldassarego naprawdę byli wobec niego lojalni.

- Nie były zarządzane nawet w połowie tak dobrze jak Calypso - dokończyła.

Raul pokiwał głową.

- Mamy szczęście, że tu jesteśmy i pracujemy dla kapitana Grattiana, señora. Proszę mi wierzyć, nie ma lepszego dowódcy na tych wodach.

Zamyśliła się. Wiedziała, że nawet najlepszy kapitan nie znaczy wiele bez swojej załogi, a dobry przywódca potrafi zmusić ludzi do lojalności i ciężkiej pracy.

- Czy dlatego żaden z was nie boi się spędzić nocy pośród burzy w nieznanym miejscu? - zapytała.

Raul roześmiał się.

- Po tym, co spotkało nas w Mona Passage, byle mżawka nie napędzi nam stracha, señora.

Gdy gruchnął kolejny grzmot, Bianca aż podskoczyła, co wywołało u Raula jeszcze potężniejszą salwę śmiechu.

- Wygląda na to, że zbyt długo siedziałam na łodzi - skomentowała z humorem.

- Łatwo jest odwyknąć od morza, señora. Dwa lata temu nabawiłem się gorączki i musiałem spędzić długie tygodnie w Hawanie. Po powrocie na statek zapach fal i szum wiatru wydawały mi się obce.

- A jednak gdyby sztorm z Mona Passage miał się powtórzyć, i tak byś się nie bał, prawda? Zaufałbyś kapitanowi i poszedł za nim jak w dym.

- Tak, señora, jak w dym. - Zadumał się na moment. - Większość z nas dokończy żywota na morzu, nie mamy co do tego złudzeń, ale kapitan Grattiano nigdy nie zażądałby od nas niczego, czego sam by nie zrobił. Dbą o to, by nasze wysiłki były sowicie wynagradzane, troszczy się o nas. To więcej, niż marynarz mógłby oczekiwać.

- A jednak to nie wszystko.

- Co pani ma na myśli, señora?

- To, że... - Bianca zniżyła głos do szeptu. - W Santo Domingo krążą plotki, że Calypso jest magiczna.

Raul bacznie się jej przyjrzał. Oskarżenia o magię były bardzo niebezpieczne. Inkwizycja miała swoje wtyczki wszędzie, nie wyłączając Nowego Świata. Wyraz oczu Bianki uspokoił go jednak.

- Może i jest. - Raul z namysłem skinął głową.

- Dlaczego tak myślisz?

- Podczas sztormu, kiedy złamał się grotmaszt i byliśmy pewni, że nie ujdziemy z życiem, coś się wydarzyło - wyznał przyciszonym głosem.

- Co takiego? - Bianca przysunęła się bliżej, płonąć z ciekawości. Już wcześniej podejrzewała Baldassarego o posiadanie magicznej mocy, działającej nie tylko na nią, ale też na załogę Calypso i znudzonych życiem Wenecjan.

- Sztorm w Mona Passage był naprawdę straszny, señora. Oślepieni deszczem słyszeliśmy tylko upiorne wycie wiatru, a statkiem rzucało coraz mocniej. Nie tylko ja byłem pewien, że lada chwila wszyscy wylądujemy za burtą. Tymczasem kapitan stał u steru, jakby niestraszne mu były ogromne fale. I wtedy właśnie...

- Co wtedy? - wyszeptała Bianca bez tchu.

- Kapitan wpatrywał się w czubek grotmasztu. Zobaczyliśmy błyskawicę. Czy raczej to musiała być błyskawica, choć nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. Wyglądała jak gwiazda, która spadła prosto z nieba.

- Gwiazda?

- Tak, tańcząca na samym czubku grotmasztu. Migotała, mieniąc się srebrem i błękitem. Wtedy właśnie maszt się złamał, a my musieliśmy przerzucić go za burtę, żeby nas nie zatopił.

- A co z gwiazdą?

- Odplynęła jakby nigdy nic. Mógłbym jednak przysiąc, señora, że kapitan widział ją, zanim się w ogóle pojawiła. Zupełnie jakby ją przywołał, żeby nas uratowała.

Przełknęła ślinę, czując suchość w gardle. Rzeczywiście, było w tym coś z magii, ale nie tej, o której myślał Raul. Słyszała o podobnych wylądowaniach, choć zdarzały się niezwykle rzadko i szczerze wątpiła, by Baldassare potrafił je przywołać siłą woli. Wierzyła jednak, że miał dość charyzmy, by ludzie uwierzyli, iż potrafi dokonać czegoś takiego. Przekonał nawet ją.

Zaiste, dziwna to była magia, nie od sił nieczystych się wywodząca, tylko z siły charakteru Baldassarego.

- Nie bój się, Raul - wyszeptała. - Nikomu o tym nie powiem. - Wyjęła mu łyżkę z rąk, po czym oznajmiła: - Możemy już jeść. Myślisz, że kapitan zaraz zejdzie pod pokład? Przy takiej pogodzie jak nic złapie febrę.

- Nie zejdzie, dopóki nie przekona się, że statek jest bezpieczny - odparł Raul -

jednak reszta załogi nie odmówi gorącego posiłku.

Bianca roześmiała się, rozlewając porcje potrawki i przyjmując w zamian kubek wina. Mimo coraz silniejszego bujania fal nastrój pod pokładem był pogodny. Nawet sączący się z góry deszcz, wpadający do jedzenia i kapiący na głowy, nikomu nie przeszkadzał. Dźwięk piszczałki stawał się coraz wyższy i szybszy, zachęcając niektórych marynarzy do odtańczenia czegoś w rodzaju gawota.

Bianca śmiała się beztrąsko, widząc pokraczne podrygi i słuchając melodii, której udało się zagłuszyć nawet huk piorunów. Mendoza chwycił ją za dłoń, wyciągając na improwizowany parkiet.

- Nie, nie! - usiłowała protestować, nie przestając się śmiać. - Licha ze mnie tancerka.

- A czy my wyglądamy na tancerzy z teatru? - skomentował Mendoza. - W porównaniu z naszymi podrygami pani zatańczy jak anioł.

Schwycił ją w talii i zaczęli się szaleńczo kręcić, co tylko trochę przypominało klasyczne piruety. Nie uwolnił Bianki z uścisku, gdy statek wzniósł się na grzbiecie potężnej fali. Zrobił to, dopiero kiedy kolejny marynarz zgłosił się, by z nią zatańczyć.

Bianca szybko zapomniała o sztormie i niepewnej przyszłości. Kręciła się coraz szybciej, podobna do gwiazdy wirującej na szczycie masztu Calypso i rozjaśniającej mrok rozpacz.

Życie nigdy jej nie rozpieszczało. Już jako dziecko czuła, że sprawia matce zawód, nie odziedziczyła bowiem jej daru. Ciemnowłosa, pospolita Bianca nie miała w sobie ani krztyny magii. Lata tułaczki, harówki i głodu, wreszcie małżeństwo z mężczyzną, którego nie kochała, odcisnęły na jej duszy bolesne piętno. Nigdy też nie zaznała prawdziwego ciepła domowego ogniska.

Teraz, klaszcząc w dłonie i wirując pośród dźwięków muzyki oraz kropel deszczu, mogła o tym wszystkim zapomnieć.

Wreszcie znalazła miejsce, w którym czuła się jak w domu. Był to świat stworzony przez Baldassarego.

Nagle klapa nad ich głowami otworzyła się, wpuszczając pod pokład silny po-

dmuch wiatru. Koszula na grzbiecie Baldassarego przemokła do suchej nitki i przykleiła się do ciała, ze związanych chustą włosów sączyła się woda. Drobne krople lśniące na śniadej skórze sprawiły, że wyglądała jak posrebrzona. Mimo niebezpieczeństw, którym dopiero co samotnie stawił czoło, emanował życiem, ową energią, której Bianca nie potrafiła się oprzeć.

Na widok zabawy, którą urządzili w ciasnym, dusznym pomieszczeniu, wibrującej muzyką, tańcem i śmiechem, jego twarz natychmiast się rozjaśniła. Chwycił Biancę za dłoń i przyciągnął mocno do siebie.

Jej ubranie natychmiast przemokło, lecz nie dbała o to. Pragnęła być jak najbliższej niego, chłonąc siłę i pożądanie.

W tańcu przypominał jej dawnego Baldassarego, eleganckiego panicza, który na balach maskowych bawił się w towarzystwie najpiękniejszych kobiet, ubrany w najdelikatniejsze jedwabie i drogocenne klejnoty. Człowieka, który uważał, że wszystko to po prostu mu się należy.

Przypominał go z zachowania, lecz nie z wyglądu. Ten Baldassare był przemochny, zziębnięty i miał zarośniętą, spaloną tropikalnym słońcem twarz, a poza tym śmiał się od ucha do ucha. Bianca nie pamiętała, by robił to wcześniej.

Gdy tak wirowali w tańcu, przypominając sobie na wpół zapomniane kroki, śmiali się oboje. Musieli wyglądać idiotycznie w dostojnym, dworskim passamie, kiedy pokład raz po raz umykał im spod stóp! Trudno o większy absurd.

A jednak nigdy nie czuła się równie szczęśliwa jak teraz, tańcząc i śmiejąc się na pokładzie skrzypiącego, przeciekającego statku, pośród burzy, wpatrzona w błyszczące, szmaragdowozielone oczy Baldassarego.

Od lat marzyła o chwili, w której dostrzeże w niej kogoś więcej niż odczytaną pannenkę, z którą może spędzić nudnawe popołudnie. Pragnęła, by wziął ją za rękę i zaprowadził na wspaniały bal do jednego z pałaców wzdłuż Canale Grande. W marzeniach jej ciało zdobiła elegancka, aksamitna suknia oraz kosztowna biżuteria, włosy stawały się - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - proste i błyszczące, a cera alabastrowa.

W rzeczywistości wciąż pamiętali o dawnych urazach, deszcz kapał im na głowy, a orkiestrę zastępowała piszczałka.

Mimo to Bianca nie mogła przestać się śmiać ze szczerego serca, wirując w objęciach Baldassarego. Klaszczący marynarze, sterty żagli i lin zwały się z sobą w niewyraźną, rozmazaną plamę.

Baldassare opuścił ją delikatnie na ziemię. Zsunęła się z jego silnych ramion i przytuliła do klatki piersiowej. W dalszym ciągu czuła zawroty głowy, była pijana szaleńczym tańcem i niespodziewanym szczęściem. Nie wypuszczając Baldassarego z objęć, spojrzała w górę.

Zwykle jego oczy miały przedziwną barwę niedostępnej puszczy, lecz teraz przypominały dwa rzadkie klejnoty, jasne jak wenecki, letni dzień.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że miał w sobie tyle życia, tak wiele energii działającej jak magnes na otaczających go ludzi, złaknionych ciepła, światła i piękna, którym emanował.

Nagle ogarnął ją strach. Tak silny płomień musiał się wcześniej czy później wypalić, zostawiając po sobie ciemność i zgliszcza. Chęć życia Baldassarego przypominała jej piorun, jak on pojawiała się znienacka i równie szybko gasła. Była tak ulotna jak chwile ich wspólnego szczęścia.

Nie po raz pierwszy żałowała, że nie posiada daru swojej matki i nie może wejrzeć w przyszłość. Talent Marii nie pomógłby jednak jej córce. Mężczyźni z rodu Grattianów byli nieprzewidywalni nawet dla tarota.

Mimo braku magicznych zdolności Biancę dopadło dziwne przeczucie, że już wkrótce coś rozwieje sen, który ośmielili się wspólnie śnić.

Przeszył ją zimny dreszcz.

- Zimno ci? - zapytał Baldassare.

- Nie, tylko...

- Oczywiście, musi ci być zimno w tej wilgotnej norze!

Wziął ją pod ramię i zaprowadził na dawne miejsce. Nie próbowała protestować. Baldassare owinał jej ramiona wełnianym kocem, po czym zaczął energicznie maso-

wać zgrabiałe palce. Po chwili poczuła, jak wraca jej krążenie.

Złowróźbne przeczucie zdążyło do tego czasu zniknąć, ustępując miejsca zmęczeniu. Marzyła o tym, by wtulić się w Baldassarego i zapaść w długi, bezpieczny sen.

- Musiałeś na pokładzie zmarznąć na kość - powiedziała, usiłując oddać mu koc.

- Na pewno jest ci zimniej niż mnie.

- Jestem zahartowany. - Szczelniej opatulił ją kocem. Odgarnął wilgotne kosmyki z jej czoła, czule wodząc palcem wzdłuż kości policzkowych, nosa i brwi, nie omijając najdrobniejszego piega. - Stałem się prawdziwym wilkiem morskim. Kto by się tego po mnie spodziewał w Wenecji?

Chłonęła dotyk Baldassarego, nie spuszczając oka z jego twarzy.

- Ja.

Uniósł pytająco brwi, kładąc dłonie na ramionach Bianki. Czowała ich żar nawet przez koc i warstwę ubrań.

- Naprawdę? - Był wyraźnie zdziwiony. - Czy raczej uważałaś mnie za zepsutego lekkoducha, zdolnego wyłącznie do wykonywania poleceń ojca i trwonienia jego pieniędzy?

- Na początku tak właśnie myślałam, lecz potem, gdy ze mną porozmawiałeś i podzieliłeś się swoją wiedzą, zmieniłam zdanie. Wtedy nabrałam przekonania, że dokonasz czegoś wielkiego... bo wielkość drzemie w tobie.

- Zdaniem niektórych to majątek i arystokratyczny rodowód stanowią o wielkości człowieka.

- Tyle że my nie należymy do tych niektórych. Roześmiał się.

- Najwyraźniej nie. Dlatego przygnało nas aż tutaj, możliwie najdalej od Wenecji.

- Żałujesz czasami swojej decyzji? Nie brakuje ci tamtego życia, tych wspaniałych pałaców, pięknych ubrań, wystawnych bankietów?

- Nigdy. W Wenecji nic nie znaczyłem, tylko moje nazwisko było coś warte.

- A tutaj?

Spojrzał na nią z łobuzerskim uśmiechem.

- Nadal niewiele znaczą. Żaden człowiek nie potrafi poskromić morza, lecz przynajmniej jestem nikim na własnych warunkach.

A jednak nawet na morzu zdołał okryć swoje imię sławą, co nie umknęło uwagi Bianki. W innych żeglarzach wzbudzał strach, natomiast wśród swoich marynarzy cieszył się respektem i całkowitym zaufaniem. Rozumiała jego palącą potrzebę wolności, kształtowania własnego losu, bycia sobie sterem, żeglarzem, okrętem.

Nie wiedziała tylko, jak długo to potrwa i jakie miejsce - o ile w ogóle - zajmowała w życiu Baldassarego.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, spokojna od kilku minut Calypso gwałtownie się zachybotała. Bianca zdołała złapać kocioł z resztkami potrawki, nim się przewrócił. Muzyka i śmiechy zamilkły. Statek ponownie się przechylił, deski zaskrzypiały przeciągle i przepuściły pod pokład jeszcze więcej wody.

Sztorm przybierał na sile.

- Zostań tu - rozkazał Baldassare, po czym ruszył w stronę włazu i ponownie rozpląnął się w ciemności.

Kilku marynarzy podążyło za nim, a ci, którzy zostali, skupili się wokół Bianki.

Przyciągnęła kolana do brody i objęła je mocno rękami, wsłuchując się w coraz szybsze uderzenia kropel deszczu. Wiedziała, że mogłaby się teraz Baldassaremu przydać, lecz wołała nie sprzeciwić się jego poleceniu.

Przymknęła oczy, wyobrażając go sobie pośród sztormu, jak walczy z żywiołem, nie zważając na huśtanie statku i rozpościerającą się pod nim czeluść oceanu.

Czy tym właśnie należało tłumaczyć jej złe przeczucie? Czyżby tej nocy morze zamierzało upomnieć się o Baldassarego?

Przycisnęła kolana jeszcze mocniej, nie mogąc wyrzucić strasznego obrazu z pamięci. Mimo że poczucie zagrożenia jej nie opuściło, czuła, że niebezpieczeństwo wcale nie czyha na morzu.

Myśl o tym, że mogłaby stracić Baldassarego, oddać go falom, była upiorna. Życie na morzu wydawało się tak kruche i ulotne, trwało tyle, co mgnienie oka.

- Proszę się nie bać, señora - odezwał się jeden z chłopców okrętowych. Bianca

otworzyła oczy i zobaczyła jego uśmiech. - Kapitan na pewno sobie poradzi, jak zawsze. Odkąd rodzice oddali mnie do niego na nauki, nigdy się nie bałam.

Twarz Bianki rozjaśniła się. Chłopak miał nie więcej niż osiem, dziewięć lat, ciemne włosy i błękitne, zuchwałe oczy, w których nie dostrzegła cienia strachu. Chłopcy okrętowi wykonywali najcięższą, najbrudniejszą robotę i często zbierali baty, gdy coś poszło nie tak. To dziecko najwyraźniej nie zaznało podobnego traktowania.

Dziecko... Przypomniała sobie portret kobiety i dwójki małych chłopców.

- Wiem, że nie ma się czego bać na tak wspaniałym statku - powiedziała. - Może powinniśmy trochę pośpiewać, żeby czas szybciej minął?

- Zna pani jakieś hiszpańskie piosenki?

- A jakie cię interesują? Te o miłości? Znam jedną o ciemnookiej, andaluzyjskiej księżniczce, która oplakuje utraconą miłość...

- Nie! - przerwał jej chłopiec. - Nie o miłości, tylko o bitwach morskich.

- Proszę bardzo - odparła Bianca ze śmiechem. - Znam i taką piosenkę.

Rozdział siedemnasty

- Bianco, Bianco, obudź się!

Gwałtownie otworzyła oczy i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, w dalszym ciągu zamroczona snem. Zamrugła kilka razy, rozglądając się. Siedziała na stercie żagli do połowy przykryta kocem, którym podzieliła się ze wciąż uśpionym chłopcem, najwyraźniej bardziej przyzwyczajonym do spania pod pokładem, w spartańskich warunkach.

Baldassare pochylał się nad nią z łagodnym uśmiechem na twarzy i lekko potrząsał jej ramieniem. Po chwili zorientowała się, że morze uspokoiło się, a wycie wiatru ustało.

Musiała znać więcej szant, niż myślała, bo od śpiewania zaschło jej w gardle.

- Która godzina? - zapytała zachrypniętym głosem. - Czyżby deszcz ustał?

- Noc prawie się kończy. Deszcz wciąż pada, ale najgorsze już za nami.

- Zapewniano mnie, że przeprowadzisz nas bezpiecznie przez sztorm.

- A jaki mam wybór, wioząc tak cenny ładunek?

Pomógł jej wstać z zaimprovizowanego pośłania i zaprowadził do otwartego luku. Gdy wydostała się na pokład, Baldassare stanął tuż za nią.

Deszcz przypominał teraz delikatny, ciepły prysznic. Po błyskawicach i targającym żagle wicherze nie pozostał nawet ślad. Grotmaszt stał nienaruszony.

Baldassare ujął Biancę za rękę i zaprowadził do kajuty. Na stole paliła się lampa, rzucając łagodny blask na papiery i książki piętrzące się na biurku oraz złożone na koi koce.

Odwróciła się, studiując uważnie ukrytą w półmroku twarz. Zmęczenie i trudy ostatnich godzin zostawiły na niej ślad. Skóra była blada, rysy zdawały się bardziej wyostrome, a zmarszczki wokół oczu i ust głębsze. Ubranie Baldassarego w dalszym ciągu było przemoczone, podobnie jak związane niedbale włosy.

Ściągnęła mu koszulę, po czym popchnęła delikatnie na krzesło. Nie opierał się, przyglądając z uwagą, jak klęka u jego stóp.

Zdjęła ciężkie od wody i morskiej soli buty, po czym odrzuciła je na bok. Ten sam los spotkał spodnie. Mokry materiał lepił się do umięśnionych nóg i łydek, lecz już po chwili Baldassare siedział przed nią nagi.

Delikatnie zaczęła gładzić napięte mięśnie nóg, ogrzewając ciepłym dotykiem zziębniętą skórę. Baldassare natychmiast zareagował na pieśczoły, rozluźnił się, a zarazem zaczęły mu wracać siły. Usta Bianki podążyły śladem dłoni. Całowała wnętrze ud i gładką równinę bioder.

Następnie powiodła językiem wzdłuż starej, przecinającej zebra blizny. Smakował solą, deszczem... i sobą. Doskonale znała każdą linię jego ciała. Wiedziała, gdzie go całować i pieścić, by dawać rozkosz. Gdyby tylko mogła w podobny sposób poznać zakamarki jego duszy!

Kiedy przeniosła się z pieśczołami nieco wyżej, ujrzała świeżą bliznę na ramieniu. Przypomniała sobie, jak upadł na podłogę tawerny, brocząc krwią. Tak niewiele brakowało, by go straciła przed poznaniem odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Wtedy najbardziej zależało jej na zemście. Teraz marzyła wyłącznie o spędzeniu kolejnej gorącej nocy w ramionach Baldassarego.

Uwielbiała jego ciało i to, jak się przy nim czuła.

Jęknął przeciągle i chwycił Biancę za ramiona, sadowiąc ją sobie na kolanach, po czym zapalczywie odszukał jej usta, jakby usiłował zapomnieć o wszystkim, co między nimi złe, i starał się zapamiętać tylko to, co dobre. A może jedynie desperacko potrzebował bliskości...

Ponownie poczuła na języku smak morza i deszczu. Przyłgnęła kurczowo do Baldassarego, a świat zachwiał się silniej niż statek podczas sztormu, wywrócił się do góry nogami. Baldassare zdarł z niej kaftan, spodnie, buty i pończochy, nawet na moment nie przerywając szaleńczego pocałunku, plątaniny oddechów, złączonych warg i krótkich, urywanych westchnień.

Siedziała okrakiem na jego kolanach, ubrana wyłącznie w luźną koszulę. Kiedy pochyliła się w jego stronę, przywierając do muskularnych ramion i klatki piersiowej, wilgotny materiał otarł się o boleśnie naprężone sutki.

Znajdowali się bardzo blisko siebie, lecz nie dość blisko. Bianca pragnęła, by stopili się w jedno, by nikt nie mógł ich rozłączyć.

- Baldassarze! - szepnęła. - Muszę, muszę...

Nie potrafiła wyrazić pragnień pulsujących pod skórą i sprawiających, że czuła się tak, jakby miała zerwać się do lotu. Gdy wreszcie Baldassare wślizgnął się w nią, odrzuciła głowę w tył i zatraciła w rozkosznym kołysaniu bioder. Ich usta złączyły się ponownie, tłumiąc miłosne zaklęcia i westchnienia. Poczuł, jak fala rozkoszy zalewa ciało Bianki, dostrzegł w jej oczach eksplozję srebrzystobiałego światła, podobną do tej na czubku grotmasztu podczas pamiętnej burzy. Usłyszała, jak Baldassare wypowiada jej imię, i poczuła, że również wspiał się na szczyt.

W tej krótkiej chwili należeli wyłącznie do siebie.

Osunęła mu się w ramiona, ciało miał ciężkie, zupełnie jak z ołowiu. Owinęła nogi wokół jego bioder, przytulając się mocno, jakby w obawie przed śmiertelnym upadkiem w przepaść bez dna.

Targające nią emocje były tak silne, że ledwie powstrzymała się od płaczu. Przymknęła oczy i ucałowała nagie ramię Baldassarego przecięte gojącą się blizną.

Wstał, unosząc jej słodki ciężar, i delikatnie ułożył Biancę na materacu. Przesunęła się na skraj łóżka, by mógł wygodnie się położyć. Objął ją ramieniem, przyciągając mocno do siebie, i starannie okrył kocem ich splecione ciała, które zdawały się idealnie do siebie pasować. Po chwili oboje zasnęli.

Baldassare nakręcił jeden z mieniących się w świetle lampy loków Bianki na palec. Włosy przylgnęły do jego skóry niczym kawałek najdelikatniejszego weneckiego jedwabiu.

Westchnęła przez sen, przesuwając głowę bezpiecznie ułożoną na jego ramieniu, bezbronna wobec dziwnej magii, która się między nimi wytworzyła. Nie była tą czujną, nieufną kobietą co za dnia.

Nie miał pretensji, że mu nie ufa. Nosił przecież nazwisko Grattiano, które w Wenecji kojarzyło się jednoznacznie.

Bianca doskonale o tym pamiętała, podobnie jak o popełnionych przez niego i Ermana grzechach. Nie miała okazji zobaczyć, czego dokonał, by je zmyć. Nie знаła nowego Baldassarego Grattiana, którego poza nazwiskiem już nic nie łączyło z Wenecją.

Nie miał pojęcia, jak ją do siebie przekonać ani dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Nigdy nie przywiązywał wagi do opinii innych ludzi, uważał próby przypodobania się im za stratę czasu. Jego zdaniem mężczyzna zawsze powinien postępować w zgodzie z własnym sumieniem, niezależnie od konsekwencji.

A jednak obchodziło go, co myślała i czuła Bianca Simonetti. Kiedy, wirując w tańcu, patrzył w jej roześmiane oczy, sam miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Czuł niezwykłą lekkość i... szczęście. Wystarczyło, że tulił Biancę w ramionach i czuł dotyk jej ciała.

Kiedyś zabrałby ją do wyłożonej marmurem sali balowej, nakarmił truskawkami i napoił złocistym alzackim winem. Otuliłby jej ciało aksamitem, ozdobił nadgarstki i szyję szmaragdami. Nadal mógł to zrobić, rzucić jej wszystkie skarby świata do stóp, lecz czuł, że nie wywołałoby to na jej twarzy nawet cienia uśmiechu, który olśnił go w zatłoczonej ładowni statku, gdy tańczyła do dźwięków marynarskiej piszczałki.

Zależało mu na tym, by uśmiech gościł na twarzy Bianki jak najczęściej. Pragnął tego tak samo mocno, jak ona wolności na pełnym morzu pod błękitnym niebem.

Przysunął usta do jej obnażonego, usianego piegami ramienia, całując każdą złocistą plamkę. Smakowała wybornie mieszanką wina i deszczu. Zamruczała coś przez sen, instynktownie tuląc się do Baldassarego.

Obsypał ją pocałunkami i pieszczotami niczym sznurem pereł, odsuwając delikatnie prześcieradło, aż wreszcie leżała przed nim zupełnie naga. Jej skóra nie była tak blada i wymuskana jak u weneckich dam. Ciało Bianki było gibkie, złocistobrazowe, a nogi, plecy oraz ramiona długie i smukłe. Nie znał równie pięknej kobiety.

Wodził po niej językiem, smakował skórę, pragnął obsypać ją klejnotami i okryć najdroższymi futrami. Dałby wiele, by zatrzeć w jej pamięci wspomnienia długich, trudnych lat, o których nie chciała mu opowiedzieć, całą tę morską tułaczkę, męża,

gwarną tawernę i zastąpić trudną przeszłość dostatnim, spokojnym życiem aż do kresu ziemskiego żywota.

Bianca i tak by mu na to nie pozwoliła. Wyśmiałaby go, gdyby tylko potrafiła czytać w jego myślach. Sam nie potrafił zrozumieć tych pragnień. Całe lata poświęcił ucieczce przed złudnym bogactwem, pogonią za nim i pustką, której nie potrafiły wypełnić żadne skarby.

Właśnie uciekając przed nimi, trafił na prawdziwą perłę, moment niczym niezakłóconego szczęścia. To właśnie mógł zaoferować Biance - siebie, i nic poza tym.

Przekręciła się na plecy, uśmiechnęła, mrużąc oczy, i objęła go ramieniem.

- Czy to już ranek? - wyszeptała.

- Jeszcze nie.

- W takim razie na co czekamy?

No właśnie, na co czekali? Czas spędzony z Biancą był jedynym skarbem, na którym mu zależało, lecz czuł, że zostało im go coraz mniej. Pocałował ją więc leniwie, jakby na przekór pędzącym wskazówkom. Usiłował zapamiętać wszystko, co miało z nią związek, każdy gest, dotyk, zapach.

Bianca zdawała się podzielać to pragnienie. Objęła Baldassarego nogami, przyciągając do siebie. Westchnęła, czując, jak jego język ześlizguje się z szyi na delikatną skórę ramienia. A już po chwili rozplynęła się z rozkoszy, bo wszedł w nią równie spragniony jak ona.

Odoczywali czas jakiś, niby zaspokojeni, lecz Biance wciąż było mało.

- Baldassarze... - Jej szept był niczym łagodne muśnięcie, delikatna pieśczoła, a zarazem zachęta, a raczej żądanie.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ćśśś - wyszeptał. - Pamiętaj, że do wschodu słońca zostało nam mnóstwo czasu.

Patrzyła w milczeniu, jak zsuwa się w dół, znacząc pocałunkami jej płaski brzuch, biodra, wnętrze ud.

- Baldassarze! - jęknęła. - Och, proszę... już... teraz...

- Ćśśś - powtórzył, po czym przymknął oczy, by w pełni skoncentrować się na smakowaniu słodkiej esencji ciała Bianki i jej reakcji na pieszczoty.

Wreszcie ponownie w nią wszedł, gdy nie mógł dłużej powstrzymać pożądania. Bianca zaparła się stopami o krawędź łóżka i uniosła, zatapiając wargi w ustach Baldassarego. Kochali się z sobą tak wiele razy, że znał na pamięć każdy fragment jej ciała, jego krągłości i zagłębienia, sposób poruszania oraz smak skóry. A jednak w chwili, gdy przyłgnęła do niego, czule szepcząc jego imię, odniósł wrażenie, że nigdy wcześniej nie przeżył niczego podobnego.

Poczuł się tak, jakby na jego oczach świat ponownie wyłonił się z ciemności.

Rozdział osiemnasty

- Błogosławione niech będzie światło dnia i modlitwa odmawiana ku Twej chwale. Błogosławione niech będzie światło dnia i Ten, który rozprasza mrok nocy.

Bianca otworzyła oczy, obudzona dźwiękami śpiewanej na pokładzie pieśni oznaczającej zmianę wachty. Do jej uszu nie dotarło ani dudnienie deszczu, ani huk piorunów. Niebezpieczeństwo minęło. Pytanie tylko, na jak długo?

Baldassare spokojnie spał obok. Otuliła go jeszcze ciaśniej ramionami, przypominając sobie błyskawice i deszcz wściekle atakujący ich statek. Pamiętała również, że zadbał o bezpieczeństwo załogi Calypso, pozostając na pokładzie długo po tym, jak reszta się schroniła. Nie była tym wcale zdziwiona. Przecież zdołał przeprowadzić statek przez straszliwy huragan w drodze do Santo Domingo.

Zaczynała wierzyć w legendy o magicznych zdolnościach kapitana Grattiana, które pozwalały mu wyjść bez szwanku z najgroźniejszego sztormu, unosić się nad wodami oceanu, jakby miał skrzydła.

Natomiast o tym, że potrafi być magikiem w sypialni, nikt nie musiał jej przekonywać. Drżała na samą myśl o tym, jak muskał językiem sekretny punkt na jej ciele, dostarczając nieziemskiej rozkoszy. Z żadnym mężczyzną nie było jej tak dobrze jak z nim.

Nic dziwnego, że wszystkie kobiety w Wenecji wzdychały do niego.

Ku swojemu zdziwieniu odkryła, że zaczyna darzyć Baldassarego Grattiana zaufaniem. Wierzyła bezgranicznie jego umiejętnościom nawigacji, wspaniałej znajomości morza i nadzwyczajnym zdolnościom dowódczym. Oddała w jego ręce swój los i... ciało. Jedynym, co pozostało poza zasięgiem Baldassarego, było jej serce, jako że drzwi do niego były przez lata szczelnie zamknięte. Bianca obawiała się jednak, że lada chwila i one mogą zostać sforsowane, wręcz wylecą z futryny.

Uniosła się delikatnie na łokciu, uważając, by nie zbudzić Baldassarego, i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Surowe i jednocześnie szlachetne rysy oświetlał tylko wąty snop różowego światła wpadający przez luk. Gęsty zarost nadawał arystokratycznej twarzy jeszcze bardziej męski wygląd, a sztywne, białe prześcieradło, którym był przepasany, mocno kontrastowało ze śniadą skórą.

Nie mogła oderwać zachwyconego wzroku od swego ognistego kochanka.

Gdy sięgnęła do jego czoła, odgarniając wilgotne pasmo ciemnych włosów, wymamrotał coś niezrozumiale przez sen, marszcząc brwi.

Ile to już lat, odkąd zapalała do niego nienawiścią? I nie tylko do niego. Nienawidziła tego wszystkiego, co sobą reprezentował, czyli szlacheckich przywilejów i bezkarności, która zniszczyła jej młodzińcze lata. Przez cały spędzony w podróży czas panowie z rodu Grattianów zawładnęli jej umysłem, przemienili się w nękające ją demony.

Teraźniejszość skonfrontowała Biancę nie z wytworem wyobraźni, lecz z Baldassarem w ludzkiej postaci - i sama już nie wiedziała, co myśleć. Obudził w niej pragnienia ukryte tak głęboko, że dotąd nie zdawała sobie z nich sprawy. Nie wiedziała, dokąd zmierza i jak powinna się zachować.

Instynktownie zrobiła więc to samo, co w Wenecji, czyli uciekła wprost w zastawione przez demona sidła, nie znajdując rozwiązania żadnego ze swoich problemów.

Opadła z powrotem na poduszki. Leżała tak blisko Baldassarego, że czuła na skórze jego rytmiczny oddech. Ledwie powstrzymała się od śmiechu, patrząc na nie-

heblowane, drewniane deski. Zawsze wyobrażała sobie Grattiana jako demona pychy, a ten na pewno postarałby się o gniazdko bardziej wytworne niż wilgotna klitka, przesiąknięta zapachem soli i smoły, do której docierał każdy najdrobniejszy dźwięk z pokładu. Spodziewałaby się po nim raczej satynowych poduszek, płatków róż, bogatych draperii i kobiet o aksamitnej skórze na każde jego zawołanie.

Może więc Baldassare nie był samolubnym demonem. Nie przypominał jej również zepsutego spadkobiercy weneckiego majątku, nie władał też magicznymi mocami, choć bezbłędnie odczytywał kaprysy morskich fal. Kim więc był?

Bardzo chciałaby się tego dowiedzieć.

Poczuła dotyk dłoni na biodrze. Zadrżała, czując, jak palce zsuwają się w dół brzucha, kreśląc na skórze świetlisty wzór. Baldassare ucałował jej ramię i zagłębienie szyi.

- Dzień dobry, signorina - wyszeptał.

- I słoneczny - odparła Bianca. - Po burzy nie zostało ani śladu.

- Nawet najgorsza burza się kiedyś kończy.

Tylko ta na morzu, pomyślała Bianca. Burza w jej sercu jakoś nie chciała ucichnąć.

Zachłanny pocałunek smakował inaczej niż zwykle. Bianca poczuła rozlewające się po ciele ciepło, mrowienie w opuszkach palców i choć świat wokół stawał się coraz bardziej rozmazany, wiedziała, że powinni przestać. Zaczął się nowy dzień, którego nie mogli spędzić w łóżku.

A może jednak? - pomyślała, czując, jak Baldassare przygryza płatek jej ucha. Zapomnieć się znów, chociaż na chwilę...

Dźwięk dzwonu pokładowego i szmer ożywionych rozmów sprawiły, że erotyczny nastrój prysł. Bianca wyswobodziła się z objęć i odepchnęła lekko Baldassarego, gdy ponownie spróbował ją pocałować.

- Nie ma pan niczego do zrobienia, kapitanie? - zapytała.

- O tak, mam pełne ręce roboty. - Przyciągnął ją do siebie i obsypał pocałunkami zamknięte powieki i policzki. - A może nie starałem się dość mocno ubiegłej nocy,

cara? Jeśli tylko dasz mi drugą szansę, o pani, jestem pewien, że będziesz zadowolona z efektów mojej pracy.

Roześmiała się i dała za wygraną, pozwalając, by położył ją z powrotem na materacu i zatopił się w jej ustach. Jeszcze nigdy nie widziała go równie zrelaksowanego. Szmaragdowe oczy aż pojaśniały od śmiechu. Czowała się przy nim tak lekko, jakby lada chwila miała unieść się nad ziemią, wolna od trosk, które tak długo jej ciążyły.

Odepchnęła go stopą, nie przestając się śmiać.

- Kto powstrzyma statek przed osadzeniem na mieliźnie, jeśli kapitan zostanie w kajucie?

- Kapitan jest w niej uwięziony przez piękną syrenę. Czyż ich zaklęcia nie działają na wszystkich żeglarzy, zmuszając do bezwzględnego posłuszeństwa?

- Choćby nawet prowadziły ku zgubie? - droczyła się Bianca. Oczy Baldassarego, skupione wyłącznie na niej, działały jak magnes. Czyżby to on był syreną i usiłował sprowadzić ją na manowce? Niemal się poddała, gdy do jej uszu dobiegły kolejne okrzyki. Resztką woli odepchnęła Baldassarego. - Musisz wiedzieć, że ubiegła noc pozbawiła twoją syrenę sił. Jak widać, wykonujesz swoje obowiązki aż nazbyt sumiennie, kapitanie Grattiano.

- Niech i tak będzie - odparł z przesadną rezygnacją w głosie. - I tak wkrótce dopłyniemy na Vista Lindę, a tam jedynym moim obowiązkiem będzie służenie tobie, piękna syreno.

Jedynym? A co z obowiązkami głowy rodziny? Bianca otworzyła usta, by o to zapytać, lecz w porę zrezygnowała, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Prawda i tak wyjdzie na jaw. Usiadła na brzegu łóżka, owijając się prześcieradłem, i patrzyła, jak Baldassare się ubiera. Zapiąwszy spodnie, otworzył kufer w poszukiwaniu czystej koszuli. Gdy odwrócił się do niej plecami, zauważyła na jego ramionach czerwone ślady zadrapań, widomą pamiątkę zeszłej nocy. Natychmiast przypomniało jej się, jak zachłannie przyciągała go do siebie, niesiona na fali rozkoszy.

Policzki płonęły jej żywym ogniem, ledwie zwalczyła pokusę zanurkowania ze wstydu w pościel.

Wiedziała, że nie może się ani schować, ani cofnąć czasu. Mogła jedynie iść na przód i odważnie stawić czoło temu, co na nich czekało.

- Opowiedz mi o Vista Lindzie - poprosiła.

Wciągnął koszulę przez głowę, przykrywając jednoznacznie kojarzące się ślady.

- To mała wyspa. Kupiłem ją od pewnego Hiszpana, który musiał wrócić do Madrytu. Wpadł na genialny pomysł hodowania bydła na potrzeby większych wysp, ale nie miał zielonego pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa rolnego i transporcie morskim, więc pomysł spalił na panewce.

- Nie byłeś zainteresowany kontynuacją tego pomysłu? Baldassare roześmiał się, sięgając po buty.

- Nie byłbym równie dobrym hodowcą bydła, co żeglarzem, poza tym ta wyspa ma wiele innych zalet. To doskonałe miejsce, by wypocząć, naprawić statek i zaplanować kolejną wyprawę.

A może także ulżyć kochankom w tęsknocie? Bianca nie byłaby zdziwiona, gdyby wyspa okazała się zaludniona kobietami, które czekają na powrót legendarnego kapitana i wspaniałego kochanka w jednej osobie.

Ta wizja znacznie lepiej pasowała do Baldassarego Grattiana, księcia Wenecji, niż stojącego przed nią mężczyzny.

- Kiedy tam dotrzemy? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że dziś, lecz przez tę burzę musieliśmy zboczyć z kursu. - Pochylił się nad Bianką i niespiesznie, czule ją pocałował. - Nie martw się, bezpiecznie cię tam zawiozę.

Zatopiała palce w miękkim materiale jego koszuli.

- Wiem o tym, mój kapitanie. - Żałowała tylko, że nie wie, co ich czeka na miejscu.

Wyglądało na to, że Baldassare podzielał te obawy. Przez chwilę badawczo się jej przyglądał, jakby usiłował wyczytać z twarzy Bianki odpowiedzi na własne pytania.

Na próżno jednak, nie znała ich przecież.

Skradł jej szybkiego całusa, po czym odwrócił się i sięgnął po wiszącą na krześle kamizelkę.

- Przyjdź na pokład, jak będziesz gotowa - powiedział. - Duszno się tutaj zrobiło.

Wyciągnęła się na łóżku, wysuwając nogę w całej okazałości.

- Myślałam, że kobiety przynoszą na statku pecha. Czy nie będę rozpraszać twoich marynarzy, jeśli się tam pojawię?

- Mnie na pewno będziesz rozpraszać - skomentował Baldassare, ślizgając się wzrokiem po jej nagiej skórze - ale coś mi się wydaje, że od wczoraj połowa mężczyzn na tym statku jest w tobie zakochana. Nie ruszą palcem, dopóki cię nie zobaczą, a potem będą pracować dwa razy ciężiej, żeby ci zaimponować.

- W takim razie na pewno do ciebie dołączę. - Pomachała zalotnie stopą. Widząc żar w jego oczach, miała nadzieję, że to on do niej dołączy.

Odwrócił się jednak na pięcie, w pośpiechu, jakby się paliło, opuścił kajutę i zatrzasnął drzwi.

Bianca opadła na poduszki, po raz kolejny mając ochotę głośno się roześmiać. Schowała twarz pod rąbkiem prześcieradła, jakby w obawie, że ktoś zobaczy jej niespodziewaną, niewytłumaczalną wesołość, która na dodatek wcale nie leżała w jej naturze.

Logicznie rzecz biorąc, nie miała powodów do radości. Znajdowała się daleko od domu, pośrodku oceanu, zaplątana w sieć uczuć do mężczyzny, którego rozpaczliwie pożądała, lecz знаła równie kiepsko jak wiele lat temu w Wenecji.

Powoli opuściła prześcieradło i jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem signory Grattiano. Promień porannego słońca padał wprost na portret, wydobywając z niego bladość skóry, piękno futer i brokatu oraz gniewnie zmarszczone brwi.

Nie, kobieta z obrazu nie mogła okazywać złości, na jej twarzy malowała się co najwyżej zwykła, arystokratyczna pogarda wobec reszty świata. A jednak Bianca nie mogła się oprzeć wrażeniu, że widzi grymas niezadowolenia. W świecie Grattianów kobieta pokroju Bianki Simonetti nie mogłaby odegrać w życiu Baldassarego żadnej

znaczącej roli. Nadawałaby się na jedną noc, ale już nie na oficjalną, czy choćby pół-oficjalną kochankę, o żonie nawet nie wspominając.

Lecz tutaj...

Nie wiedziała, kim może ani kim chciałaby być w świecie, w którym nie obowiązywały stare zasady.

Odwróciła wzrok od signory Grattiano i zsunęła się z łóżka z zamiarem odszukania porzuconych gdzieś ubrań. Koszula była sztywna od wyschniętej morskiej wody, postanowiła więc pożyczyć coś od Baldassarego. Miała oczywiście własne ubrania, lecz uznała to za świetną wymówkę, by choć przez chwilę poczuć na skórze jego zapach.

Kiedy uniosła wieko skrzyni, zobaczyła łuk ułożony na warstwie ubrań niczym na poduszce. Światło odbijało się w wypolerowanym drewnie ozdobionym diamentami i bogatym ornamentem. Był naprawdę piękny.

I jednocześnie śmiertelnie niebezpieczny. Choć strzały leżały w bezpiecznej odległości, i tak zdawał się przesycony gniewem i nienawiścią. Czy z tej właśnie broni zastrzelono Ermana Grattiana? Co doprowadziło Baldassarego do zabójstwa własnego ojca po tylu latach spędzonych pod jego diabelskim wpływem?

Czy naprawdę dopuścił się tak koszarnej zbrodni?

Widok gładkiego, wyrzeźbionego w dostojny łuk drewna uświadomił Biancę, jak niewiele wciąż wiedziała.

Sięgnęła po czystą koszulę i zatrzasnęła wieko skrzyni. Gdyby mogła w podobny sposób zamknąć stare sprawy!

Miękkie płótno spłynęło po jej ciele, zasłaniając nagość. Utonęła w zbyt dużej koszuli i rześkim, słonawym zapachu skóry Baldassarego. Przysunęła płótno do nosa, zaciągnęła się głęboko i na moment zapomniała o całym świecie.

- Ależ jesteś naiwna, Bianco Simonetti! - szepnęła, podwijając rękawy.

Następnie włożyła spodnie, kaftan i wsunęła stopy w wilgotne wciąż buty. Niebadałym ruchem przewiązała chustą splecione włosy, nawet nie patrząc w lustro. Potrzebowała świeżego powietrza i pracy, na której będzie mogła się skupić, zanim stanie

się równie zdesperowana i opętana uczuciem jak te znudzone z braku sensownych zajęć weneckie paniusie.

Wybiegła z kabiny, osłaniając oczy przed oślepiającym słońcem. Patrząc na pokład, można było pomyśleć, że nie przeszła nad nim żadna burza. Przytulna zatoka pozostała daleko w tyle. Teraz otaczał ich błękitnozielony bezmiar morza i jasnobłękitne niebo. Wiatr dał w żagle, które wzdymały się coraz mocniej.

Baldassare wspinał się po takielunku. Na krótką chwilę Bianca wstrzymała oddech, wyobrażając sobie upadek z tak dużej wysokości, gdyby stracił równowagę, jednak nagie stopy zwinnie i pewnie niosły go na sam szczyt. Nawet z tej odległości słyszała śmiech, w którym pobrzmiwała radość z powodu wolności, zjednoczenia z niebem i wiatrem.

Jak mogła podejrzewać go o zamiłowanie do weneckiego blichtru! Tak bardzo pomyliła się w swojej ocenie. Patrząc na Baldassarego, była pewna, że jest w swoim żywiole.

Gdyby tylko potrafiła równie dobrze określić swoje miejsce na ziemi. Jeśli zdecyduje się kiedyś na powrót do Santo Domingo, nic nie będzie takie samo jak w dniu wyjazdu. Zresztą i tak wiedziała, że nie chce tam wracać.

Zorientowała się, że stoi na środku pokładu jak słup soli, przeszkadzając marynarzom w pracy. Odwróciła się od Baldassarego i jego hipnotyzującego śmiechu, po czym znalazła cichy kącik, gdzie mogła przycupnąć na stercie zwiniętych lin i wpatrywać się w pusty horyzont.

Wkrótce coś miało go wypełnić, a życie nauczyło ją, że każdy nowy ląd jest nieprzewidywalny.

Tymczasem dryfowała w nieznane u boku swojego kapitana, o którym tak naprawdę wiedziała tyle co nic. Same tylko sprzeczne z sobą domysły i spekulacje.

Ale i tak czuła się szczęśliwa.

Przymknęła oczy, zaciągając się głęboko ciepłą morską bryzą. I wtedy pojęła, że nie potrzebuje niczego więcej.

Do czasu, aż los po raz kolejny rozda karty.

Trwaj więc, chwilo.

Rozdział dziewiętnasty

- Łąd! - rozległ się krzyk z bocianiego gniazda.

Wiadomość rozniosła się wśród załogi lotem błyskawicy. Bianca podniosła wzrok znad naprawianego żagla. Była tak pochłonięta pracą i rozmyślaniami, że dopiero po chwili dotarło do niej, co usłyszała.

Zerwała się na równe nogi i pobiegła do zgromadzonych przy burcie marynarzy. Faktycznie, na horyzoncie majaczył zarys ładu. Bez lunety wydawało się, że to tylko ciemna zmarszczka na widnokreśgu odznaczająca się na tle bezkresu wód i nieba. Bianca nie była pewna, czy ma przed sobą cel podróży, czy tylko jeden z przystanków.

- Czy to Vista Linda? - zapytała stojącego obok Luisa. - Tak szybko? Myślałam, że zboczyliśmy z kursu przez burzę.

- Możliwe, że tak, señora Montero. Jednak na pewno znajdujemy się zbyt daleko na północ, by mogło to być Puerto Rico.

- Kapitan potrafi czynić cuda, señora! - włączył się do rozmowy chłopiec okrętowy. - A nie mówiłem?

- Mówiłeś - przyznała Bianca, przypominając sobie historię o tańczącej na szczycie masztu gwieździe. Wątpiła jednak, by Baldassare potrafił przyprawić statkowi skrzydła.

Podeksytowana wizją domu załoga szybko zabrała się do pracy. Bianca wolała nie wchodzić im w drogę. Stała nieruchomo, obserwując przybliżający się z minuty na minutę ład.

Była już w stanie dostrzec szeroki pas złocistego piasku wyraźnie odcinający się od morskiego błękitu. Wreszcie, przy wtórze radosnych okrzyków, załoga zrzuciła ze statku kotwicę.

Bianca w milczeniu obserwowała spuszczaną ze statku łódź, która miała zabrać

na brzeg pierwszą turę marynarzy. Czuła się jak widz niebiorący udziału w tej scenie. Podróż dobiegła końca, mężczyźni wrócili do domu.

Lecz co dla niej szykował los? Nowy Świat, którego niedawno nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, stał przed nią otworem.

- Bianca!

Za jej plecami rozległ się krzyk Baldassarego. Gdy się odwróciła, zobaczyła, jak biegnie w jej stronę. Miał na sobie czarny skórzany płaszcz, chlebak przewiesił przez ramię.

- Tak?

Zatrzymał się, widząc jej niepewną minę.

- Zejdiesz ze mną na brzeg? - Wyciągnął ku niej rękę.

Z uśmiechem podała mu dłoń.

- Oczywiście. Mam już po dziurki w nosie zapachu pańskiego statku, kapitanie.

Chwyił ją w talii i przeniósł na drugą stronę burty, gdzie czekała sznurowa drabinka. Zeszła po niej szybko i zwinnie, a Mendoza pomógł jej wsiąść do łodzi. Gdy tylko zapełniła się ludźmi, odpłynęli. Marynarze wiosłowali ze śpiewem na ustach. Bianca patrzyła na przybliżającą się w błyskawicznym tempie plażę.

Byli jeszcze daleko od brzegu, gdy Baldassare wyskoczył z łodzi, rozpryskując fontannę wody. Zanim Bianca domyśliła się, co planuje, odwrócił się w jej stronę, chwycił mocno w ramiona i uniósł wysoko ponad wzburzonymi falami.

- Baldassarze! - zapiszczała, obejmując go mocno za szyję. Czuła, jak ciepła woda liże jej skórę. - Co ty wyprawiasz? Nie możesz poczekać, aż dopłyniemy do brzegu?

- Nie ma na to czasu. Nie czujesz?

- Tego, że postradałeś zmysły?

Roześmiał się, unosząc ją jeszcze wyżej.

- Słodkiego zapachu łądu, cara!

Nie potrafiła zachować powagi, gdy głęboki, gardłowy śmiech Baldassarego wibrował w jej ciele. Pragnęła na zawsze zachować w pamięci ten dźwięk i obraz do-

łeczków w policzkach. Chwile jego beztroskiego śmiechu były rzadkie jak czarne perły. Nawet w Wenecji twarz Baldassarego miała zwykle grobowy wyraz. Jednak z chwilą, gdy Calypso weszła w ostatnią fazę podróży, dostrzegła w nim światło, błysk w oku, chęć do żartów.

Czy to wpływ tego - być może magicznego - miejsca?

Kurczowo trzymając się szyi Baldassarego z obawy przed przymusową kąpielą, odwróciła głowę w stronę lądu.

Wyspa rzeczywiście była piękna. Nad pasem jasnozłocistej plaży wznosiły się drzewa palmowe o soczyście zielonych liściach. Nie różniła się jednak od pozostałych tropikalnych wysepek, kuszących marynarzy swymi tajemnicami. W zasięgu wzroku nie widać było żywego ducha. Ciszę przerywał tylko szum wiatru w koronach drzew i szum rozbijających się o brzeg fal.

Bianca wyczuła w powietrzu coś dziwnego, co, jak podejrzewała, miało związek z nowym duchem, który wstąpił w Baldassarego.

Chociaż znali każdy skrawek swoich ciał, wciąż miał przed nią wiele tajemnic i potrafił zmieniać się na jej oczach niczym kameleon.

Po krótkiej przeprawie przez fale dotarli wreszcie do brzegu. Bianca, wciąż bezpieczna w objęciach Baldassarego, odchyliła głowę do tyłu, rozkoszując się pieśczętą słonecznych promieni. Dopiero teraz naprawdę poczuła słodki zapach lądu, gorącego piasku i słonego wiatru, delikatną woń kwiatów i kokosów. Zarazem tak bardzo przywykła do kołysania fal i huśtania statku, że dziwnie czuła się na stałym lądzie.

Gdy wreszcie otworzyła oczy, napotkała uważne spojrzenie Baldassarego. Uśmiech zniknął z jego twarzy, czoło przecinała drobna zmarszczka, a oczy zdawały się nieprzeniknione. Wiedziała, że i on czuje się nieswojo.

- Jak tu cudownie! - wyszeptała. - I jaka właściwa nazwa dla tej wyspy.

- No właśnie, Piękny Widok. - Postawił ją delikatnie na ziemi.

Buty Bianki zanurzyły się w wilgotnym, cudownie miękkim piasku. Nie puścił jej dłoni, nawet gdy mocno stanęła na nogach.

- A więc to jest twój dom? - powiedziała, zastanawiając się, gdzie ukrywa ciem-

nowłosą kobietę i dwójkę maleńkich dzieci. Czy powinna się spodziewać spotkania z prawowitą panią Grattiano? A jeśli tak, to jaka jej przypadnie rola?.

- Jedyny, jaki znam, Bianco. To mój azyl.

Zanim zdążyła zapytać, po co mu azyl i przed czym czy przed kim się w nim ukrywa, do brzegu dobiła reszta marynarzy. Ich okrzyki i głośny, rubaszny śmiech sprawiły, że intymny nastrój prysł.

Baldassare uśmiechnął się, choć jego oczy wciąż zasnuwała mgła.

- Chodźmy. - Zacisnął palce na dłoni Bianki.

Poprowadził ją łagodnym zboczem do wijącej się między palmami ścieżki. Po chwili słoneczna plaża stała się tylko pięknym wspomnieniem. Drzewa rzucały ożywczy cień, powietrze stało się bardziej rześkie. Pojawiły się motyle z błękitnymi skrzydłami, a nad głowami szebiotały ptaki. Zapach tropikalnych kwiatów i buzującej życiem przyrody był w tej części wyspy o wiele intensywniejszy.

Szli niemal bezszelestnie. Bianca dzielnie dotrzymywała Baldassaremu kroku, choć serce trzepotało jej w piersi na myśl o tym, co znajdowało się na końcu ścieżki.

Linia drzew nagle urwała się, odsłaniając strome zbocze wzgórza, na szczycie którego stał jaśniejący bielą niezbyt duży dom.

Był dość długi i niski, pokryty płaskim dachem. Kamienne ściany były na tyle grube, by uchronić mieszkańców przed tropikalnym żarem, okiennice zaś szczelnie zamknięte. Wyglądał na uśpiony, jakby w oczekiwaniu na kogoś, kto ponownie zbudzi go do życia.

- Zapraszam - rzekł Baldassare, prowadząc ją kolejną ścieżką, tym razem szerszą i starannie uprzątniętą.

W miarę jak zbliżali się do domu, Bianca dostrzegła, że zbocze wzgórza usiane jest mniejszymi gospodarstwami. Wydawało jej się, że słyszy dobiegające z nich śmiechy i widzi przez okna jakiś ruch.

Wyglądało to jak kawałek Europy w samym sercu dżungli. Wszystko, co widziała, wydawało się Biance mniejsze, bardziej urokliwe i spokojniejsze niż w oryginale. Zapomniała co prawda o strachu przed spotkaniem z dziećmi Baldassarego, lecz

jej żołądek ścisnął się nieprzyjemnie na widok jego dłoni zaciśniętej na rękojeści sztyletu.

Gdy dotarli do kamiennego domu, zauważyła, że drzwi są bardzo grube i wiszą na solidnych zawiasach. Baldassare uważnie przyjrzał się ścianom i zamkniętym na głucho oknom, ani na moment nie puszczał jej dłoni.

Jego niepokój udzielił się Biance. Też zaczęła uważnie nasłuchiwać, jednak jedynym dźwiękiem, który dotarł do jej uszu, był nieustający szum wiatru i ledwie słyszalny szmer strumyka. Odgłosy śmiechu musiały jej się przesłyszeć.

Otwierając drzwi, Baldassare posłał jej przepaszający uśmiech.

- Vista Linda to maleńka, nic nieznacząca wysepka, nawet nie figuruje na żadnej mapie, ale jesteśmy tu wystarczająco długo, by...

Diego Escobar lub inny z jego wrogów zdołał ich wytropić?

Bianca wzdrygnęła się, doceniając nagle ciszę i spokój panujące w tym bajkowym miejscu.

Baldassare zaprosił ją do środka. Dom rzeczywiście nie był duży. Składał się z dwóch pokoi, wydłużonej kuchni oraz poddasza, na który prowadziły wąskie schody. Mimo to sprawiał wrażenie przestronnego. Z pobielonych ścian, kamiennej podłogi i wysokich sufitów zdawała się bić jakaś siła.

Rozglądając się wokół, przypomniała sobie wenecką posiadłość Grattianów, te lodowato zimne marmury, złocenia, satynowe draperie, szerokie korytarze, cały ten przytłaczający splendor.

Zdarzało się jej zazdrościć Baldassaremu luksusów, gdy sama była zziębnięta i głodna, kiedy jednak zobaczyła jego prawdziwy dom, wreszcie zrozumiała, czym musiał być dla niego tamten pałac. Więzieniem, niczym innym.

Spacerowała niespiesznie po uśpionych pokojach z chrzęszczącym piaskiem pod stopami, zaglądając pod płótna skrywające proste taborety, stoły i krzesła, które tak dawno nikogo na sobie nie gościły. I chłonęła tę dziwną, niepojętą atmosferę, jakże ulotną, a zarazem wszechogarniającą, jakby dusza gospodarza nigdy stąd nie ulatywała, mimo że Baldassare wciąż umykał na szerokie wody.

Azyl, pomyślała. To właśnie jest prawdziwy azyl, miejsce, które zawsze na nas czeka.

Rozdział dwudziesty

Baldassare przechadzał się po plaży, oglądając Calypso z każdej strony. Zanim statek wyciągnięto na brzeg za pomocą bloków i specjalnego mechanizmu przytwierdzonego do masztów, usunięto wszystko z pokładu i kajut. Marynarze uwijali się jak w ukropie, zeskrobując i paląc to, co przyczepiło się do burty. Później mieli się zająć wymianą uszkodzonych, przegniłych desek i opatrzyć „rany” Calypso cuchnącą miksaturą, na którą składały się wosk, olej i siarka. Na końcu zamierzali porządnie naprawić grotmaszt. Dzięki tym zabiegom statek już wkrótce miał wyglądać jak nowy i królować na morzu.

W samą porę, by przepłynąć przez ocean do Europy, omijając sezon sztormów. Zbyt wiele czasu spędzili na wodach Nowego Świata, podczas gdy Baldassare miał do załatwienia kilka spraw w jego starej części.

A jednak po dotarciu na wyspę odkrył ze zdumieniem, że wcale nie śpieszy mu się do kolejnego rejsu. Po raz pierwszy od... prawdę mówiąc, po raz pierwszy w życiu nie odczuwał potrzeby gnania naprzód i eksplorowania nowych lądów bez chwili wytchnienia.

Zaczął dostrzegać szczegóły, na które do tej pory nie zwracał uwagi, takie jak blask promieni słonecznych odbijających się od piasku, słodki kokosowy aromat unoszący się w powietrzu czy śpiew egzotycznych, bajecznie kolorowych ptaków.

Odkąd miał u boku Biancę, która wodziła za nim czujnym wzrokiem i czasem obdarzała promiennym uśmiechem, potrafił się cieszyć z drobnostek, miał ochotę tańczyć i głośno się śmiać.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w tak doskonałym humorze, ale cóż, życie go nie rozpieszczało... aż do teraz.

Wiedział, że w głębi duszy Bianca czuła to samo. Dawne rany powoli zaczynały

się zablizniać. Coraz częściej zdarzały się momenty, w których Baldassare nie pamiętał o tym, kim był ani czego dopuścił się w przeszłości, czuł tylko radość z przebywania w pięknym miejscu u boku wspaniałej kobiety.

Ona również poddała się urokowi wyspy i pragnęła zapomnieć o bolesnej przeszłości, choć nigdy nie odsłoniła przed nim wszystkich zakamarków duszy.

Zastanawiał się, czym podyktowana była jej ostrożność. Skrzywdził wiele osób - czy mógł zranić też tę, na której bezpieczeństwie mu zależało? Bianca była jedyną kobietą, którą pragnął zrozumieć, lecz nie potrafił.

- Maledetto! - zaklął, kopiąc piasek. Kobiety ze swej natury stanowiły zagadkę, a Bianca Simonetti była najtrudniejszą z nich.

Zdarł z siebie płócienną koszulę, sięgnął po skrobaczkę i wściekle zaatakował przyklejone do burty wodorosty. Nie potrafił pozbyć się złości przepelniającej jego serce. Pracował tak długo, aż mięśnie pleców i barków zapłonęły z bólu, a czoło pokrył rześisty pot. Tropikalne słońce wspinało się coraz wyżej po niebie, a Baldassare wciąż szorował burzę.

Tu, przy tej pracy, nie było miejsca na wątpliwości. Na swoim statku, podobnie jak na urzekającej dzikim pięknem wyspie, to on był panem sytuacji.

Jedynie Bianca nie pozwoliła sobą rządzić. Jej ciało było mu posłuszne, ale nie dusza. Miał jednak nadzieję, że i to wkrótce się zmieni. Zamierzał zmusić ją, by opowiedziała mu o swojej przeszłości, zdradziła powody, dla których się tu znalazła i jako jedyna kobieta prześladowała go przez tyle lat.

Znajdowali się na jego terytorium i zamierzał to wykorzystać.

Bianca otworzyła szeroko okiennice i spojrzała na skąpaną w porannym świetle Vista Lindę. Niebo mieniło się barwami szmaragdu i błękitu przetkanymi bielą puchatych obłoków. Za każdym razem, gdy na nią spoglądała, wyspa wydawała się coraz piękniejsza. Przypominała jej skrawek raju.

Tak właśnie powinien wyglądać świat, pomyślała, opierając się łokciami o parapet. Świat bez zachłannych na bogactwa królestw i ludzkiej niedoli. Ledwie potrafiła sobie przypomnieć tętniące życiem Santo Domingo i pracę w gwarnej tawernie, nie

wspominając o Wenecji, tym strasznym koszmarze, którego nie sposób było śnić w tak bajecznym miejscu.

Wiedziała, że pewnego dnia będzie je musiała opuścić i stawić czoło szarej rzeczywistości, lecz na razie odsunęła od siebie tę myśl. Złość, nienawiść oraz troski, które dotąd kładły się ciężarem na jej sercu, cudownie z niego uleciały. Czuła się wolna jak ptak, który nabrał wiatru w skrzydła i jest gotów ulecieć w przestworza.

Przeciągnęła się i ruszyła przed siebie tanecznym krokiem, rozkoszując się rzadko odczuwanym poczuciem lekkości. Nie miała na sobie pończoch, tylko halkę, która łagodnie opinała ciało. Włosy związała jedną z chust Baldassarego i pozwoliła im miękko spłynąć na plecy.

Zakręciła się kilka razy, aż poczuła zawrót głowy i opadła na krzesło. Poprzedniego wieczoru odsłanili meble, posłali wielkie łóżce, zjedli kolację złożoną z owoców i wina, a potem kochali się pośród sztywnej, świeżo wypranej pościeli. Mimo to w domu wciąż panowała senna atmosfera. Już nie czuła w nim owej przedziwnej atmosfery, więcej, brakowało w tych czterech ścianach życia.

Azyl Baldassarego czekał na przebudzenie.

Sięgnęła po kawałek mango i rozejrzała się. Na pokrytej warstwą piasku podłodze stały kufry podróżne i oparty o pustą ścianę portret matki Baldassarego, a na stole piętrzyły się jego bezcenne mapy.

Bianca miała talent do budowania domowej atmosfery. Ostatnich kilka lat upłynęło jej na ciągłych przeprowadzkach, a uwicie przytulnego gniazdka za każdym razem było na jej głowie. Wierzyła, że uda jej się i tym razem.

Miała nadzieję, że praca odciągnie jej myśli od pytania, dlaczego miałyby więc gniazdko dla Baldassarego w miejscu, które nawet nie było jej domem?

Zaczęła od zamiecenia kamiennej podłogi. Po usunięciu piasku okazało się, że kamienie mają ciepłą, koralową barwę, wspaniale kontrastującą z bielą ścian i ciemnymi, prostymi meblami.

Po raz kolejny przypomniała sobie wenecki pałac Baldassarego i uznała, że ten skromny dom podoba się jej znacznie bardziej.

Zrozumiała też, dlaczego osiedlił się właśnie na tej wyspie. Przecież sama nie potrafiła się oprzeć jej urokowi.

Wymiatając ostatnie ziarna piasku i martwe owady za próg, usłyszała dźwięki piosenki płynące z plaży, gdzie mężczyźni doprowadzali Calypso do porządku.

- Que hondo! Que hondo! Que hondo es el mar!

Pamiętała tę piosenkę z czasów spędzonych na statku u boku swego męża.

Uśmiechnęła się, pracując dalej przy dźwiękach melodii. Po chwili zorientowała się, że śpiewa na cały głos i tańczy z miotłą, która udawała jej partnera. Wyglądało na to, że naprawdę postradała zmysły! Wirując po świeżo zamiecionym pokoju, myślała o Baldassarze, który tak elegancko prowadził ją w tańcu, mimo że salą balową była duszna ładownia. Pamiętała, jak lekko uniósł ją w ramionach ponad zwojami okrętowej liny, jakby tańczyli na eleganckim przyjęciu w Pałacu Dożów.

Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak wiruje w jego ramionach ubrana w aksamitną sukienkę, z włosami upiętymi ozdobnymi grzebykami, w świetle tysiąca świec, po wyłożonej marmurem sali, śledzona setkami zawistnych spojrzeń...

Kiedy była małą dziewczynką, marzyła właśnie o tym. Czego pragnęła dziś? Zemsty? Odpowiedzi? Kolejnych nocy u boku Baldassarego?

Nie była pewna. Wiedziała tylko, że przestało jej zależeć na pięknych sukniach, klejnotach i marmurowych pałacach.

Oszołomiona, niemal bez tchu zatrzymała się w pół obrotu. Muzyka w jej głowie umilkła. Słyszała jedynie czyjeś kroki na ścieżce. Odwróciła się i stanęła oko w oko z Baldassarem.

Jego sylwetka otoczona była złocistą poświatą. Światło padało na skórę i włosy, nadając im barwę cennego kruszcu. Naga klatka piersiowa lśniła od potu, związane chustą włosy odsłoniły arystokratyczne rysy. W rękę trzymał koszulę.

- Mówiłaś, że trzeba wpuścić do domu trochę życia - powiedział z figlarnym uśmiechem - ale nie sądziłem, że zamierzasz to robić pod moją nieobecność.

Wybuchła perlistym śmiechem, odwracając wzrok od onieśmielającej muskulatury, i odstawiła miotłę na miejsce. Wciąż nie mogła złapać tchu, lecz nie była pewna,

czy spowodował to wysiłek, czy obecność Baldassarego. Czuła się tak już wcześniej, lecz na Vista Lindzie jego hipnotyczny wpływ był o wiele silniejszy.

- Znam lepsze sposoby, by kosztować życia, niż zmiatanie podłóg. - Spojrzała mu w oczy, nagle zawstydzona z powodu znoszonej halki i zakurzonych, bosych stóp.
- Jednak dzięki temu podłoga wygląda lepiej, czyż nie?

- Wygląda wspaniale. - Pokonał pokój kilkoma susami i zamknął w gorącym od słońca, pachnącym morską wodą i piaskiem uścisku. - Jednak nie zaprosiłem cię tutaj w charakterze pokojówki - wyszeptał, muskając pocałunkiem jej skroń, policzek, powieki.

Przymknęła oczy z rozkosznym westchnieniem.

- A w jakim? - zapytała, wodząc opuszkami palców po napiętych mięśniach jego pleców.

- Sama musisz zdecydować - odparł, nurkując w jej ustach.

Podniecenie ogarnęło Biancę jaskrawym płomieniem.

Było to uczucie tak potężne, że niemal ją przerażało. Traciła przez nie kontrolę, zapominała o Bożym świecie. Baldassare powiedział, że może zdecydować, kim chce dla niego być... i bez względu na konsekwencje wybrała rolę kochanki.

Poczuła, jak popycha ją na ścianę, nie przerywając pocałunku. Przycisnęła plecy do gładkiej powierzchni, oplótła nogami jego biodra i przyciągnęła mocno do siebie. Wyraźnie czuła jego naprężoną męskość przez cienki materiał spodni, wciśniętą w najwrażliwszą część jej ciała. Pocałunek pogłębił się, przez co świat zawirował jej przed oczami.

- Czego więc chcesz, Bianco? - Głos Baldassarego był lekko zachrypnięty, a usta znalazły się na wysokości jej piersi.

- Tego... Ciebie...

- Naprawdę mnie pragniesz? Czy tylko... tego? - Chwycił wargami napięty, rozdrażniony sutek

- Mm... - Najprostsze słowa przychodziły jej w takich momentach z wielkim trudem. Oczywiście, że pragnęła jego, i nikogo więcej! Jak mógł w to wątpić?

Nie mógł mieć chyba na myśli...

Baldassare niespodziewanie odsunął się od niej. Bianca poczuła, jak ogarnia ją chłód i jeszcze więcej wątpliwości. Ich dopiero co złączone ciała rozplątywały się powoli, do momentu, aż stała pod ścianą sama na wciąż drżących nogach. Dostrzegła stalowe spojrzenie ciemnozielonych oczu i napiętą twarz Baldassarego, gdy się od niej odwracał.

Poprawiła halkę, osłaniając nagie ramiona, i ciasno zawiązała troczki. Miłość i pożądanie pomiędzy nią a Baldassarem wydawały się naturalne, a jednak tym razem coś im przeszkodziło.

Nie sądziła, że ich wzajemne relacje mogą się jeszcze bardziej skomplikować.

Baldassare poszedł po buty Bianki, które wcześniej wystawiła na słońce, by wyschły, po czy ukląkł i bez słowa uniósł jej stopę.

Zdezorientowana patrzyła, jak zwiniętą koszulą otrzepuje stopę z piasku, zakłada na nią but, by zrobić to samo z drugą nogą. Gdy skończył, wstał z podłogi i podał Biance dłoń.

- Chodź ze mną - powiedział.

- Dokąd?

Rzucił jej posępne spojrzenie i pociągnął w stronę otwartych drzwi.

- Bianco, cara, przynajmniej raz nie zadawaj mi pytań. Po prostu chodź.

Ruszyli w dół ścieżki, mijając dawne ogrody warzywne, w których teraz pasły się za ogrodzeniem dzikie świni. Przy kilku domach krzątały się rdzenne mieszkanki wyspy ubrane w europejskie sukienki. Nieśmiało im się przyglądały, a gdy Bianca pomachała przyjaźnie, zareagowały wstydlwym chichotem.

Kiedy już zeszli ze wzgórza, Baldassare poprowadził Biancę w stronę wąskiej, wijącej się między drzewami ścieżki. Słoneczne promienie przebijały się z trudem przez gęste liście, dlatego powietrze zdawało się bardziej rześkie. Jedynym dźwiękiem było monotonne buczenie owadów oraz stłumiony odgłos kroków.

Jeśli nie liczyć dudnienia serca w uszach Bianki.

Idąc za Baldassarem, zastanawiała się, czy rzeczywiście tego mężczyzny pra-

gnęła, skoro tak niewiele o nim wiedziała? Przez wiele lat znajdował się poza jej zasięgiem niczym migocząca na niebie gwiazda, zbyt odległa, by jej dotknąć. Był również przyjacielem, który uchylił przed nią rąbka swojej tajemnicy, zanim brutalnie ich rozłączono. Stał się dla niej obiektem nienawiści, przyczyną noszonej w sercu urazy i goryczy. Znała go także jako twardego kapitana statku i... czułego kochanka.

Jednym słowem, stanowił dla niej zagadkę.

Nie była pewna, czy ma dość sił, by unieść ciężar tych wszystkich ról, które przemiennie odgrywał, i jednocześnie czuła, że coraz mocniej się uzależnia, zaczyna potrzebować Baldassarego jak wody czy powietrza.

- Zamknij oczy.

Jego gardłowy głos gwałtownie wyrwał ją z rozmyślań.

- Słucham?

- Zamknij oczy - powtórzył, spoglądając na nią przez ramię. - Nie ufasz mi?

Przełknęła ślinę. Ufanie innym nie przychodziło jej łatwo, a odkąd przestała ufać samej sobie, wydawało się to jeszcze trudniejsze.

- Czyżbyś zamierzał mnie wrzucić do buchającego ogniem wulkanu, gdy tylko zamknę oczy?

Kącik ust Baldassarego nieznacznie się uniósł.

- Nie sądzę, żeby na Vista Lindzie znajdowały się wulkany.

- Jakoś mnie to nie uspokoiło... - Zamknęła jednak oczy i zobaczyła pod powiekami czerwono-błękitny, malowany słonecznymi promieniami wzór.

Poczuła, jak dłoń Baldassarego zaciska się mocniej na jej palcach. Prowadził ją ostrożnie, uważając, by nie przewróciła się na nierównej ścieżce.

Dzięki temu, że miała zamknięte oczy, pozostałe jej zmysły wyostrzyły się. Czuła delikatną pieśczoć wiatru na policzkach i słodki zapach soczystej zieleni. Słyszała ptaki, buczenie owadów i... delikatny szmer wody przypominający szelest kosztownej satyny, z każdą chwilą wyraźniejszy. Bianca rozpoznała go natychmiast.

- Możesz spojrzeć - powiedział Baldassare.

Przed jej oczami rozpościerał się przepiękny widok.

Znaleźli się na polanie, naprzeciw spływającego z najeżonych skał wodospadu, ponad błyszczącym, srebrnobłękitnym jeziorem.

- Och! - Zachwyt na chwilę odebrał jej mowę. - Jak tu pięknie! Czy ja śnię? - Poczula, jak łzy ściskają jej gardło.

- Pamiętam, że kiedyś podejrzewałaś mnie o posiadanie magicznych mocy - odparł z uśmiechem - ale nawet ja nie mógłbym wyczarować czegoś tak pięknego.

- To miejsce naprawdę jest magiczne.

Puścił jej dłoń i zabrał się do ściągania butów.

- I ciepłe. Możesz sprawdzić sama.

- Zamierzasz się kąpać?

Najwyraźniej tak, ponieważ po butach przyszedł czas na spodnie. Bianca patrzyła, jak Baldassare z wdziękiem skacze do wody.

Po chwili wypłynął na powierzchnię i odgarnął mokre włosy z twarzy.

- Umiesz pływać? - zapytał.

- Trochę. - Juan, w przeciwieństwie do wielu przesądnych marynarzy, świetnie pływał, i ją również tego nauczył, lecz od ostatniej kąpieli upłynęło dużo czasu.

- Chodź do mnie. - Baldassare wyciągnął do niej dłoń. Zaproszenie w połączeniu z kroplami wody, które błyszczały jak diamenty na jego skórze, było niezwykle kuszące. - Obiecuję, że nie pozwolę ci się utopić, cara.

Pokręciła głową, zanosząc się śmiechem. Jedno było pewne, a mianowicie to, że nie potrafiła się mu oprzeć. Ściągnąwszy halkę i buty, skoczyła do wody.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ciepła woda otuliła ją miękkim kokonem utkanym z ciszy i błękitu. Jej ciało unosiło się bezwładnie. Pod sobą miała piaszczyste dno jeziora, a nad głową widziała rozmazane słoneczne światło.

Przypomniała sobie jedną z kart do tarota, którą kiedyś widziała u matki, przedstawiającą morską boginię spowitą zielonym jedwabiem, z unoszącymi się wokół głowy, ogniście rudymi włosami. Jako mała dziewczynka uwielbiała patrzeć na tę właśnie kartę i wierzyć, że takie niezemskie piękno naprawdę gdzieś istniało. Bez trudu mogła sobie wyobrazić podobne stworzenie mieszkające w tym podwodnym rajku.

Płuca zaczęły ją boleć i musiała wypłynąć na powierzchnię. Gdy wynurzyła się z wody, ptasie trele wydały się jej o wiele głośniejsze, a wiatr bardziej rześki. Poczowała na ramieniu delikatny dotyk, a gdy się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z Baldassarem.

Na własne oczy przekonała się, że magiczne, morskie bóstwa naprawdę istniały.

Jego uroda onieśmieliła ją, lecz postanowiła jak najlepiej wykorzystać dar losu, a była nim każda minuta spędzona z Baldassarem.

Oplotła ramionami jego kark, a nogi zarzuciła na biodra - w wodzie jej ciało było lekkie jak piórko.

- Tu jest cudownie - wyszeptała. - Nie sądziłam, że takie miejsca naprawdę istnieją.

- Ja również. Aż do dziś.

Ich usta złączyły się i zatopili w namiętym pocałunku. Przeszłość i przyszłość po raz kolejny umarła dla nich. Bianca odrzuciła głowę w tył, rozkoszując się cudowną pieśczęcią.

Wsunęła palce w śliskie od kropeł wody włosy, przyciskając usta Baldassarego do jedwabistej skóry. Chciała zatrzeć granicę między sobą a nim, sprawić, by stali się jedną istotą, jednym ciałem. Baldassare zdawał się czytać w jej myślach, bo przycią-

gnął ją jeszcze bliżej i złożył twarz na pulsującym sercu.

Po chwili zaniósł Biancę na piaszczysty brzeg i delikatnie położył na ziemi. Gdy wślizgnął się między jej uda, przymknęła powieki i rozkoszowała się najdrobniejszym ruchem, jękiem, dreszczem, zapachem oraz ciepłym dotykiem słońca na twarzy. Baldassare przycisnął jej dłonie do ziemi, po obu stronach głowy, splatając jej palce ze swoimi.

Choć nie odezwała się słowem, czuła, że z nikim wcześniej nie była równie blisko. Wiedziała też, że nie powtórzy tego z żadnym mężczyzną, ponieważ tylko z Baldassarem jej ciało tworzyło jedność.

Wygrzewał się w słońcu wyciągnięty na piasku jak dzikie, wolne od wszelkich trosk zwierzę. Ona leżała z zamkniętymi oczami, wsłuchana w szum wodospadu i oddech leżącego obok niej Baldassarego. Wydawało się, że zasnął z głową na jej ramieniu.

Musnęła palcami jego ramię i klatkę piersiową. Ciało naprężyło się pod wpływem dotyku, jakby naprawdę był potężnym tygrysem, niepodzielnym panem dżungli. Bianca pamiętała siłę tętniącą pod jego skórą, nawet gdy okrywały ją najdelikatniejsze jedwabie i atłasy. Ta zabójcza mieszanka mocy i gniewu zawsze ją intrygowała.

Aż do dziś.

Ciało Baldassarego nie miało przed nią tajemnic, zapragnęła więc pójść o krok dalej. Zapragnęła poznać jego duszę. To jednak oznaczało, że musiałyby odsłonić własną.

Otworzyła gwałtownie oczy, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jasnoblękitne niebo i wirujące wysoko w górze ptaki. Poczula gwałtowny ucisk w klatce piersiowej i nagle zabrakło jej tchu.

Jakby wyczuwając zmianę nastroju Bianki, Baldassare poderwał się, strząsając jej dłoń z ramienia.

- Co się dzieje? - szepnął, nie chcąc zakłócić ciszy tego miejsca i zniszczyć intymnej atmosfery, którą z takim trudem zbudowali.

Odwróciła głowę, wbijając wzrok w spieniony nurt wodospadu. Wolą to, niż

patrzeć Baldassaremu prosto w oczy.

- Pytałeś mnie kiedyś, co się wydarzyło w Wenecji - zaczęła. - Nie, zaczekaj, ty wcale nie pytałeś. To nie w twoim stylu. Może naprawdę jesteś wszechwiedzącym morskim bóstwem, któremu obca jest ciekawość!

Roześmiał się i wyciągnął wygodnie na piasku, prezentując nagie ciało w całej okazałości.

- Gdybym był wszechwiedzący, nie pozwoliłbym się zaskoczyć sztormowi w Mona Passage. Jestem tak samo ciekawski jak inni, lecz mam zbyt wiele sekretów, by wtykać nos w cudze sprawy.

- Pamiętam, że w Wenecji byłeś ulubionym tematem plotek. Każdy chciał się czegoś o tobie dowiedzieć.

- Cóż za strata czasu! Nie miałem wówczas żadnych ciekawych dokonań na koncie.

- To nie może być prawda. - Przewróciła się na bok, przyglądając mu się z góry z głową opartą na łokciu. Słońce igrało na twarzy Baldassarego, a gęstwina ciemnej brody odcinała się od opalonej skóry. Bianca dostrzegła, że mimo bajecznej scenerii jego oczy pociemniały i stały się bardziej przenikliwe. Mimo pozorów swobody zachował czujność. - Kiedy załatwiałam na mieście sprawunki, miałam uszy szeroko otwarte i za każdym razem docierała do mnie jakaś intrygująca plotka na twój temat. Wątpię, byś przeżył w swoim życiu choć jeden nudny dzień.

- A mimo to nie bałaś się ze mną rozmawiać. Wykazałaś się nie lada odwagą.

- Albo głupotą. - Wyciągnęła rękę, niemal dosięgając jego ramienia, gdy coś ją powstrzymało. Po chwili wahania dłoń opadła na wilgotny piasek. - Nie dałam wiary żadnej z usłyszanych historii. Jedyne, czego pragnęłam, to być blisko ciebie i słuchać tego, co miałeś mi do powiedzenia. Lecz potem...

Słowa uwięzły jej w gardle. Tamte wydarzenia stanowiły zamknięty rozdział jej życia. Tak było lepiej, łatwiej... tak po prostu trzeba było. Nie wracała do nich, dopóki nie pojawił się w nim Baldassare.

Musiał wyczuć jej wewnętrzną walkę, ponieważ zerwał się na równe nogi i się-

gnął po rozrzucone na brzegu ubrania. Podał jej halkę, a sam zaczął wkładać spodnie. Gdy skończył się ubierać, usiadł obok, ale niezbyt blisko, by mogła zebrać myśli.

Wciągnęła halkę przez głowę, otulając się miękkim materiałem niczym pancerzem.

- Baldassarze... Ostatniego dnia w Wenecji... twój ojciec zamordował moją matkę.

Nie chciała być zbyt dosadna, lecz jakich innych słów mogła użyć?

Zacisnął gniewnie szczękę, lecz nie odwrócił wzroku, jakby chciał stawić czoło prawdzie.

- Tego właśnie tak bardzo się lękałem - powiedział gardłowym głosem.

- A ja myślałam...

- Podejrzewałaś, że byłem z nim w zмовie. - To nie było pytanie, lecz oskarżenie.

- Tak, i byłam przerażona! Sądziłam, że wykorzystales naszą przyjaźń, żeby odwrócić moją uwagę i dać ojcu czas na dokonanie zbrodni.

Przyglądała mu się uważnie, ciekawa reakcji na te słowa, ciekawa też, czy gniew, którym była przesiąknięta jego dusza, znajdzie wreszcie ujście.

Baldassare siedział jak skamieniały z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jego oczy pociemniały jednak, a leżące na udach dłonie zacisnęły się w pięści. Potrafił zachować stoicki spokój w każdej sytuacji, nie dziwota jednak, skoro w weneckim pałacu doprowadził tę sztukę do perfekcji. Zdradzały go tylko oczy.

- Posądziłaś mnie o zdradę - powiedział oschle. - Myślałaś, że mógłbym wejść w korszachty ze swoim ojcem przeciwko niewinnej dziewczynie. Że omotałem cię gładkimi słówkami, pozorem przyjaźni, byś nie przeszkodziła w zbrodni.

- Nie wiedziałam, co myśleć! Nie rozumiesz? Och, nie byłam aż tak niewinna, by nie słyszeć plotek o waszej rodzinie. Twój ojciec był potworem, który niszczył każdego, kto stanął mu na drodze. A ty...

- A ja byłem zepsutym lekkoduchem, którego interesowały wyłącznie przyjemności.

Przełknęła ślinę, przypominając sobie dawnego Baldassarego, leniwie rozłożonego w gondoli w towarzystwie pięknej kurtyzany głaszczącej go po policzku i nachylającej się do jego ust.

- Wszyscy tak twierdzili.

- A jednak odezwałaś się do mnie.

Jak miała mu wyjaśnić, że potrzeba rozmowy była silniejsza od rozsądku? Że coś przyciągało ją do niego?

- Nie wierzyłam w to, co słyszałam na twój temat. Przyjaciele mojej matki uwielbiali plotkować, szczególnie o tobie. Nie mogłam jednak zrozumieć, jak ktoś, kto czyta takie książki i opowiada o nich z pasją, może być aż tak zepsuty.

- Jestem się gotów założyć, że po śmierci matki natychmiast przypomniałaś sobie wszystkie te straszne opowieści o mnie.

- Tak. I czułam do siebie żal o to, że pozwoliłam ci się oszukać i uwierzyłam, że jesteś inny niż reszta Grattianów. Zawładnął mną gniew...

Wspomnienie zaślepiającej nienawiści było tak silne, że musiała na chwilę przymknąć oczy, by się uspokoić. Nawet po tylu latach w głębi duszy pozostała tą samą przerażoną dziewczyną.

Zerwała się na równe nogi, skrzyżowała ramiona w obronnym geście i pobiegła na brzeg jeziora.

Dotyk ciepłej wody i uspokajający szum wodospadu ukoili nieco jej nerwy.

Słyszała, że Baldassare również się podniósł i ruszył w jej kierunku. Przestraszyła się, że jeśli jej dotknie, rozpadnie się na tysiąc kawałków. Nie zrobił tego. Zatrzymał się z dziesięć stóp dalej, nie pozwalając jej zapomnieć o swojej obecności. Był niczym most łączący Biancę z bolesną przeszłością.

- Tamtej nocy w Santo Domingo - powiedział cicho - kiedy przyłożyłaś mi sztylet do gardła, zamierzałaś mnie zabić, pomścić śmierć matki.

- Tak długo na to czekałam, Baldassarze... Twój ojciec nie tylko zamordował moją matkę, ale też zabił duszę osoby, którą kiedyś byłam.

- A potem ja zjawiłem się w twojej tawernie.

Roześmiała się niewesoło.

- I to wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Uznałam to za znak od losu.

- Diego prawie cię ubiegł.

Przymknęła oczy, przypominając sobie, jak Baldassare leżał w kałuży krwi na podłodze, tak jak jej biedna matka. Krew, śmierć, zemsta stanowiły nieprzerwany diabelski krąg, w którym tkwiła zbyt długo.

Otworzyła oczy i spojrzała na taflę wody, która naprawdę musiała być magiczna, skoro udało jej się zmyć z Bianki zapiekły, gromadzony przez lata gniew i sprawić, że wreszcie poczuła się wolna.

Odwróciła się do Baldassarego z twarzą rozpromienioną uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie. Diego udzielił mi cennej lekcji. Gdybym targnęła się na twoje życie, umarłoby jedynie moje serce, co prawda okaleczone, ale na pewno nie martwe. Wydawało mi się, że nie ma w nim życia, lecz zmieniłam zdanie, a stało się to w dniu, w którym stanąłeś na progu mojej tawerny.

Patrzył na nią zdezorientowany. Coś mu świtało, lecz tak naprawdę nie rozumiał, co Bianca pragnie mu przekazać.

- W progu twojej tawerny... - powtórzył machinalnie.

- Coś zrozumiałam, Baldassarze. Twój ojciec dopuścił się wielu strasznych zbrodni, a największej wobec własnego syna. Usiłował cię zniszczyć dzień po dniu i zamienić w potwora, jakim sam był. Lecz ty mu na to nie pozwoliłeś. - Podeszła do niego wolnym krokiem i wyciągnęła dłoń, nieśmiało muskając jego rękę. Mięśnie Baldassarego stężyły, lecz się nie cofnął. Ośmielona splótła swoje palce z jego. - Zrozumiałam, że nie mogę cię obwiniać za zbrodnię ojca - powiedziała. - Kolejne morderstwo nie przywróciłoby mojej matce życia, a mnie straconych lat, lecz mogło zduścić resztkę tłących się w moim sercu uczuć. Nie chciałam do tego dopuścić. Nie chcę dłużej nienawidzić.

Chwytał Biancę w ramiona i przytulił tak mocno, że między ich ciałami nie zmieściłby się nawet promień słońca. Obsypał gradem pocałunków włosy i policzki. Poczwała, jak jej stopy odrywają się od ziemi.

- Tak wielu ludzi mnie nienawidziło - powiedział zduszonym głosem. - A ja o to nie dbałem. Ludzka pogarda i miłość nie stanowiły dla mnie żadnej wartości. Zależało mi tylko na jednym, Bianco. Żebyś ty mnie nie nienawidziła, nawet jeśli sobie na to zasłużyłem.

Odchyliła głowę do tyłu, zagładając mu głęboko w oczy.

- Nie czuję do ciebie nienawiści.

- I mam nadzieję, że to się nie zmieni, niezależnie od tego, czego dowiesz się o mnie.

Przycisnęła wargi do jego ust, niezdolna do dalszej rozmowy i rozpamiętywania dawnych żalów. Wylała ich z siebie dość. Teraz chciała tylko czuć, rozkoszować się smakiem pocałunków, oddechu, skóry Baldassarego. Pragnęła uwierzyć, że choć przez chwilę mogą być razem, wolni od przeszłości.

Nawet wtedy, gdy osunęli się na trawę, całując coraz bardziej namiętnie, nie mogła wyrzucić z pamięci portretu kobiety z dwójką dzieci. Mimo to nie potrafiłaby już znienawidzić Baldassarego.

Czy znienawidzi siebie, jeśli wpuści go do okaleczonego serca i pozwoli, by zabiło nowym rytmem?

Rozdział dwudziesty drugi

- Kapitanie, załoga długo tak nie wytrzyma! - zawołał Mauro hardym głosem, lecz na wszelki wypadek został blisko zamkniętych drzwi kajuty.

Diego podniósł wzrok znad map, które znał już niemal na pamięć. Był wściekły, że ktoś ośmielił się przeszkodzić mu . w pracy.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, że załoga wkrótce się zbuntuje. Mają dość pływania od jednej bezludnej wysepki do drugiej bez śladu: nagrody. Lada moment zostawią pana na jednej z nich za złamanie warunków umowy...

- Cabron! - wrzasnął Diego, uderzając pięściami w stół z taką siłą, że stojące na nim puste butelki po rumie zagrzechotały, a część z nich spadła na podłogę, dołączając do towarzyszek. Kapitan nawet tego nie zauważył, co nie było niczym zaskakującym, jako że od jakiegoś czasu jego uwaga koncentrowała się tylko na jednym, a mianowicie na poszukiwaniach Baldassarego Grattiana i dopilnowaniu, by tym razem przypłacił ich spotkanie życiem. - To mój statek, ty durniu! A oni są moją załogą i muszą robić to, co im każę!

- O ile nie...

Mauro nie dokończył zdania, Diego bowiem przemierzył kajutę kilkoma susami i przyłożył mu sztylet do gardła. Oczy Mauro wyszły na wierzch z przerażenia.

- Nie chcę słyszeć o żadnych cholernych umowach - syknął Diego. - Znajdziemy Grattiana, choćby schował się pod ziemią, a kiedy już będzie martwy, przyjdzie czas na nagrodę. Dostaną ode mnie takie bogactwa, o jakich im się nawet nie śniło, o ile wykażą się odrobiną cierpliwości... chyba że wolą zjeść własne uszy albo przypłacić bunt życiem.

Mauro z trudem przełknął ślinę. Diego wiedział, że nie będzie miał z nim więcej kłopotów. Kapitan nie cierpiał, kiedy mu się przeciwstawiano lub, nie daj Boże, grożono. Był wtedy gotów egzekwować posłuszeństwo na wszelkie sposoby, nie wyłączając tych najbardziej okrutnych.

- Zostałem wybrany na kapitana - ciągnął - więc to ja ustalam tutaj porządek. Jeśli załoga będzie mnie słuchać, czeka ją nagroda. Jeśli nie, wszyscy zginą w potwornych męczarniach i trafią za burtę jako pokarm dla ryb. Czy to jasne?

- Tak, kapitanie. - Mauro skinął ostrożnie głową.

- Muy bueno. - Diego powoli opuścił ostrze, lecz trzymał sztylet w pogotowiu. - Możesz iść. Nie mamy czasu do stracenia.

Mauro wziął nogi za pas, zatrzasnął za sobą drzwi. Diego wiedział, że niebezpieczeństwo buntu zostało zażegnane i załoga pomoże mu znaleźć Grattiana. To, co stanie się później, nie miało dla niego znaczenia.

Wrócił do rozłożonych na stole map. Baldassare miał do dyspozycji cały ocean usiany setkami wysepek, z których każda stanowiła potencjalną kryjówkę. Nikt nie widział go w Hawanie i Kartegenie, nie popłynął więc w stronę Peru i stałego lądu, co oznaczało, że ukrył się na jednej z mniejszych wysp.

Gotów był się założyć, że wybrał mityczną Vista Lindę. Diego nie widział jej jednak na własne oczy, nie znał też nikogo, kto wskazałby mu drogę.

Mimo to postanowił się nie poddawać, dopóki nie wymierzy sprawiedliwości.

Ogarnięty furją i zamroczony rumem, zrzucił leżące na stole mapy jednym ruchem. I tak na nic mu się nie zdały.

Na chwiejnych nogach podszedł do koi i rzucił się w skłębioną, nieświeżą pościel. Najwyraźniej jego przeznaczeniem było uganianie się po tych przeklętych wodach w poszukiwaniu zemsty, która i tak nie była mu pisana.

Usłyszał nad głową głośnie okrzyki i poczuł kołysanie statku. Tak jak podejrzewał, pogrożki o buncie były tylko słowami rzuconymi na wiatr. Załoga była zbyt chciwa, by zrezygnować z obiecanych bogactw, a przecież w przeszłości nieźle się przy nim obłowili. Diego pragnął jedynie, by doprowadzili statek do kryjówki Baldassarego. Ich dalszy los - podobnie zresztą jak własny - niewiele go obchodził.

Miał ważną misję do wypełnienia, która od jakiegoś czasu stanowiła jedyny cel jego życia. Musiał po prostu musiał zabić Baldassarego Grattiana.

Przymknął oczy i zapadł w niespokojny sen, efekt wypicia zbyt dużej ilości ru-

mu. Były to jego ulubione chwile, jedyne, w których widział słodką twarz Esperanzy.

Gdy już na dobre odpłynął, wydawało mu się, że ukochana wchodzi do kajuty i siada na brzegu łóżka. Jest ubrana w hiszpański strój, czyli ciemnoczerwoną sukienkę i śnieżnobiały gorset. Kurtyna czarnych, długich do pasa włosów spływa na ramiona, skóra ma ciepłą, miodową barwę słońca, jakie świeciło na jej rodzinnej wyspie. Spogląda na niego z czułością i smutkiem w brązowych oczach.

- Jesteś chory, mi amor - odezwała się łagodnie, gładząc jego ramię.

Niestety nie było mu dane poczuć jej dotyku, nawet we śnie.

- Nie obawiaj się, Esperanzo - odparł. - Tym razem cię nie zawiodę.

- Nigdy tego nie zrobiłeś. - Pochyliła się nad nim tak nisko, że niemal poczuł słodki, kwiatowy zapach jej skóry. - Obiecałeś, że zawsze będziemy razem.

- A jednak nie dotrzymałem słowa! Pozwoliłem ci odejść.

Potrząsnęła głową.

- Jestem zawsze blisko ciebie i staram się tobą opiekować, ale robisz wszystko, by mi to utrudnić. Zachowujesz się, jakbyś był ślepy.

- Ślepy na co? - zapytał zdezorientowany. Esperanza lubiła zagadki, taka też była natura snu. Miał już dość zamazanych obrazów i tego, że nie może dotknąć ukochanej.

- Wkrótce się dowiesz. - Kiedy musnęła dłonią jego czoło, poczuł w splątanych włosach łagodny, rześki powiew wiatru. - Niedługo odnajdziesz właściwą drogę. Błagam cię, Diego, nie zwracaj z niej. Nie pozwól, by to, co było między nami, odeszło bezpowrotnie.

- Esperanzo! - Próbował ją zatrzymać, lecz rozplynęła się w powietrzu.

Pozostał mu tylko kamienny, pozbawiony dalszych wizji sen.

I obietnica zemsty, którą tym razem zamierzał wypełnić.

Rozdział dwudziesty trzeci

- *Que hondo! Que hondo! Que hondo es el mar!*

Baldassare wyciągnął się na łóżku, a gdy do jego uszu dotarł śpiew Bianki, na twarzy pojawił się leniwy uśmiech. Głosowi brakowało co prawda treningu i czystości, lecz dla niego brzmiał jak najśłodsza muzyka, jak śpiew tropikalnych ptaków lub dźwięk obmywających piaszczyste wybrzeże fal.

Vista Linda zawsze była jego azylem, oazą ciszy i spokoju, lecz odkąd zaprosił tu Biancę, stała się jego... domem.

Przekreślił się na drugi bok, wciągając cytrynowy zapach Bianki, którym prześląkla pościel. Na krześle leżały jej ubrania, na umywalni szczotka do włosów i spinaki, a w oknach sypialni pojawiły się unoszone morską bryzą półprzezroczyste firanki, przez które sączyło się światło poranka.

Z dnia na dzień coraz bardziej przyzwyczajał się do jej obecności w swoim domu... w swoim życiu. Uzależniał się od wspólnych, namiętnych nocy, głosu, uśmiechu, który pragnął widzieć na jej twarzy jak najczęściej. Ku swojemu przerażeniu czuł, że byłby gotów zrobić wszystko, by uszczęśliwić Biancę.

Wydawało się jednak, że niczego od niego nie oczekiwała, a już na pewno nie tego, czego pragnęły inne kobiety, to znaczy złota, klejnotów i wyszukanych komplementów.

Nie miał pojęcia, co mogłoby ją ucieszyć. Dopóki nie odkryła przed nim kart przy wodospadzie, stanowiła zagadkę. Nie mógł się spodziewać niczego innego, nie po tym, czego dopuścił się jego ojciec, zwłaszcza że on też nie był z nią całkiem szczery.

Westchnąwszy, usiadł na łóżku i owinał się prześcieradłem. Nigdy wcześniej się tak nie czuł, co również było niepokojące. Widział, w jaki sposób jego brat Marc patrzył na żonę, ich sekretne uśmiechy, słyszał tajemny, zrozumiały wyłącznie dla nich język. Do tej pory obserwował to z lekkim politowaniem. Ten, kto kochał i był gotów zrobić wszystko dla drugiej osoby, narażał się na ból. Tak już ten świat jest urządo-

ny, że miłość wprowadzie wabi szczęściem, lecz jakże często bywa przewrotna, zdradziecka, okrutna.

Baldassare całe życie był sam i wyszło mu to na dobre, jednak wraz z pojawieniem się Bianki wszystko uległo zmianie. Stawała się dla niego coraz ważniejsza, aż wreszcie przyłapał się na tym, że nie wyobrażał już sobie bez niej życia - nie zniósłby pustej, cichej sypialni, nie wytrzymałby bez śmiechu i porannej rozmowy. Po prostu nie potrafił zrozumieć, jak dotąd radził sobie bez Bianki.

Miał tak niewiele czasu, by się nią nacieszyć! Cudowne wakacje na Vista Lindzie nie mogły trwać wiecznie. Pewne decyzje muszą zapaść wcześniej czy później. Pragnął jak najlepiej wykorzystać otrzymaną od losu szansę i choćby częściowo odpokutować winy swojego ojca.

Szybko umył się i ubrał, po czym zbiegł wąskimi schodami na dół. Bianca nuciła pod nosem, siedząc na progu z miską na kolanach, obok sterty świeżo zebranych owoców. Obierała je i kroiła skąpana w porannym słońcu, które tańczyło na ciemnych włosach i uwidaczniało każdą linię ciała schowanego pod cienkim materiałem halki.

- Co to za piosenka? - zapytał.

Odwróciła się i posłała mu jeden ze swoich zachwycających uśmiechów.

- Szanta, którą śpiewali wczoraj twoi ludzie. Przepraszam, jeśli zbudziłam cię moim okropnym śpiewem, ale poranna bryza sprawiła, że nie mogłam się powstrzymać.

- Lubię słuchać, jak śpiewasz. - Podszedł bliżej i dał jej porannego buziaka. Smakował owocami i czymś słodkim. Po prostu Biancą.

- Słoń musiał ci nadepnąć na ucho równie mocno jak mnie - odparła ze śmiechem. - Na stole znajdziesz wino i chleb, jeśli jesteś głodny. Jedna z kobiet, chyba ma na imię Rosa, jeśli dobrze pamiętam, upiekła go dzisiaj.

- Żona Mendozy - wyjaśnił Baldassare, nalewając wino do kubka.

Zauważył, że stół jest przykryty obrusem i ozdobiony kwiatami.

Naprawdę czuł się jak w domu.

- Wydawała się bardzo miła, chociaż niewiele zrozumiałam z tego, co mówiła.

Baldassare pochylił się nad nią, popijając leniwie wino, i zaczął obserwować niesforne loki wijące się na łabędziej szyi. Gdy ucałował jej delikatną skórę, Bianca zadrżała i krzyknęła żartobliwie:

- Usiłuję tutaj pracować!

Roześmiał się i sięgnął po cząstkę pomarańczy.

- Dużo tych owoców jak na dwie osoby.

- Powiedziałaś, że mogę zorganizować przyjęcie.

- I zamierzasz to zrobić tutaj? - zapytał zaskoczony, lustrując wzrokiem dwa ma-
lutkie pokoje. - Ilu gości zamierzasz zaprosić, cara?

- Nie tutaj. Mendoza obiecał, że upieką na plaży prosię, a Rosa, o ile dobrze ją
zrozumiałam, zrobi chleb z mąki przywiezionej z Santo Domingo. Będzie muzyka,
tańce...

- Rzeczywiście nie próżnujesz od rana! Sprzątnęłaś, ugotowałaś, zajęłaś się or-
ganizacją przyjęcia...

- Sądziłam, że będziesz zadowolony. Kiedyś kochałeś bale ponad wszystko.
Szczególnie te maskowe, w Pałacu Dożów, u boku Rosiny Micelli.

Ponownie wybuchnął śmiechem.

- Ależ jestem! Daję ci wolną rękę. Wyobraź sobie, że jesteś królową Vista Lin-
dy. Rzucam ci moje maleńkie państewko do stóp.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Mam nadzieję, że nie zgodziłeś się na przyjęcie z poczucia winy po tym, co ci
wczoraj powiedziałam?

- Oczywiście, że czuję się winny - powiedział cicho. - Przecież to zrobił mój oj-
ciec.

- Nie odpowiadasz za to. - Spojrzała ze smutkiem na trzymany w rękę nóż. - Tak
wiele czasu zabrało mi, by zrozumieć, że...

- Mam za dużo własnych grzechów, by odpowiadać za popełnione przez ojca?

Spojrzała na niego chytrze.

- Każdy nosi na barkach jakieś brzemie. Nie sędzę, Baldassarze, byś dopuścił się

uczynków gorszych niż inni bogacze. Ja natomiast... - Urwała w pół słowa.

Ukląkł, delikatnie dotykając jej nogi przez cienki materiał. Miała ciepłą, tętniącą życiem skórę, a on wciąż czuł, że mu się wymyka.

- Opowiedz mi o swoich grzechach, Bianco - poprosił, wpatrzony w piękną, nieobecną twarz.

Muśnięcie jej palców przypominało dotyk błękitnoskrzydłego motyla.

- Zapomniałeś o przyjęciu? Dzisiaj powinniśmy się bawić, a nie robić rachunek sumienia.

Ucałował jej palce, zlizując z nich sok tak długo, aż poczuł, jak skóra pod jego językiem drży, a puls Bianki niebezpiecznie przyśpiesza.

- Jak sobie życzysz - powiedział. - Wszak jesteś królową tej wyspy. Będziemy młodzi i beztroscy, skoro tego pragniesz.

- Królowa rozkazuje ci, byś ją pocałował. Natychmiast.

- Jako twój wierny sługa muszę spełnić każde twoje życzenie, pani - powiedział, podnosząc się z klęczek.

Jej usta okazały się słodkie i ufne, a zarazem pożądliwie rozchylone.

Pocałunek smakował czymś jeszcze - niecierpliwością, jakby i Bianca starała się wykorzystać każdą wspólną chwilę. Przysunął się bliżej, rozkoszując się dotykiem piersi i ud na swoim ciele. Jednak przyjemność trwała krótko. Baldassare czuł, jak ulotny moment wymyka mu się z rąk.

Z zalem oderwał wargi od ust Bianki i obsypał gradem drobnych pocałunków policzki oraz grzbiet nosa, aż usłyszał ciche westchnienie.

- Jeśli chcemy, by wykwintny bal odbył się jeszcze tego wieczoru, czeka cię dużo pracy, Wasza Wysokość.

- Masz rację, ale chyba mamy dość czasu, żeby... - Jedna z dłoni powędrowała w dół jego klatki piersiowej, aż do biodra.

Udało mu się ją zatrzymać, zanim dosięgła celu.

- Nie sądzę - powiedział, całując opuszki jej palców i odsuwając dłoń, która opadła z powrotem na schody. - Później, moja pani. Zaraz po twoim królewskim ban-

kiecie.

Jeszcze chwila, a straciłby panowanie nad sobą i kochał się z nią na progu domu. Odszedł więc z nadzieją, że ciężka praca przy przygotowaniu paleniska pozwoli mu ostudzić pożądanie. Nie mógł się już doczekać wieczoru.

Dopiero idąc ścieżką, zauważył, że gwizdże pod nosem śpiewaną przez Biancę melodię. *Que hondo es el mar...*

Bianca wygładziła szarą sukienkę, sprawdzając, czy dobrze wygląda w niewielkim lustrze. Żałowała, że nie ma czegoś bardziej wyszukanego i olśniewającego, żeby Baldassare spojrział na nią z zachwytem.

Była to jedyna sukienka, jaką przywiozła z Santo Domingo, więc i tak nie miała wyboru. Poza tym bała się, że gdyby Baldassare spojrział na nią jeszcze bardziej żarliwie, mogłaby zapłonąć żywym ogniem.

Zawiązała szary gorset, ale zrezygnowała z rękawów tej samej barwy. Śnieżno-biała halka będzie musiała wystarczyć. Gdy już była zadowolona z efektu, zeskoczyła z taboretu, podeszła do kufra i pośpiesznie przeszukała skromną zawartość. Słońce powoli chowało się za horyzontem i pierwsze dźwięki płynącej z plaży muzyki dobiegły jej uszu.

Szybko znalazła to, czego szukała, a mianowicie czerwoną wstążkę do przewiązania włosów. Sięgnęła na samo dno skrzyni, gdzie pod warstwą pończoch i halek ukryła sakiewkę z monetami, między którymi znajdował się pierścień.

Położyła go na wyciągniętej dłoni, patrząc, jak promienie zachodzącego słońca odbijają się w otoczonym wianuszkim pereł rubinie. Nigdy go nie nosiła, ale też nie zdecydowała się na sprzedaż, nawet gdy było jej bardzo ciężko.

Patrzyła na pierścień po raz pierwszy, od kiedy Baldassare wcisnął go w jej dłoń. W przeszłości nie mogła znieść jego widoku, gdyż za bardzo przypominał o bolesnych chwilach zwątpienia w ich przyjaźń.

Teraz, kiedy spoglądała na krwistoczerwony klejnot, widziała w nim wyłącznie odzwierciedlenie piękna tej magicznej wyspy. Uznała, że nadszedł czas, by zastąpić potworne wspomnienia z przeszłości nowymi, lepszymi.

Wysunęła przed siebie lewą dłoń. Na serdecznym palcu lśniła znoszona złota obrączka założona jej przez Juana podczas szybkiej ceremonii zaślubin w kaplicy w Kadyksie. Był od niej sporo starszy, lecz okazał się dobrym mężem. Ciepły, serdeczny, opiekuńczy... Podczas ich pierwszego spotkania w tawernie, gdzie pracowała jako służąca, pomyślał, że oto znalazł młodą i silną dziewczynę do cerowania koszul i prania pończoch. Ona widziała w nim ucieczkę od harówki i wulgarnych gości tawerny, którzy uważali ją za swoją własność.

Ożenił się z nią, żeby mogła z nim popłynąć do Nowego Świata. Oboje uważali małżeństwo za udane, i tak właściwie było, bo choć nie było między nimi prawdziwej miłości, to połączyła ich szczerą przyjaźń. Po śmierci Juana i otwarciu tawerny w Santo Domingo Bianca odczuwała tęsknotę za mężem.

A teraz ledwie pamiętała jego twarz. To małżeństwo wydawało się tak odległe, jakby przytrafiło się nie jej, a jakiejś obcej kobiecie.

Ściągnęła obrączkę z palca i wrzuciła ją do sakiewki z monetami, a w jej miejsce założyła pierścień od Baldassarego. Ten prosty gest sprawił, że zrobiło się jej lżej na sercu.

Z ulgą zatrzasnęła wieko i zbiegła po schodach. Baldassare czekał w drzwiach. Miał na sobie zwykły strój, czyli białą koszulę, wysokie czarne buty oraz spodnie i skórzaną kamizelkę tego samego koloru. Był jednak świeżo ogolony i uczesany, a płatek ucha zdobiła piękna perła.

Po tylu latach Bianca doczekała się księcia, który miał ją zaprowadzić na bal. To nic, że wybierali się na plażę, na menu składały się owoce i pieczone prosie, a marmurową podłogę zastępował piasek.

Uśmiechnął się, gdy wsunęła mu dłoń pod ramię. Po chwili, gdy zauważył pierścień, zielone oczy Baldassarego rozszerzyły się ze zdumienia.

- Zatrzymałaś go? - zapytał.

- Jakoś nie potrafiłam go sprzedać. I cieszę się, że tego nie zrobiłam. Jest taki piękny!

- Gdybyś tylko mi pozwoliła, obsypałbym cię rubinami i owinał sznurami pereł.

Szmaragdami, diamentami...

- Jeden mi w zupełności wystarczy - odparła ze śmiechem, dumnie krocząc u jego boku. - Kiedy niby miałabym zakładać perły i szmaragdy? Do naprawiania żagli czy przed kąpielą w wodospadzie?

- Na bal maskowy w Wenecji.

Smutek i surowość w głosie Baldassarego uderzyły ją tak bardzo, że stanęła jak wryta. Twarz również miał poważną i ściągniętą w grymasie zamyślenia. Nie potrafiła odgadnąć jego myśli.

- Zamierzasz wrócić do Wenecji? - zapytała cicho. - Wydawało mi się, że nie nawidzisz tego miasta. Czyż morze nie jest całym twoim życiem?

- Nie można być wiecznie marynarzem, Bianco, zwłaszcza jeśli istnieją sprawy, którym trzeba stawić czoło.

Takie jak rodzina i związane z nią obowiązki? Lekkość, którą jeszcze przed chwilą czuła w sercu, ustąpiła miejsca lodowatej pustce. Chciała usłyszeć wyjaśnienia i jednocześnie nie była na to gotowa, nie dziś, nie podczas balu.

Zmusiła się do uśmiechu i ponownie złapała Baldassarego za rękaw.

- Ależ ma pan chmurną minę, signor Grattiano. Obiecałeś mi taniec, pamiętasz? - Zamierzał coś odpowiedzieć, lecz Bianca przyłożyła mu palec do ust. - Jutro będziesz mógł zadać każde pytanie. Dzisiaj chcę się tylko bawić.

Skinął głową i ruszyli w dalszą drogę. Na plaży roiło się od roześmianych marynarzy i ich ciemnoskórych żon. Grała muzyka, kilka par wirowało już po piasku. Stół uginał się od mis z owocami, rybami i chlebem. Znad prosięcia, które piekło się nad rozżarzonymi węglami, ulatywała gruba wstęga smakowicie pachnącego dymu.

Jarzące się czerwienią i fioletem słońce chowało się właśnie za linię szafirowo-błękitnej wody.

Bianca nigdy nie brała udziału w równie zachwycającej uroczystości. Cudowny zachód słońca, morze, muzyka, miękki piasek pod stopami tworzyły niepowtarzalną atmosferę. Towarzystwo Baldassarego dopełniło szczęścia. Usiłowała zapamiętać najdrobniejsze szczegóły, by mogła do nich wracać, gdy ten wieczór stanie się tylko cu-

downym wspomnieniem.

- Wspominała pani, że chce tańczyć, signora - odezwał się Baldassare, chwytając Biancę za dłoń i ciągnąc ją w kierunku zaimprovizowanego parkietu. - Na co więc ma pani ochotę, na pawanę czy galiardę? Wybór należy do królowej.

Zakręciła się wokół niego ze śmiechem. Tropikalna bryza i morze gwiazd nad głowami stały się idealnym dopełnieniem wieczoru, podobnie jak Baldassare dopełniał ją, a ona jego.

- Królowa nie mogłaby sobie wymarzyć nic więcej ponad to, co już ma - odparła, kręcąc się przed nim jak fryga. Objęła go mocno za ramiona, wspięła się na palce i wycisnęła na ustach Baldassarego delikatny pocałunek.

Uniósł ją i zaczęli wirować. Biance szybko zakręciło się w głowie od wiatru, błękitu nieba i zapachu dymu... a przede wszystkim od obecności Baldassarego.

Mówiła prawdę. Do szczęścia nie brakowało jej niczego.

Kilka godzin później niebo przybrało czarnogranatową barwę. Rozświetlał je tylko srebrny krążek księżyca i rozrzucone gdzieś gwiazdy. Wyczerpana Bianca padła na piasek. Nie wiedziała, co było głównym powodem słodkiego zmęczenia, szaleńczy taniec, hiszpańskie wino, suta kolacja złożona z owoców i wieprzowiny czy może śmiech do rozpuku.

Leżała na hałdzie piasku pod palmą kokosową, wsłuchując się w dźwięki nastrojowej ballady o domu i utraconej miłości. Atmosfera przyjęcia stała się bardziej melancholijna, także za sprawą wypitego alkoholu. Mężczyźni rozsiedli się wokół ogniska wsłuchani w muzykę, podając sobie butelkę rumu z rąk do rąk. Mendoza i jego żona wymknęli się niespostrzeżenie, lecz reszta marynarzy nie chciała jeszcze kończyć zabawy.

Bianca zresztą też mimo ogromnego zmęczenia. Muzyka przyniosła jej ukojenie. Przymknęła oczy, wsłuchując się w melodię, dźwięk rozbijających się o brzeg fal oraz trzaskających w ognisku drew.

Poczuła dotyk dłoni na ramieniu, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła Baldassarego, który siedział na piasku, opierając się plecami o pień palmy. Jego palce ześlizgnęły się

i odnalazły ozdobioną pierścieniem dłoń Bianki.

- Zdjęłaś obrączkę - zauważył.

- Tak. Zbyt długo używałam jej jako tarczy. Świętej pamięci Juan Montero nie żyje od ponad roku. Nadszedł czas, by zamknąć ten rozdział mojego życia.

- Jaki był twój mąż?

Czyżby słyszała w jego głosie nutkę zazdrości? Uśmiechnęła się na samą myśl o tym, że mógłby być o nią zazdrosny, jakby była jedną z jego zdobyczy. Musiała się chyba przesłyszeć.

- Bardzo serdeczny - powiedziała - i dobry dla mnie. Zanim mnie spotkał, długo był sam jak palec i doceniał to, że los wreszcie się do niego uśmiechnął. Można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi.

- Tylko przyjaciółmi?

Odwróciła głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Był ode mnie starszy i nigdy nie miał w sobie tyle zapalczącej energii co pan, signor Grattiano.

Roześmiał się i położył obok niej.

- To ty ją we mnie odnalazłaś, wydobyłaś na światło dzienne.

- Czyżby? - droczyła się. - Nigdy się z nią nie kryłeś.

Przyciągnął Biancę do siebie i pocałował skrawek skóry który wyłonił się spod sukienki.

Przytuliła się do niego z przeciągłym westchnieniem. Przez długi czas leżeli tak pośród ciepłej nocy. Dźwięki muzyki stawały się coraz cichsze, aż wreszcie umilkły, i zapadła niczym niezakłócona, rozkoszna cisza.

Rozdział dwudziesty czwarty

Kilka dni po przyjęciu Biancę obudziła fala mdłości. Wskoczyła z łóżka w samą porę, by trzymając się kurczowo za brzuch, sięgnąć po miskę.

Gdy już pozbyła się wczorajszej kolacji, osunęła się na podłogę na wpół żywa i zlane zimnym potem. Cieszyła się, że Baldassare nie widzi jej w tak koszmarnym stanie. Przymknęła oczy i przez chwilę uważnie nasłuchiwała, lecz odpowiedziała jej tylko cisza. Dom był pusty.

Od czasu przyjęcia Baldassare wstawał wcześniej rano i szedł pracować na Calypso, pozwalając Biance dłużej pospać. Nie wiedział, że już trzeci dzień trapiły ją poranne mdłości, które na szczęście nie trwały długo. Około południa mogła wypić kilka łyków wody i zjeść trochę chleba, a o zmierzchu nie pamiętała nawet o żołądkowych sensacjach.

Usiadła bardzo powoli, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miała miesiączkę...

Było to jeszcze w Santo Domingo, tuż przed przyjazdem Baldassarego.

- A niech to! - wyszeptała, opierając głowę na kolanach. Nie mogła dłużej się oszukiwać. Była w ciąży. Przycisnęła rękę do brzucha. Mimo że wciąż był idealnie płaski, zdawało jej się, że coś poczuła. - Nie! Boże, nie... - Zaszlochała. Jej życie było wystarczająco skomplikowane i bez dziecka.

Dziecka, którego ojcem był Baldassare.

Mimo paniki poczuła w sercu coś jeszcze, a była to ogromna radość.

Niestety, nie trwała zbyt długo, ponieważ nadciągnęła kolejna fala mdłości. Gdy po jakimś czasie nudności ustąpiły, Bianca była kompletnie wykończona. Umyła twarz zimną wodą, wyszczotkowała włosy i przebrała się w świeżą halkę. Słońce zdążyło się wspiąć wysoko, nie miała więc czasu do stracenia.

Porzuciła zamiar zapytania Baldassarego o to, czy miał rodzinę. Wspólne życie na Vista Lindzie było tak doskonałe, że nie chciała go zepsuć. Cieszyła się tym, co przyniósł jej los, a mianowicie kąpielami w jeziorze, prowadzeniem domu, naprawą

żagli, miłością.

Teraz jednak musiała zatroszczyć się nie tylko o siebie. Jeśli jej obliczenia były słuszne, już za kilka miesięcy na świecie pojawi się dziecko. Dokonano już większości napraw na Calypso. Wiedziała, że gdy tylko statek będzie gotowy do drogi, żadna siła nie zatrzyma Baldassarego w domu.

Nie chciała samotnie czekać na jego powrót jak Rosa i inne kobiety na wyspie. Z drugiej strony, gdzie indziej miałyby stworzyć dom? Tawerna w Santo Domingo nie wydawała się właściwym miejscem dla niemowlęcia.

W głowie Bianki kołatała się jeszcze jedna przerażająca myśl: śmierć podczas porodu, która spotkała żonę Diega Escobara.

Z całych sił starała się o tym nie myśleć. Czarnowidztwo mogło jej wyłącznie zaszkodzić. Była silna, zdrowa i musiała wierzyć, że dziecko również takie będzie. Przyszłość wciąż jednak wydawała się niepokojąco mglista.

Pomysł zakradnięcia się na Calypso jeszcze nigdy nie wydawał jej się równie niedorzeczny!

Wyszła z domu z zamiarem odnalezienia Baldassarego. Okazało się, że nie musiała nawet iść na plażę, był bowiem w ogrodzie, gdzie ćwiczył strzelanie z łuku.

Ustawiony w pobliżu domu cel był cały naszpikowany strzałami, co nie przeszkodziło Baldassaremu w dalszych próbach. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie, włosy związał chustą. Jego czoło aż lśniło od potu. Za każdym razem, gdy oddawał strzał, nieruchomiał niczym kamienny posąg.

Bianca czule objęła brzuch, obserwując wypuszczane przez Baldassarego strzały, z których każda trafiała w sam środek tarczy.

Po jakimś czasie zorientował się, że ktoś go obserwuje i odwrócił się w jej stronę. Powoli opuścił łuk, wodząc palcem po gładko wypolerowanym drewnie. Zupełnie jakby czytał w myślach Bianki, posłał jej przebiegły uśmiech.

- Czasem się boję, że jestem taki sam jak mój ojciec - powiedział.

Przyglądała mu się z niedowierzaniem. Kiedyś i ona uważała Grattianów za ulepionych z jednej gliny, lecz po wielu tygodniach spędzonych z Baldassarem zrozu-

miała, jak bardzo się myliła.

- Gdyby tak było, nie odrzuciłbyś weneckich bogactw i nie wybrał życia na morzu.

Chytry uśmiech nie zniknął z twarzy Baldassarego.

- Skąd wiesz, że nie przyplłynąłem tu po jeszcze więcej bogactw? Może weneckie skarby przestały mi wystarczać?

Spojrzała znacząco w stronę małego, skromnego domku, lśniącego bielą w promieniach tropikalnego słońca.

- Jeśli tak, to kiepsko się do tego zabrałeś. Roześmiał się, zakładając kolejną strzałę na cięciwę.

- Przyjechałem tu zbudować własny dom, niezbrukany niczym, czego dotknął mój ojciec.

- Nie był to jedyny powód.

Nie odezwał się ani słowem. Podniósł łuk i wycelował w stronę tarczy. Gdy naciągnął cięciwę, mięśnie jego ramion naprężyły się pod zwiewnym materiałem koszuli.

- Czyżbyś odziedziczyła po matce dar wróżenia? - zapytał, wypuszczając strzałę, która pofrunęła w sam środek celu i wbiła się tuż obok swojej poprzedniczki. - Potrafisz odczytywać przyszłość?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Gdyby tak było, oszczędziłabym sobie wielu problemów. Niestety jedyne, co odziedziczyłam po matce, to kręcone włosy.

- A jednak w twoich żyłach krąży jej krew. Nie wiesz, jakie związane z tym niespodzianki szykuje dla ciebie los.

Podeszła do tarczy i wyciągnęła z niej strzały, oglądając uważnie ich pierzaste lotki oraz śmiertelnie ostre groty.

- Nie odziedziczyłam po matce żadnych magicznych zdolności, podobnie jak ty nie przesiąknęłeś złem swojego ojca. Niezależnie od płynącej w twoich żyłach krwi, w spadku po nim dostałeś wprawdzie nazwisko, lecz nie duszę.

- Moja dusza jest splamiona uczynkami gorszymi od tych, których dopuścił się mój ojciec - oznajmił beznamiętnie.

Jednak Bianca знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, jak wielkie emocje w nim buzują. Zapiekły gniew, który tak długo tkwił w jego duszy, że stał się jej częścią. Wciąż nie wiedziała, jak uwolnić jego serce od złości i nienawiści.

- Takimi, jak zamordowanie własnego ojca? - zapytała łagodnie, obracając strzały w dłoniach.

- Tak. Czyż nie jest to najstraszliwsza ze zbrodni?

- Nie mnie to oceniać, Baldassarze.

- Ksiądz nie miałby co do tego wątpliwości.

- Zauważyłeś chyba, że nie jestem święta i również dopuściłam się niegodnych uczynków. Kłamałam, kradłam, cudzołożyłam...

- Przełesałaś ludzką krew?

- I do tego by doszło, gdyby Ermano Grattiano był moim ojcem. - Odłożyła strzały na ziemię i podeszła do Baldassarego. Zatrzymała się na tyle blisko, by mógł dostrzec w jej oczach zrozumienie. - Opowiedz mi o tym.

Przez chwilę patrzył na Biancę w milczeniu, jakby usiłował odgadnąć, czy rzeczywiście zależy jej na poznaniu prawdy, takiej najgłębszej, najszczerzej, najtrudniejszej. Później spojrzenie ześlizgnęło się z jej twarzy i podryfowało w stronę dawno minionych wydarzeń.

- Wkrótce po tym, jak wyjechałaś z Wenecji, w mieście pojawił się pewien człowiek. Pamiętasz Il Leone, jak go powszechnie zwano, kapitana statku, który rozgromił piratów?

- Oczywiście! Wszystkie damy do niego wzdychały, nie lada był z niego bohater.

- Czy ty również do niego wzdychałaś, Bianco? - zapytał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nigdy go nie widziałam. Matka trzymała mnie krótko i rzadko pozwalała wychodzić z domu, a poza tym... - Byłam zakochana w tobie, dokończyła w myślach.

- Ojciec odkrył, że Il Leone wdał się w romans z Julieta Bassano, którą zapewne także pamiętasz.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie zdarzenia i nazwiska, do których miała nadzieję już nigdy nie wracać.

- Jej również nigdy nie spotkałam, ale pamiętam, że twój ojciec za wszelką cenę pragnął ją poślubić. Uważał, że los wyznaczył ją na matkę jego kolejnych synów. To dlatego nalegał na czytanie kart. Utwierdzały go w przekonaniu, że ma rację. - Zadułała się na moment. - Chyba już rozumiem... Twój ojciec usiłował zabić Il Leone, a ty mu przeszkodziłeś!

- W pewnym sensie tak.

- Wobec tego zrobiłeś dobry uczynek, broniąc niewinnego człowieka przed szaleńcem.

- Widzisz, Il Leone nie był kryształową postacią. Przybył do Wenecji w konkretnym celu.

Bianca usiadła w cieniu palmy, zafascynowana opowieścią, usiłując opanować gonitwę myśli w swojej głowie. To naprawdę było o wiele ciekawsze niż komedia dell'arte!

- Jakim?

Baldassare usiadł obok niej, delikatnie odkładając na ziemię łuk.

- Zamierzał zabić Ermana Grattiana.

- Nie! - krzyknęła z niedowierzaniem.

- Widzisz, Ermano zamordował przed laty matkę Il Leone, z którą miał romans. Ta kobieta urodziła syna...

- Twojego.

- Młodsze brata, Marca Velazqueza. W pewien sposób Julieta dała mojemu ojcu upragnionego syna, chociaż nie tak, jak się tego spodziewał.

- Musiałeś zabić ojca, żeby ratować brata.

Przytaknął z grobowym wyrazem twarzy.

- Żałuję tylko, że nie udało mi się ocalić twojej matki i pozostałych osób, które

skrzywdził.

Bianca z trudem opanowała łzy. Uklękła przed Baldassarem i ujęła jego twarz w dłonie. Jego oczy przybrały ciemną, złocistozieloną barwę. Nie sądził chyba, że zostawi go z powodu usłyszonej historii?

Nie istniał powód, dla którego mogłaby to zrobić.

- Nikt inny nie został skrzywdzony przez twojego ojca równie mocno jak ty - powiedziała. - Wierzę, że spotkała go zasłużona kara. Chroniłeś brata i Bóg jeden wie, ile ludzkich istnień zdołałeś tym ocalić. Twój ojciec mordował ogarnięty żądzą krwi i zysku, do czego ty nie byłbyś zdolny.

- Nie wierzysz, że kierują mną żądze? - zapytał przebiegle.

- Chcesz, by inni tak myśleli, Baldassarze. Kipisz gniewem na samą myśl o nazwisku, którenosisz. Twoja załoga uważa cię za porywczego, lecz sprawiedliwego kapitana. Nie znają lepszego dowódcy w całej hiszpańskiej flocie. Skoczyliby za tobą w ogień.

- A ty, Bianco? Podążyłabyś za mną, znając moją mroczną przeszłość i zamiłowanie do przygód?

Zamyśliła się nad losem małej istotki, w której żyłach również płynęła krew Grattianów.

- Jestem z tobą, czyż nie? Przy płynęłam aż z Santo Domingo.

- Pytanie tylko, jak długo ze mną zostaniesz.

Miał rację. Owszem, mieszkali razem na wyspie, lecz żadne z nich nie wiedziało, co przyniesie przyszłość, nawet ta najbliższa.

- Czy nie możemy tutaj zostać na zawsze? - zapytała, wiedząc, że jej fantazja nie może się ziścić.

- Raczej nie... - Uśmiechnął się do własnych myśli. - Rodzina rzadko mnie ogląda, ale byliby niezadowoleni, gdybym całkowicie odebrał im tę możliwość.

Na dźwięk słowa „rodzina” Bianca przymknęła oczy. Nadszedł czas, by poznać bolesną prawdę. Jasny, słoneczny poranek w jednej chwili stracił cały swój urok.

- Rodzina? - zapytała martwym głosem, mając w pamięci znaleziony na biurku

portret. - Masz dzieci?

- Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo! Miałem na myśli brata i jego żonę, dwóch synów i małą córeczkę, której jeszcze nie widziałem. Chcą, żebym odwiedził ich w przyszłym roku i omówił z Markiem plany rozkręcenia firmy.

Tych kilka słów wystarczyło, by słońce ponownie wyszło zza chmur. Bianca roześmiała się, czując rozpiekającą radość i jednocześnie wstyd z powodu własnej głupoty. Baldassare nie był żonaty! Jak w ogóle mogła go o to podejrzewać? I dlaczego bała się zapytać wprost?

- Masz na myśli otworzenie sklepu z mapami i osiedlenie się na stałe w Europie?
- zapytała.

- Dlaczego się śmiejesz? Uważasz pewnie, że nie nadaję się do prowadzenia sklepu w Sewilli lub Kadyksie.

- Nie, nie! Ja tylko... - Otworzyła oczy i na widok zdziwionej miny Baldassarego nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Obsypała jego twarz gradem pocałunków. - Och, Baldassarze! Kochasz swoich bratanków i siostrzenicę, prawda? Nie masz nic przeciwko dzieciom?

Roześmiał się również, objął ją mocno w talii i przyciągnął do siebie.

- A nawet bardzo je lubię.

- Jestem też przekonana, że koszarne dziedzictwo nie dało o sobie znać.

- To wspaniałe, zdrowe dzieci, które w niczym nie przypominają swojego dziadka.

- Wygląda na to, że wdały się w wujka. - Złożyła na jego wargach czuły pocałunek i natychmiast poczuła, jak budzi się między nimi uśpione na krótko pożądanie.

Zamierzała mu właśnie zdradzić swój sekret, gdy ich rozmowę przerwał głośny krzyk.

- Kapitanie! - wołał jeden z marynarzy.

Odsunęła się od Baldassarego i ujrzała biegnącego z boczem wzgórza Luisa.

Osloniła oczy od słońca, z żalem żegnając cudowną chwilę dzieloną z ojcem swego dziecka. Nawet z tej odległości widziała oznaki paniki na bladej twarzy Luisa.

Zanim usłyszała przyniesioną przez niego nowinę, poczuła na ciele nieprzyjemny dreszcz.

Baldassare pomógł jej wstać. Widziała, że jest równie mocno zaniepokojony.

- Do wyspy zbliża się statek - oświadczył Luis, z trudem łapiąc oddech.

- Pod czyją banderą? - zapytał Baldassare.

- Bez bandery, kapitanie.

- Jak to możliwe? - spytała Bianca z niedowierzaniem.

To mogło oznaczać tylko jedno, a mianowicie kłopoty. Mieszkała na wyspach wystarczająco długo, by wiedzieć, że każdy miał swoich wrogów, szczególnie ludzie pokroju Baldassarego, to znaczy majętni i porywcy. Bajeczny czas spędzony na Vista Lindzie, tak odległej od reszty bezwzględnego, ogarniętego chciwością świata sprawił, że o tym zapomniała i znowu stała się krucha, podatna na zranienia. Gdy była małą dziewczynką, przecierała czasem oczy ze zdumienia na widok ludzkiego zła i marzyła o ucieczce.

Czyżby miało się to powtórzyć?

Spojrzała na twarz ukochanego, która wyglądała na wykutą z granitu. Wiedziała, że tym razem nie będzie mogła uciec. Niezależnie od tego, co szykował los, postanowiła trwać przy jego boku.

Baldassare odwrócił się, sięgnął po leżącą na ziemi lunetę i wspiął się na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na wybrzeże.

Bianca i Luis natychmiast do niego dołączyli. Na plaży roilo się od marynarzy przyglądających się majaczącemu na horyzoncie statkowi, który wciąż znajdował się poza zasięgiem dział Calypso. Rzeczywiście nie miał na sobie bandery ani innych oznaczeń, które pomogłyby w jego identyfikacji. Widziała tylko zarys ciemnego kadłuba i płataninę masztów.

- Znasz ten statek? - zapytała z nadzieją.

Baldassare pokręcił przecząco głową.

- Może dopadł ich sztorm i potrzebują bezpiecznego schronienia - próbował zgadywać Luis.

- Nie sposób dostać się na tę wyspę przypadkiem - rzucił niecierpliwie Baldassare. - A większość żeglarzy ma dość oleju w głowie, by jej nie szukać.

Bianca przycisnęła dłoń do brzucha w obronnym geście, patrząc na niewielką łódkę spuszczaną z pokładu tajemniczego statku. Trzej siedzący w niej marynarze wiosłowali miarowo, z minuty na minutę przybliżając się do brzegu. Na dziobie łódki zatknęli białą flagę.

Załoga Calypso, uzbrojona w miecze i sztylety, uformowała na plaży obronny szyk.

- Wygląda na to, że chcą z nami pertraktować - odezwała się Bianca.

Na twarzy Baldassarego pojawił się przebiegły uśmiech.

- A zatem dajmy im to, o co proszą.

Baldassare dwukrotnie przeczytał treść wiadomości, zanim zmierzył morderczym wzrokiem posłańca, od którego ją otrzymał. Cała trójka wyglądała odpychająco. Ot, bezzębni, ubrani w niedopasowane ubrania i krzykliwą biżuterię niechluję. Naznaczony bliznami przywódca, który przedstawił się jako Perez, z nieprzyjemnym grymasem lustrował załogę Calypso stłoczoną za plecami Baldassarego.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu dopiero na widok Bianki i Rosy.

Baldassare zgniół trzymaną w ręku świstek, drugą dłoń kładąc na rękojeści sztyletu. Przypomniawszy sobie, jak wypuszczane z łuku strzały jedna po drugiej dosięgały tarczy. Pierś stojącego przed nim mężczyzny świetnie nadawałaby się do tego celu.

Z trudem opanował gotujące się w nim emocje. Ten człowiek był tylko posłańcem od śmiertelnego wroga, którego Baldassare miał nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć.

Po incydencie w Santo Domingo marzył, by ziemia pochłonęła Diega Escobara. Nie sądził, że jego wróg okaże się tak wytrwały i wściekły.

A jednak udało mu się go wytropić i przygotować do kolejnego ataku.

Jeszcze niedawno z radością stawiałby czoło zaślepienemu wizją zemsty Diegoowi, nawet gdyby pojedynek okazał się dla Baldassarego śmiertelny. Sęk w tym, że odkąd na jego drodze stanęła Bianca, jego życie nabrało sensu.

Przypomniął sobie wyraz ciemnych, pełnych zrozumienia i przebaczenia oczu, gdy usłyszała, co wydarzyło się między nim a ojcem, pocałunki pod wodospadem, gładkość nagiej skóry, perlisty śmiech.

Po wielu długich, pustych latach znowu miał się o kogo troszczyć.

- Pojedynek? - zapytał z niedowierzaniem. - Wasz kapitan miał czelność wyzwąć mnie na pojedynek?

Perez ponownie przeniósł wzrok na Baldassarego.

- Tylko pan i on, miecz w miecz. Moglibyśmy co prawda ostrzelać wyspę, ale żał by nam było ją zniszczyć. To jak będzie, kapitanie Grattiano?

Z drugiej strony, gdyby ich statek podpłynął dostatecznie blisko, działa Calypso zmiotłyby go z powierzchni morza. Gdyby tak sprowokować bitwę morską... Nie, jednak nie.

- Jak słusznie powiedziałeś, ten spór dotyczy wyłącznie mnie i waszego kapitana - powiedział Baldassare.

- Ten akurat spór może i tak - odparł Perez, wzruszając ramionami.

Baldassare rzucił mu zmiętą wiadomość prosto w twarz.

- Wracaj na statek i przekaz swojemu kapitanowi, że jeszcze dziś wieczorem poinformuję go o miejscu pojedynku. Zmierzę się z nim, ale nie tutaj. - Odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę domu.

Załoga Calypso dopilnowała, by piraci wsiedli do łodzi, ale Baldassare już się nie odwrócił. Szybkim krokiem wspinał się na szczyt wzgórza.

Za jego plecami natychmiast rozległ się tupot stóp. Bianca dotknęła jego ręki. Na jej twarzy malowały się troska i niepewność.

Zwolnił kroku, splatając palce ich dłoni.

- O co chodziło? - zapytała.

- To byli wysłannicy Diega Escobara, Bianco. Wygląda na to, że został kapitanem tej żalösnej gromadki i postanowił wyzwąć mnie na pojedynek... na śmierć i życie.

Rozdział dwudziesty piąty

- Spotkam się z Diegiem tutaj - powiedział Baldassare, wskazując kropkę na mapie. - Ta wyspa jest prawie wyludniona i znajduje się dzień drogi od Vista Lindy, czyli dostatecznie daleko, by nie narobili tu bałaganu.

- A co potem? - zapytał Mendoza przyciszonym głosem.

Jednak siedząca na progu Bianca i tak go usłyszała. Sama chciała wiedzieć, co Baldassare zamierzał zrobić po pojedynku na śmierć i życie na niemal bezludnej wyspie.

- Popłyniemy do Santo Domingo po nowy ładunek - odparł - a potem do Hiszpanii. Mój brat spodziewa się rychłego przybycia Calypso.

Bianca była przekonana, że Marc Velazquez wypatrywał nie tyle statku, co brata. Ciekawe, czy chłopcy, których widziała na obrazku, tęsknili za wujkiem i szukali na horyzoncie jego statku?

Utkwiła wzrok w ogrodzie i ustawionej w nim tarczy. Piękny zachód słońca i płynący z ognisk dym jakoś uszły jej uwagi. Oczami wyobraźni ujrzała siebie, jak stoi na brzegu morza z niemowlęciem na ręku i wypatruje nadpływającego statku.

Statku, który mógł nigdy nie powrócić.

Wiedziała, że Baldassare będzie trudnym przeciwnikiem, nigdy bowiem nie dawał za wygraną. Był jednak człowiekiem honoru, w przeciwieństwie do Diega, który nie wahał się przed użyciem nieczystych zagrywek. Do dziś pamiętała wyraz jego zimnych, martwych oczu.

Diego był człowiekiem, którego śmierć żony pozbawiła uczuć, tymczasem Baldassare na nowo budził się do życia, podobnie jak Bianca. Vista Linda dała im obojgu bezpieczne schronienie, w którym mogli wyleczyć wciąż niezabliźnione rany z przeszłości. To tutaj dokonał się cud, którego zupełnie się nie spodziewała.

Szczęście sprawiało, że człowiek stawał się bezbronny. Diego na pewno to zauważy i spróbuje wykorzystać przeciwko Baldassaremu.

O jednej rzeczy nie miał jednak pojęcia, a mianowicie o tym, że Baldassare nie

był już sam. Bianca również nie poddawała się łatwo, zwłaszcza gdy miała o co walczyć.

Spojrzała na Baldassarego, Mendozę i Luisa, pochylonych nad mapami i omawiających logistyczną stronę wyprawy, jakby to ona była najważniejsza. Bianca myślała wyłącznie o wyniku pojedynku, lecz wiedziała, że mężczyźni nie poruszą tego tematu w jej obecności.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, podniosła się i poszła na górę, do sypialni. Głosy mężczyzn zlały się w jedno, zagłuszone świergotem nocnych ptaków i odległym szumem morza. Umyła twarz i rozwiązała chustę, pozwalając włosom spłynąć na ramiona.

Gdy sięgnęła po grzebień, poczuła w brzuchu delikatny trzepot, który przypominał jej dobitnie, że naprawdę ma o co walczyć.

- Ty też musisz być silny - wyszeptała, czesząc włosy. - Razem stawimy czoło wrogowi. Pamiętaj, że jesteś moim małym wojownikiem.

- Do kogo mówisz, Bianco? - zapytał Baldassare, który niespodziewanie pojawił się na szczycie schodów.

Uważnie przyjrzała się jego lustrzanemu odbiciu, malującemu się na twarzy znużeniu i czujnym oczom. Wiedziała, że to nie jest najlepszy czas, by powiedzieć o ich „małym wojowniku”, jako że Baldassare powinien skoncentrować się na pojedynku.

- Do siebie - skłamała więc, kończąc rozczesywanie splątanych pasm.

- Zostawiłem cię chyba na zbyt długo, skoro odczuwasz potrzebę rozmowy z samą sobą - odparł z uśmiechem.

- To prawda i mam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. - Odwróciła się w jego stronę, opierając się o umywalnię. - Obiecujesz, mi amor?

Usiadł na łóżku i zaczął ściągać buty.

- Poprosiłbym, żebyś została na wyspie, ale wiem, że i tak mnie nie posłuchasz.

- I masz rację. Nie pozwolę ci czmychnąć do Santo Domingo beze mnie.

- Cóż za okropnie uparta kobieta!

- Nie widziałeś jeszcze, na co mnie stać, signor Grattiano. - Wzięła balię z wodą i usiadła obok niego. Kiedy zdjął koszulę, obmyła jego klatkę piersiową i plecy, wciąż rozgrzane po upalnym dniu.

Dniu, który tak pięknie się zapowiadał, a tak koszmarne skończył.

Powoli poprowadziła ręcznik wzdłuż ramion, umięśnionych pleców i kręgosłupa. Z każdą chwilą Baldassare wydawał się bardziej rozluźniony. Odsunęła płaszcz włosów i złożyła na szczycie karku delikatny pocałunek.

- A więc Diego nie zrezygnował z wypełnienia zemsty - powiedziała. - To, co wydarzyło się w Santo Domingo, było tylko rozgrzewką.

- Ludzie jego pokroju nie rezygnują łatwo - oznajmił ze smutkiem. - Byłem pewien, że jeszcze o nim usłyszymy.

- Nie rozumiem, dlaczego tak mu na tym zależy. Czy nie mógłby przenieść się ze swoimi łotrostwami gdzie indziej? Atakowanie hiszpańskich statków musi być o wiele bardziej opłacalne niż uganianie się za tobą.

- Kłopot w tym, że to wobec mnie pała nienawiścią i żądzą zemsty - odparł Baldassare. - I nie mogę go za to potępiać.

Ręka Bianki zastygła w bezruchu.

- Co masz na myśli?

- Stracił kobietę, którą kochał ponad życie, i obwinia o to mnie. - Odwrócił się do Bianki i delikatnie musnął jej nagie ramię opuszkami palców. - Gdybyś to ty umarła...

- Nie umrę! - przerwała mu. Odłożyła ręcznik i chwyciła go za ramiona w obronnym geście. - Podobnie zresztą jak ty. Żal mi Diega, ale nie pozwolę mu wygrać tego pojedynku.

- Ani ja - powiedział, po czym przyciągnął Biancę i złożył na jej wargach żarliwy pocałunek. Oddała mu go, rozkoszując się cytrynowym zapachem rozgrzanego słońcem i wysmaganego morską bryzą ciała, który mieszał się z wonią jej skóry. - Diego mi tego na pewno nie odbierze - powiedział cicho. - Ani on, ani nikt inny.

Opadła na łóżko, pociągając za sobą Baldassarego. Ich miłość zawsze była gwał-

towna, przesycona pożądaniem, lecz dziś zdawała się jeszcze bardziej intensywna, napędzana potrzebą zapamiętania każdego ruchu, dotyku, zapachu. Pragnęła wyryć je w pamięci tak, by pozostały w niej na zawsze.

Rozsunęła uda w geście zaproszenia, wodząc palcami po mięśniach pleców i barków Baldassarego. Czuła, że naprawdę stanowią jedność nie tylko ze względu na dziecko czy złączone w miłosnym uścisku ciała, lecz przede wszystkim na porozumienie dusz.

Wiedziała, że ta więź nigdy nie zniknie, ale potrzebowała czegoś więcej. Pragnęła go mieć całego, do końca swoich dni. Lecz jak mogła oczekiwać takich zapewnień od marynarza?

Baldassare leżał bez ruchu, trzymając w ramionach pogrążoną we śnie Biancę. Bał się głośniej odetchnąć, by nie zniszczyć uroku cudownej chwili, która i tak miała się skończyć wraz ze wschodem słońca.

Świece prawie się wypaliły i rzucały bursztynowe światło na skórę i włosy Bianki. Wyglądała jak uśpiony anioł, z lokami rozrzuconymi bezładnie na ramionach, pościeli i ciele Baldassarego. Jego zdaniem stała się nieodłączną częścią wyspy, jedyne miejsce, które uważał za dom. Była równie dzika i wolna jak Vista Linda, poza tym stanowiła jedność ze słońcem i morzem.

Miał wrażenie, że odkąd tu przyплыnęli, na jej twarzy o wiele częściej gościła radość. Każdy uśmiech Bianki przypominał rzadki, drogocenny klejnot. Chociaż nie chciała o tym mówić, domyślał się, że od czasu ucieczki z Wenecji jej życie nie było usłane różami. Tym bardziej zależało mu na jej szczęściu.

Pragnął widzieć nie tylko uśmiech. Prawdę mówiąc, najbardziej na świecie zależało mu na tym, by widzieć ją, kobietę, przy której chciał spędzić resztę życia.

Nie rozumiał tylko, dlaczego to uczucie pojawiło się akurat teraz, gdy musiał stawić czoło upiorom przeszłości. Bezskutecznie zastanawiał się nad tym, gładząc wierzchem dłoni policzek ukochanej.

Bianca poruszyła się i przekręciła w jego ramionach. Zbudzona dotykiem, przez chwilę wpatrywała się w Baldassarego niepewna, czy wciąż śni.

Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Czy to już ranek?

- Jeszcze nie.

- Zaraz będzie świtać. - Usiadła na poduszkach, odrzucając do tyłu splątane snem włosy.

Baldassare położył głowę na jej nagim brzuchu, rozkoszując się pieszczotą palców błądzących po jego twarzy i klatce piersiowej. Dłoń zatrzymała się w miejscu, gdzie pod skórą miarowo biło serce. Był to słodki, lecz jednocześnie bolesny ciężar.

Bianca dokonała czegoś, co nie udało się żadnej innej kobiecie, a mianowicie zawładnęła jego sercem. Miał nadzieję, że nigdy nie obróci się to przeciwko niej.

- Nie mogę cię prosić, byś zrezygnował z pojedynku - powiedziała. - I tak byś tego nie zrobił.

- Dobrze mnie znasz, Bianco.

- Czyżby? - Potrząsnęła głową z powątpiewaniem. - Czy pozwoliłeś się poznać komukolwiek, Baldassarze Grattianie?

- Tak, tobie. Widzisz i wiesz to, czego inni nie potrafili lub nie chcieli dostrzec. Jej dłoń przesunęła się w górę i odgarnęła splątane włosy z jego czoła.

- Wciąż gnasz przed siebie, trudno za tobą nadażyć.

- Coś w tym jest - odparł ze śmiechem. - Przepłynąłem Atlantyk wzdłuż i wszerz.

- W poszukiwaniu czego?

Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- Na pewno nie tego, co reszta. Nie zależało mi na złocie, ziemi czy szlacheckich tytułach.

- Bo wszystko to miałeś.

- To prawda. Gdy byłem dzieckiem, rodzice powtarzali mi, że tylko to się liczy. Okazało się jednak, że nie przyniosło mi ani satysfakcji, ani szczęścia.

- Czy to znaczy, że niczego im nie zawdzięczasz?

Chwycił jej rękę i obsypał pocałunkami palce, wewnątrz dłoni, pulsujący skrawek

skóry tuż poniżej nadgarstka.

- Nauczyłem się jednego, a mianowicie że nazwisko Grattiano to ciężkie brzemie i jeśli nie zachowam ostrożności, będę krzywdził ludzi równie bezmyślnie jak mój ojciec.

- W niczym go nie przypominasz!

- Doprawdy? - Roześmiał się z przymusem, ponownie przyciskając jej dłoń do serca. - Spróbuj o tym przekonać Diega Escobara... i jego żonę.

- Zawiniłeś nie ty, lecz lekkomyślność Diega, który na dodatek usiłuje obarczyć ciebie własną głupotą! Wiesz, że mam rację, lecz honor nie pozwala ci tego przyznać! Wolisz stanąć do pojedynku, który nie ma sensu.

- Być może właśnie dlatego przypląnąłem do Nowego Świata.

- Żeby walczyć?

- Nie, żeby spłacić dawne długi lub odkryć, kim jestem bez nazwiska i tego, co się z nim wiąże. Któż to wie? Myślę jednak, że lata morskiej tułaczki miały mnie doprowadzić właśnie w to miejsce.

Zsunęła się z poduszek i przytuliła się do niego.

- Jedno jest pewne, Baldassarze. W przeciwieństwie do twego ojca nie brakuje ci honoru. Byłam głupia, gdy przed laty zwątpiłam w twoją lojalność. Na pewno uda ci się dodać nazwisku Grattiano zupełnie nową treść.

- Sądzisz, że to możliwe, bym oczyścił splamione krwią imię? Nasz ród od pokoleń kłamie, zwodzi i morduje.

- Już to zrobiłeś - powiedziała z tajemniczym błyskiem w oku, który natychmiast ukryła za namiętnym pocałunkiem. - Musisz mi coś obiecać.

- Co takiego? Słońce, księżyc, gwiazdkę z nieba? Powiedz jedno słowo, a będą twoje.

Roześmiała się, opierając głowę o jego nagie ramię.

- Nie zależy mi na żadnej z tych rzeczy, chcę cię prosić o coś innego. Nie pozwól, by honor cię zaślepił i przechylił szalę zwycięstwa na stronę Diega.

- Obiecuję, że nie pozwolę mu wygrać. - Przyciągnął ją tak blisko, jak tylko się

dało. - Będę walczył jak lew, wiedząc, że na mnie czekasz.

Skinęła głową, nieznacznie rozsuwając uda. Mimo że z każdą znikającą z nieba gwiazdą mieli coraz mniej czasu, kochali się niespiesznie. Baldassare pragnął dobrze zapamiętać każdą wspólną sekundę.

Gdy odrzuciła głowę w tył, usiał pocałunkami linię jej szyi i ramion, nie przerywając łagodnego kołysania złączonych w odwiecznym tańcu ciał. Palce opartych o materac dłoni splotły się, serce Bianki zaczęło bić coraz szybszym rytmem i dołączyło do wzburzonego niczym fala oceanu serca Baldassarego.

Ich ciała i dusze stopiły się w jedno, nim słońce na dobre wyjrzało znad horyzontu.

Rozdział dwudziesty szósty

Bianca stała na gorącym piasku wpatrzona w rozbijające się o brzeg fale. Plaża nie miała nic wspólnego ze skapanym w złocistym blasku słońca wybrzeżem Vista Lindy. Miejsce, w którym się znajdowała, było zaledwie kropką na mapie, a jednak to właśnie tutaj miała rozegrać się ostateczna walka przeszłości z teraźniejszością, której stawką była przyszłość Bianki... i nie tylko jej.

Nie potrafiła odgadnąć, co przyniesie los, dlatego skupiła się na obserwowaniu piasku, rozpalonego tropikalnym słońcem nieba i zbliżającej się łodzi.

Dwa statki zarzucały właśnie kotwice w bezpiecznej odległości od brzegu. Pierwszym z nich była Calypso ze zgromadzoną na pokładzie załogą, a drugim tajemniczy, mroczny żaglowiec, który zburzył ich idylliczny spokój. Na brzegu znajdowali się tylko Baldassare, Bianca i Mendoza, niecierpliwie czekający na dalszy rozwój wypadków.

Baldassare najchętniej widziałby Biancę na pokładzie Calypso, lecz znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że tym razem nie spełni jego prośby. Znalazłaby sposób, by dotrzeć na wyspę, nawet gdyby zamknął ją na klucz.

Nie potrafiła sobie wyobrazić niczego gorszego niż rozłąka z Baldassarem i ob-

serwowanie pojedynku z pokładu Calypso, jednak teraz, stojąc na brzegu i patrząc na zbliżającą się łódź, nie była pewna, czy podjęła właściwą decyzję.

Przycisnęła rękę do brzucha, usiłując opanować zawroty głowy i nieprzyjemne, mdlące uczucie wywołane świadomością, że najbliższa godzina zaważy na całym jej życiu.

Baldassare spojrzał na Biancę i posłał jej szeroki, krzepiący uśmiech. Wyglądał, jakby nic sobie nie robił z pojedynku. Ze spokojem, a nawet lekkim znudzeniem, obracał w dłoni rękojeść miecza.

Podał jej dublet oraz koszulę i rozpoczął sparing z Mendozą. Promienie słońca lśniły na umięśnionych ramionach i plecach, podkreślając piękno sylwetki oraz siłę Baldassarego. Bianca pamiętała plotki na temat licznych, zwycięskich pojedynków, które odbył w Wenecji. Wierzyła, że i tym razem pokona rywala, lecz uczucie niepokojem nie chciało jej opuścić.

Spojrzała Baldassaremu głęboko w oczy, usiłując przelać na niego swoją siłę i wiarę w to, że wkrótce zbudują wspólną, cudowną przyszłość.

Skinął głową, jakby potrafił czytać w jej myślach, potem powiedział:

- Gdy tylko stąd odpłyniemy, cara, obierzemy kurs na Santo Domingo.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Bo to najbliższe miasto, w którym urzęduje ksiądz. Najwyższy czas, byśmy się pobrali, nie sądzisz?

Zanim zdążyła zebrać myśli i odpowiedzieć, łódź przybiła do brzegu. Przeniosła spojrzenie na Diega Escobara, który wyskoczył na piasek. Miał na sobie czarną pele-rynę, przez co podobny był do złowieszczonego kruka. Czas, który do tej pory płynął leniwie, nagle gwałtownie przyspieszył.

Ponownie utkwiała wzrok w twarzy ukochanego, żałując, że nie może wypowiedzieć żadnej z miliona kołaczących się po głowie myśli, jednak głos uwiązł jej w gardle.

Baldassare i tak zrozumiał. Podał jej lunetę, czule ściskając dłoń Bianki.

- Czekaj tu na mnie - powiedział. - Wrócę, kiedy będzie po wszystkim, i spo-

dziewam się usłyszeć odpowiedź na moje oświadczenia.

- Nie musisz czekać. - szepnęła Bianca. - Wiesz, że odpowiem tak, po stokroć tak! Tyle że...

Baldassare potrząsnął głową i złożył na jej palcach pocałunek.

- To wszystko, co chciałem usłyszeć, Bianco. Krótkie „tak”, cara. Czekałem na to słowo przez długie lata.

Puścił jej dłoń i zwrócił się w stronę przeciwnika. Bianca poczuła się tak, jakby z ciepłej, tropikalnej wyspy spadła w mroczną, lodowatą czeluść i podążyła w stronę nagiego, piaszczystego pagórka. Mogła stąd obserwować pojedynek przez lunetę, a jednocześnie była na tyle daleko, by nie rozpraszać swoją obecnością Baldassarego. Wiedziała, że musiał się skupić na mieczu i pokonaniu śmiertelnego wroga.

Dotknęła rękojeści sztyletu, żałując, że nie ma zamiast niego łuku i strzał. Gdyby jeszcze posiadała strzeleckie umiejętności Baldassarego, mogłaby ocalić go od śmierci, podobnie jak on uchronił przed nią swojego brata.

Nie miała jednak łuku i mogła być wyłącznie obserwatorem. Bezsilność doprowadzała ją do szaleństwa!

Znowu poczuła w żołądku trzepotanie. Cóż, nie była sama. Przycisnęła dłoń do brzucha i wyszeptała:

- Nie martw się, maleństwo. Tata niedługo wróci. Jesteś bezpieczne.

Przystawiła do oka lunetę. Baldassare i Diego stali na piasku naprzeciw siebie. Diego zdjął pelerynę i koszulę. Jego broda i włosy były dłuższe, niż pamiętała ze spotkania w tawernie, lecz wyraz udręczonej, gniewnej twarzy nie zmienił się.

Ten człowiek naprawdę nie miał nic do stracenia. Niewykluczone, że odczuwał pragnienie śmierci, choć z pewnością nie było ono tak mocne jak żądza zemsty. To właśnie czyniło go niebezpiecznym przeciwnikiem.

Kiedyś Baldassare był taki sam, lecz to się zmieniło. Wspólnie z Biancą znaleźli sposób, by rozprawić się z upiorami przeszłości i zacząć budować przyszłość.

Pytanie tylko, czy nie za późno?

Baldassare uniósł miecz, na którego wypolerowanym ostrzu tańczyły słoneczne

promienie. Spojrzał przeciwnikowi głęboko w oczy, jakby usiłował ocenić jego siły, nim ruszy do ataku. Zmysły miał wyczulone, nerwy napięte jak postronki, a krew wściekle krążyła w żyłach.

W młodości żył wyłącznie dla takich chwil. Nie znał większej przyjemności niż dreszcz emocji podczas walki wywołany brzękiem stali i metalicznym zapachem krwi. Tylko wtedy czuł się wolny od gniewu i beznadziei nagromadzonych w jego udęczonej duszy.

Agresja przestała spełniać swoje zadanie, odkąd w jego życiu ponownie pojawiła się Bianca. Gdy trzymał ją w ramionach, kochał się z nią, słuchał jej głosu, spływał na niego spokój.

Tę ostatnią walkę musiał jednak stoczyć, choć z całego serca wolałby jej uniknąć. Patrząc na Diega, widział siebie po utracie Bianki, tak samo zagubionego i zaślepionego gniewem. Nie chciał zabić człowieka, z którym pracował i żeglował na jednym statku, lecz nie miał wyboru, podobnie zresztą jak Diego. Dostrzegł w jego oczach żądzę mordy i krwi.

Diego ruszył do przodu z błyskiem w oku i mieczem wycelowanym w serce Baldassarego, który na szczęście zdążył zablokować cios. Rozległ się szczęk stali, po chwili miecze oderwały się od siebie ze zgrzytem i nastąpił kolejny atak.

Diego był wytrawnym i okrutnym szermierzem, wszak przewodząc piratom, nauczył się wielu sztuczek i uników, lecz Baldassare nie ustępował mu kroku. Widząc to, Diego wpadł w jeszcze większą wściekłość. Jego ataki stały się szybsze i jeszcze bardziej nienawistne. Ostrze zdołało dotrzeć do ramienia Baldassarego, zanim ten zdążył się uchylić.

Słona woń bryzy zmieszała się z zapachem krwi, potu i gniewu. Miecze uderzały o siebie coraz bardziej zaciekle.

Baldassare nieznacznie opadł z sił. Jego mięśnie boleśnie zeszywniały, a reakcje stały się wolniejsze. Krew sączyła się z ciał obu przeciwników. Były to niegroźne dla życia, choć bolesne i dekoncentrujące draśnięcia. Walka wrzała, a piasek zwilgotniał, czyniąc ją jeszcze trudniejszą.

Z gardła Diega wyrwał się niezrozumiały wrzask. Uniósł miecz, zamierzając się na szyję Baldassarego. Ten wykonał unik, oparł się wolną dłonią o piasek i sam zadał cios. Miecz wślizgnął się pod żebra Diega, który osunął się na ziemię, nie przerywając walki. Wyglądało na to, że ból jeszcze bardziej go rozwścieczył i dodał mu sił.

W chwili, gdy Baldassare się podnosił, koniuszek miecza Diega dosięgnął blizny po ranie powstałej w Santo Domingo. Fala bólu na moment go oślepiła.

Widząc, że i Diego usiłuje wstać, Baldassare przygwoździł go do ziemi kopniakiem i przycisnął mu do gardła ostrze miecza.

- Dość tego! - krzyknął. - Nasza walka do niczego nie prowadzi.

- Zabiłeś moją żonę. - Diego z trudem łapał oddech.

Jego oczy, wlepione w Baldassarego, żarzyły się niczym dwa węgle.

- To nieprawda, o czym doskonale wiesz. Próbowałem ją ratować, ale była zbyt chora, by ktokolwiek mógł jej pomóc. Rozumiem, że musisz kogoś obarczyć winą, więc padło na mnie. Z całego serca ci współczuję, że straciłeś żonę, ale nawet jeśli mnie zabijesz, nie przywróci jej to życia. A ja nie pragnę twojej śmierci.

Nagły powiew wiatru sprawił, że Baldassarego przeszył ból. Krople potu sączyły się do ran jak trucizna, lecz nie mógł odłożyć miecza ani spuścić przeciwnika z oka.

Diego nie usłyszał niczego, o czym by w głębi duszy nie wiedział. Mimo to spoglądał na swego wroga, jakby ten przemawiał w niezrozumiałym języku. Wściekłość nadal w nim kipiała i w ułamku sekundy pozwoliła mu poderwać się na równe nogi z prymitywnym, zwierzęcym okrzykiem, który zabrzmiał tak, jakby setka rozsierdzonych demonów wyrwała się z piekieł.

Baldassare przewrócił się, lecz zdołał zatrzymać cios. Drżenie stali wstrząsnęło jego ramieniem, a później resztą ciała. Był zmęczony i obolały, lecz pod wpływem budzącego się w nim gniewu krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach.

Wiedział, że można go obwiniać o wiele. Nigdy zresztą nie twierdził, że jest święty. Ani razu jednak nie obraził Diega, nie skrzywdził też jego żony. Nie miał zamiaru pozwolić, by ten człowiek odebrał mu przyszłość u boku Bianki.

Przystąpił do ataku, odpowiadając z wściekłością na ruchy miecza. Każdy cios

odpierał silniejszym uderzeniem, aż w końcu broń Baldassarego wbiła się w ramię Diega.

Choć trwało to zaledwie ułamek sekundy, wystarczyło, by posłać go z powrotem na ziemię. Tym razem nie zdołał wstać. Brocząca z rany krew mieszała się z piaskiem. Diego przyglądał się Baldassaremu nierozumiejącym, pełnym przerażenia wzrokiem. Po chwili przymknął powieki. Zdawało się, że nie oddycha.

Patrząc na nieruchomą twarz, Baldassare poczuł obezwładniające zmęczenie i ból. Ogarnął go również głęboki, przejmujący smutek pomieszany z poczuciem żalu i beznadziei.

Diego był kiedyś porządnym człowiekiem i żeglarzem, a nawet dobrym przyjacielem, lecz teraz nie miało to już znaczenia.

Baldassare przeżegnał się i odszedł, zostawiając pokonanego przeciwnika z jego sekundantem.

- Baldassarze! - usłyszał głos biegnącej w jego stronę Bianki. - Jesteś ranny. - Porwała go w objęcia, nerwowo przyglądając się obrażeniom. - Och, mi amor - szepotała, usiłując osuszyć rany rękawem. Ledwie powstrzymywała łzy. - Bałam się, że ty... że on...

- Nie - przerwał jej, po czym mocno przytulił.

Szelest oddechu i miękkość targanych na wietrze włosów Bianki, jej obecność, świadomość tego, że wreszcie mogli być razem uśmierzyły jego ból.

Wiedział, że tym, co zaprowadziło nieszczęsnego Diega do zguby, była utrata miłości, dlatego postanowił dbać o nią ze wszystkich sił.

- To tylko zadrapania, nic więcej - powiedział, całując włosy ukochanej.

- Tylko za...

- Wracajmy na Calypso. - Chwycił ją za rękę, odwracając uwagę Bianki od ciała Diega i upiorów przeszłości, które nie mogły im więcej zagrozić. - Pozwolę ci teraz opatrzyć moje rany, cara, a potem powiem ci...

Spojrzała na niego z przestraszeniem, mocniej ściskając jego dłoń.

- Co takiego mi powiesz, Baldassarze?

- Powiem ci, jak bardzo nie mogę się doczekać tej chwili, gdy wreszcie zostaniesz moją żoną.

Rozdział dwudziesty siódmy

Diego powoli otworzył oczy i ujrzał nad głową bezchmurne niebo. Znajdował się na łodzi w otoczeniu swojej załogi. Płynęli z powrotem w kierunku statku Firebrand. Z trudem znosił kołysanie fal, a każdy dźwięk brzmiał w jego uszach niczym uderzenie pioruna.

Świadomość porażki - i to dwukrotnej - była nieznośna. Baldassare Grattiano przeżył jego atak w Santo Domingo, a teraz, mimo stoczonego pojedynku, wciąż chodził po ziemi.

Diego rozpoznał kobietę, która rzuciła się w ramiona Grattiana. To ją widział w tawernie. Jej zachowanie było tak czułe, że nie miał wątpliwości, iż oddała Baldassaremu przepelnione miłością i nadzieją serce.

Jak dobrze znał te uczucia. Pamiętał je z czasów, gdy żyła Esperanza, i stały się dla niego tak ważne, że gotów był dla nich poświęcić życie... własne i cudze.

Z drugiej strony wyrzekł się ich, gdy postanowił zostać piratem. Teraz czuł wyłącznie złość i nienawiść. Nie potrafił wyrzucić z pamięci obrazu Grattiana i tamtej kobiety przytulonych do siebie.

Musiał ich znaleźć i dokończyć to, co zaczął. Mimo kołysania łodzi spróbował się podnieść. Rana w boku, niechlujnie opatrzona i zasłonięta lepkiem od krwi bandażem, okazała się jednak zbyt głęboka i natychmiast przeszył go ból. Opadł na chropowate deski i wlepił wzrok w niebo.

Na tle rozżarzonego od słońca błękitu ujrzał młodzieńczą twarz ukochanej Esperanzy.

Z uśmiechem wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku. Dotyk przypominał lekki powiew bryzy i Diego zrozumiał, że to tylko wywołane cierpieniem złudzenie, a może nawet sygnał zbliżającej się śmierci. Mimo to powitał je z radością, tak jak

wszystkie sny z udziałem Esperanzy.

Były jedynym, co mu pozostało.

- Zawiodłem cię po raz kolejny - wyszeptał.

Potrząsnęła głową, zamiatając koniuszkami czarnych włosów po świeżych ranach.

- Nigdy tego nie zrobiłeś. Nie mógłbyś mnie zawieść.

- Przecież Grattiano wciąż żyje.

- Nie słyszałeś, co powiedział? To nie jego należy winić za moją śmierć. Nikt nie jest winny. Miałam pecha, ale dla ciebie życie toczy się dalej. Żałuję tylko, że było nam dane tak mało czasu.

- Powinniśmy spędzić z sobą długie lata! - powiedział Diego, czując, jak narasta w nim piekący gniew. - Ktoś musi za to zapłacić. Odszukam go i...

- Nie! - przerwała mu, kładąc dłoń na rozpalonym gorączką czole. Dotyk sprawił, że cała złość odpłynęła, ustępując miejsca zmęczeniu i poczuciu porażki. - Musisz pozwolić odejść i jemu, i mnie. To koniec.

- Czy przyszłaś tu, aby zabrać mnie na tamtą stronę? - szepnął Diego.

Myśl o tym, że jego cierpienie wkrótce się skończy, była bardzo kojąca.

Esperanza potrząsnęła jednak głową.

- Masz do wykonania na ziemi pewną misję, w czym niestety nie mogę ci pomóc.

- Cóż to za misja? Przecież jestem piratem.

- Nie zawsze tak było. Mężczyzna, którego pokochałam, miał dobre serce.

- Ten mężczyzna nie istnieje bez ciebie i twojej miłości!

- To nieprawda. - Diego przestał czuć delikatny dotyk i widzieć twarz ukochanej. Żłudzenie stało się mniej wyraźne jakby za sprawą tajemniczych słów Esperanzy.

- Nie mogę ci już pomóc, najdroższy, ale myślami będę zawsze przy tobie.

Gdy znikła, Diego został zupełnie sam na bezkresnym morzu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Bianca stała w oknie sypialni i spoglądała na ruchliwą ulicę. Około południa mieszkańcy Santo Domingo mieli mnóstwo spraw do załatwienia. Ponad krzykami i gwarem rozmów, z których lwią część stanowiły plotki o hiszpańskich księżniczkach i piratach, niósł się dźwięk dzwonów katedry Santa Maria La Menor.

Dręczyło ją dziwne uczucie, jakby widziała to miasto po raz pierwszy.

Zostawiła tawernę w dobrych rękach. Dzięki Delores lokal był czysty, świetnie utrzymany i rozwijał się jak nigdy. Po powrocie Bianca zauważyła cień zawodu na twarzy służącej, który szybko ustąpił miejsca dumie, kiedy prezentowała zmiany dokonane podczas nieobecności właścicielki. Delores wymyśliła nowy przepis na poncz, który zrobił furorę wśród gości. Señor de Alameda bardzo jej pomagał, choć ich płomienny romans niestety się zakończył. Miało to związek z pewną hiszpańską księżniczką...

Bianca doszła do wniosku, że Delores znacznie lepiej niż ona sprawdziła się w roli właścicielki tawerny. Wiadomość o tym, że wkrótce opuści wyspę na dobre, już jako señora Grattiano, na pewno sprawi dziewczynie ogromną radość.

Spojrzała na dłoń, którą zdobiły dwa pierścienie, stary z rubinem i nowy ze szmaragdem. Promienie światła odbijały się w klejnocie, nadając mu barwę tropikalnej dżungli. Podobną przybierały oczy Baldassarego, gdy był szczęśliwy. Był to również kolor nadziei, którą znowu odczuwała mimo przeciwności losu.

Ledwie powstrzymała się od śmiechu. To zdumiewające, że jej serce na nowo nauczyło się bić na małej, położonej na końcu świata wysepce, w ramionach Baldassarego. Mur, który wokół siebie zbudowała, skruszył się i Bianca odzyskała wolność, a przed ołtarzem katedry Świętej Marii - spokój.

Nie wiedziała, dokąd popłyną ani co zrobią, lecz nie czuła lęku. Liczyło się to, że spędzi przyszłość w towarzystwie Baldassarego i ich dziecka.

Usłyszała szelest pościeli, a gdy się odwróciła, zobaczyła Baldassarego, który właśnie się obudził i uważnie ją obserwował. Gdy tylko zawinęli do Santo Domingo,

uparł się, że włoży swój najlepszy, aksamitny dublet i poprowadzi ją do ołtarza. Później Bianca zmusiła go, by trochę odpoczął.

Z uśmiechem podeszła do męża i zaczęła poprawiać skłębioną pościel.

Baldassare chwycił ją za dłonie.

- Nie jestem inwalidą, cara - powiedział, zachęcając, by usiadła na łóżku.

- Doprawdy? - spytała zaczepnie, dotykając brzegu śnieżnobiałego bandaża. - Czyżbyś udawał chorego, żeby wszyscy ci usługiwali? - Położyła się po jego niebandażowanej stronie.

Baldassare roześmiał się i czule ucałował żonę.

- Brzmi bardzo kusząco. To prawda, uwielbiam być w centrum uwagi, ale w obecnej sytuacji to ja jestem wam winien opiekę. - Czule dotknął jej brzucha.

Przykryła ręką jego dłoń.

- A więc wiesz.

- Domyśliłem się. Nawet taki prosty mężczyzna jak ja wie, co to znaczy, gdy kobieta o poranku jest chora, a w południe je za dwoje. Słyszałem cię wczoraj na Calypso.

Skinęła głową.

- Nudności miną, gdy dziecko trochę podrośnie. Nie jesteś na mnie zły?

- Jak mógłbym? Wkrótce będziemy rodziną, ty, ja i nasze dziecko. Myślę jednak... - Przerwał w pół słowa.

Bianca zmarszczyła brwi. Czyżby po tym wszystkim Baldassare miał przed nią sekrety?

- Co takiego?

- O ile czujesz się na siłach, powinniśmy natychmiast wyruszyć do Hiszpanii. Ominiemy sezon sztormów i będziesz mogła tam urodzić z pomocą lekarza, położnej.

Przyjęła jego troskę z uśmiechem. Bał się o nią i dziecko, ponieważ żona Diega Escobara zmarła podczas porodu na wyspie. Wiedział też, do czego może doprowadzić żal z powodu utraty bliskiej osoby.

- Popłynę z tobą, dokądkolwiek zechcesz, ale nie musisz się martwić o nasze

zdrowie. Wszystko będzie dobrze i ze mną, i z dzieckiem.

- Czyżbyś jednak odziedziczyła zdolność przewidywania przyszłości? - zapytał, chwytając ją żartobliwie za nos.

- Niestety nie. Karty to dla mnie tylko barwne obrazki! Przeczucie mówi mi jednak, że wszystko ułoży się pomyślnie, nieważne, dokąd popłyniemy. Zdaniem Delores señor de Alameda odetchnąłby z ulgą na wieść o pozbyciu się kapitana Grattiana i Calypso ze swojego portu. Wygląda na to, że cieszysz się na wyspach opinią niezłego zabijaki!

Roześmiał się.

- Obawiam się, że w Europie mam podobną reputację. Będą musieli się przyzwyczaić do mojego nowego wizerunku.

- To znaczy?

- Jestem teraz porządnym żonkosiem, czyż nie? Nie dla mnie szwendanie się po morzach i oceanach. Powinienem nieco zmienić styl życia.

- Oby nie za bardzo - zaprotestowała Bianca. - Bo mogę nie poznać własnego męża!

- W takim razie zostawimy wszystko tak, jak jest - powiedział, opuszczając Biancę na poduszki i składając na jej ustach długi pocałunek będący obietnicą wielu równie namiętnych lat. - Signora Grattiano, moja ukochana żona i miłość mego życia.

Uśmiechnęła się na dźwięk tych słów i na myśl, że udało im się ostatecznie pożrebać przeszłość. Gniew i ból odeszły na zawsze, spalone na proch żarem miłości jej i Baldassarego. Miłości, której niestraszny był wpływ czasu.

Nie potrzebowała kart matki, by wiedzieć, że łączące ich uczucie przetrwa wiecznie. Wyczytała tę prawdę z pocałunku Baldassarego.

Epilog

Kadyks, trzy lata później

- Ćśś, gołąbeczko! Tatuś pracuje, musimy być cicho - powiedziała Bianca.

Trudno było zachować powagę, patrząc na uczeponą jej rękawa Marię. Poprawiała balansujący na biodrze kosz wypełniony przysmakami na urodzinową kolację Baldassarego. Haftowana, atłasowa suknia nie mogła ukryć lekko zaokrąglonego brzucha. Latem spodziewali się narodzin drugiego dziecka.

Marię bardzo ekscytowała myśl, że będzie mogła pomóc w przygotowaniu wieczornego bankietu.

- Czy dostanę kandyzowaną brzoskwinie, mamusiu? I słodkie migdały?

Bianca roześmiała się, pozwalając się prowadzić małej przewodniczce krętą, stromą ulicą. Pod ich stopami rozciągało się skąpane w zimowym słońcu miasto, całe w bieli i ciemnej czerwieni. Skinęła głową mijającym ich sąsiadom. Byli to señor Garcia-Marquez, kowal, i señora Ortiz, handlująca jedwabiem. Na widok Marii oboje uśmiechnęli się szeroko. Bianca wiedziała, że ona i Baldassare byli pobłażliwymi rodzicami, jednak podobnie jak sąsiedzi nie potrafili się oprzeć błyszczącym zielonym oczkom oraz słodkiemu chichotowi swojej córeczki.

- Migdały nie są ci do niczego potrzebne, *bella* - powiedziała Bianca, łapiąc lekką zadyszkę, nim udało im się wspiąć na szczyt stromej zbocza. Dziecko w brzuchu dawało znać o sobie! A może winna była niespożyta energia Marii. - I bez nich jesteś wystarczająco słodka.

- Mamo! - krzyknęła płaczliwie dziewczynka. - Obiecałaś!

- Rzeczywiście. Niech będą brzoskwinie.

- I będę mogła zobaczyć tańce?

- Pierwszą pawanę na pewno. - Bianca podejrzewała, że goście zechcą tańczyć do rana, a sen zmorzy Marię znacznie wcześniej. Przyjęcia u rodziny Grattianów służyły z doskonałego jedzenia, trunków i zabawy aż do świtu, a już szczególnie wtedy,

gdy powodem do świętowania były urodziny lub wizyta jej szwagra, señora Velazqueza.

Dzisiaj okazja była podwójna i Bianca czuła się niemal tak podekscytowana jak jej córka. Mimo upływu lat nie mogła się doczekać tańca ze swoim mężem.

Maria klasnęła w dłonie i pędem rzuciła się w stronę drzwi, wprawiając w ruch jedwabną sukienkę i ciemne loki. Bianca podążyła za nią wolnym krokiem, z dumą spoglądając na ich dom.

Był największy na całej ulicy, zbudowany z szarego kamienia i pokryty czerwoną dachówką. Z okien rozciągał się wspaniały widok na port. Szeroko otwarte okiennice wpuszczały do środka promienie zimowego słońca. Prowadzące do domu marmurowe schody były starannie zamiecione i wypolerowane. Nad drzwiami kołysała się tabliczka z napisem „Señor Grattiano” i obrazkiem przedstawiającym zwiniętą rulon mapę. Szyld był prosty, lecz wszyscy wiedzieli, że w tym domu mieszka najlepszy kartograf w całej Europie. Żeglarze cenili jego mapy za mistrzowską precyzję i gotowi byli za nie zapłacić każde pieniądze.

Interes kwitł, podobnie jak cała rodzina.

Bianca weszła za córką do wyłożonego marmurem foyer, którego chłód stanowił miłą odmianę po gorączkowej atmosferze miejskiego rynku. Oddała kosz z zakupami służącej, zdjęła kapelusz z szerokim rondem i przygładziła ręką włosy, chowając niesforne kosmyki pod ozdobioną klejnotami siatkę. Mimo że prosiła Marię, by nie przeszkadzała tacie, usłyszała płynący z głębi korytarza chichot i głęboki głos Baldassarego, który wywołał kolejną salwę dziecięcego śmiechu.

Ruszyła w kierunku przestronnego gabinetu, mijając schody prowadzące do sypialni i bogato zdobione ściany.

Otwarte na oścież okna wpuszczały do pokoju światło i mroźne powietrze. Wiatr hulał pośród ułożonych w sterty map. Maria siedziała na brzegu biurka, gawędząc z tatą i wujem Markiem, u których stóp wałęsały się psy. Jej śmiech mieszał się z męskimi głosami, szczekaniem i szelestem pergaminu.

Odgłosy ich wspólnego życia brzmiały w uszach Bianki niczym najśłodsza mu-

zyka. Patrząc na rodzinę, wiedziała, że wreszcie jest bezpieczna, że wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi.

Baldassare zobaczył ją ponad głową Marca i jego twarz natychmiast rozjaśniła się w uśmiechu. Wyciągnął do niej rękę. Bianca podbiegła, ucałowała go na powitanie i wsłuchała się w radosny szczebiot córki, która opowiadała o wspaniałym dniu i zbliżającym się jeszcze przyjemniejszym wieczorze.



RS